Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 23 (1367) ROK XXVII 9 CZERWCA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

- Spotkania z robotnikami
- Biała rzeka
- Do mamy przez okno
- Biblioteka w fabryce
- Dobra miłość za pieniądze

Być konsekwentnym

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Przez 3 dni Łódź gościła przedstawicieli najwyższych władz partyjnych oraz 800 robotników z całej Polski — gości Komitetu Centralnego PZPR na jego XVI posiedzenie. Najpierw łódzcy goście spotkali się z robotnikami w 44 zakładach województwa. Rozmawiano o wszystkich robotniczych sprawach. W niektórych fabrykach rozmowy trwały bardzo długo, a robotnicy tych fabryk zobowiązali swoich gości do przedstawienia ich spraw i poglądów następnego dnia w czasie obrad XVI Plenum KC PZPR.

Dyskusja na Plenum KC PZPR, w której wypowiedziało się 38 osób, a 94 złożyły swoje wypowiedzi do protokołu, koncentrowała się wokół kilku zagadnień związanych z rolą i miejscem klasy robotniczej w procesie budowy socjalizmu w Polsce. Przede wszystkim wypowiadano się przeciwko wszystkiemu, co socjalizmowi może zagrozić. Po drugie — wiele wypowiedzi cechowała troska o to aby socjalizm był ostojem sprawiedliwości społecznej nie tylko w swoich założeniach, nie tylko w teorii, ale aby te założenia potwierdzała praktyka. I wreszcie — wiele mówiono o tym, że jeżeli klasa robotnicza stanowi przodującą siłę narodu, jeśli sprawuje kierowniczą rolę w procesie społecznych przeobrażeń, to jej awangarda — robotnicza partia — musi traktować robotników w sposób partnerski, pytać robotników o zdanie, wysłuchiwać tego zdania i liczyć się z nim.

Taki pogląd dość wyraźnie sformułował **Bolesław Nasterowicz** z „Polic" pod Szczecinem, który powiedział, że robotnicy chcą mieć prawo nieskrępowanego wypowiadania swoich poglądów oraz wiedzieć, że ich głos będzie się liczył, że dotrze do tych, którzy podejmują decyzje i że oni wezmą go pod uwagę.

Robotnicy widzą wiele niesprawiedliwości dziejącej się wokół nich. **Barbara Witkowska** z „Polskiej Wełny" w Zielonej Górze zwróciła na przykład uwagę na fakt, że robotnika łatwo i szybko karze się za złą pracę, ale ludzi na wysokich stanowiskach za błędne decyzje, które przynoszą milionowe straty karze się opieszale, a często w ogóle. Wszyscy — mówiono w dyskusji — powinni być jednakowo traktowani, powinni ponosić jednakową odpowiedzialność za swoje czyny. Natomiast **Mieczysław Nalepa** z olsztyńskiego „Stomilu" przypomniał, że w partii wszyscy powinni być jednakowo traktowani i mieć jednakowe obowiązki wynikające ze Statutu PZPR, ale zdarza się, że kadra kierująca traktowana jest inaczej, nie wywiązuje się należycie ze swoich partyjnych obowiązków.

Komitet Centralny PZPR przygotował ankietę, którą rozprowadzono wśród uczestników plenarnego posiedzenia. Jedno

4

Potrójne życie

Rozmowa z WIESŁAWEM STASIAKIEM, prezesem GK ZSL w Pabianicach.

— W Żytowicach mówią, że Stasiak to jest taka chłopska święta trójca w jednej osobie, która prawie wszystko może załatwić.

— Ale nie zawsze może. Z pustego to i Salomon nie naleje. Kiedyś jechało się na Śląsk i sprowadzało do Gminnej Spółdzielni zapas papy na cały rok. Teraz mamy w pobliskiej Zduńskiej Woli największą w Europie fabrykę papy, ale chłopi nie mogą jej kupić. Jak jest więcej maszyn i nawozów to znowu brakuje materiałów pokryciowych: papy, blachy, eternitu. Albo, jak sam pan słyszał, przychodzi dobry hodowca bydła i mówi, że ma zlecenie na wapno, ale w magazynie chcą mu wydać tylko dwa metry. Dzielą, jak mogą. Kazałem wydać temu hodowcy trochę więcej, bo inaczej murarz mu ucieknie z rusztowania. Rolnik będzie szukać murarza przez kwartał, a budowa obory nie ruszy...

— Skoro pan już wdepnął na podwórko GS, to wyjaśnijmy, że Wiesław Stasiak prowadzi potrójne życie: prywatne, urzędowe i społecznikowskie.

— Zgadza się. Jestem rolnikiem, prezesem Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" i prezesem Gminnego Komitetu ZSL.

— Od czego zaczniemy?

— Od tego pierwszego. W Żytowicach prowadzę gospodarstwo o powierzchni 18 hektarów. W latach pięćdziesiątych pewnie bym się nie utrzymał. Byłyby kłopoty, co napisać w papierach...

— Podwójny prezes czy partyjny kułak?

— Właśnie. Ale teraz też nie jest lekko... Trzeba wstawać o piątej, żeby stworzenia nie zapomniały twarzy gospodarza. Od siódmej do piętnastej w GS. Ale nie za biurkiem, w ruchu. Potem mniej więcej do dwudziestej robota w gospodarstwie i działalność społeczna...

— Myślę, że załatwiając chłopskie sprawy w GS, spełnia pan zarazem obowiązki szefa chłopskiej partii w gminie.

— Ano tak, to się zazębia. Sam jestem chłopem, więc rozumiem moich interesantów. Myślę podobnie jak oni, znam ich nastroje, wiem, czego im brakuje. Pewnie nie poradziłbym sobie z tym wszystkim, ale żyją moi rodzice. I chociaż mają prawie po osiemdziesiąt lat, zabezpieczają porządek w gospodarstwie na czas mojej nieobecności. Dzięki temu uprawiam zboże i hoduję bydło mleczne.

— W ramach „pierścienia mlecznego"?

— Uważam, że to nie jest ani złe ani śmieszne. To jest dobre. Tylko temu „pierścieniowi" potrzebna jest trwałość i równowaga. Nie tak, że rolnik buduje oborę, a potem trzyma w niej świnie na nielegalny ubój...

— Ceny mleka są za niskie?

— Na to wychodzi. Chociaż może to nie tak, nie w tym sęk. Rolnik dba o czystość mleka, żeby uzyskać dobrą cenę za wyższą klasę, ale jego mleka nie bada się codziennie, tylko dwa razy w miesiącu. I jeśli w tych dniach coś mu nie wyjdzie i mleko jest złe, dostaje niższą zapłatę za cały miesiąc, chociaż w pozostałych dniach mleko było dobre. Chłopi mówią, że w ten sposób ich koszt em dotuje się mleczarnie. Nie mają możliwości porównać, czy próba z ich mleka jest właściwa. Jest taka, jaką zrobi mleczarnia i nie ma odwołania.

— Od dawna styka się pan z problemami rolników?

— Chyba od urodzenia. A w GS pracuję już 14 lat. Ale nie tak dawno miałem nawet szansę pożegnać się z tą robotą.

— Dlaczego?

— Ano, widzi pan, myśmy tu zawsze sami kontraktowali żywiec i służyli radą hodowcom. Potem nagle oznajmiono nam, że kontraktacją i doradztwem zajmie się bezpośrednio odbiorca czyli zakłady mięsne. No i w gminie znalazło się pięciu asystentów z zakładów mięsnych. Rolnicy zaczęli protestować, chcieli, żeby kontraktacją i doradztwem nadal zajmowali się nasi ludzie, ponieważ asystenci nie mieli rozeznania w tematyce, jak się to mówi. Wykazałem, że przy tej innowacji na skupie jest np. dziesięciu obsługujących i cztery świnki dziennie. Nas kontraktacja kosztowała sto tysięcy rocznie, a zakłady mięsne wydawały milion. Z tym, że ich dotowano, a nas nie. No i dostało mi się po głowie, bo komuś nie podobało się to moje wykrywanie nonsensów. Do akcji wkroczył nawet prokurator...

— Stare jeszcze pokutuje, panie prezesie.

— Tak, ale nie wolno się temu poddawać. Kiedyś gminne spółdzielnie przejęły punkty handlu opałem w miastach. Ostatnio słyszę, że mamy to zdać, bo powstaje nowe przedsiębiorstwo handlu opałem. Myśmy się nie zastosowali, odrzuciliśmy to. Po cholerę tworzyć etaty dla nowego dyrektora, sztabu urzędników i robotników magazynowych? Przecież to podobny numer, jak z tym „Ponalem". Na szczęście „Ponal" nie wszedł do wiejskich sklepów.

— Poza tym wy musicie dbać o wysokość obrotów.

— Oczywiście, od tego zależy wysokość płac naszych pracowników. Jak oni lepiej zarobią, to lepiej obsłużą rolników, a o to nam przecież chodzi. Tylko że teraz, proszę pana, zaczyna się hossa dla niektórych nygusów.

— Znowu?

— Nie, myślę, że to jest coś nowego. Myśmy przez ostatnie trzy lata pracowali rzetelnie, osiągając maksymalne obroty. Nie da się ich podciągnąć, a więc i płace nie wzrosną. Natomiast ci, co pracowali słabo, mogą podwyższać płace, bo ich obroty teraz wzrastają, przy czym nie bez wpływu są tu podwyżki cen na różne artykuły.

— Jako działacz ludowy musi pan bronić chłopów. Ale spółdzielnia jest samodzielna, więc jako jej prezes musi pan coś na tych

2

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
Sekretarz redakcji: Andrzej Karolczak.
Zastępca sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Igor Sikirycki.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz Jerzy Wilmański.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch", 91-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1582. E-2.

Być konsekwentnym

Dokończenie ze strony 1

z pytań dotyczyło powołania Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej. 70 proc. tych, którzy odpowiedzieli na pytania ankiety wypowiedziało się za powołaniem dodatkowego organu kontrolnego. Ale wielu mówców zgłosiło jednocześnie szereg zastrzeżeń i wątpliwości do nowej instytucji kontrolnej, **Edmund Bączkiewicz**, członek KC, robotnik z ZM „Pomet" w Poznaniu, podkreślił w swoim wystąpieniu, że powołanie Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej nie może zwalniać z funkcji kontrolnych istniejących do tej pory innych organów. **Stefan Feterek**, również członek KC, górnik z KWK „Wiktoria" w Wałbrzychu, zwrócił uwagę na to, że IRCh musi nie tylko kontrolować, ale mieć również możliwość wyciągania sankcji karnych wobec naruszających prawo. A **Mieczysław Nalepa** z olsztyńskiego „Stomilu" zapytał o spójność IRCh z już istniejącym systemem kontroli w państwie. W zastrzeżeniach tych przewijała się obawa, aby IRCh nie podzieliła losu komitetów kontroli społecznej, co zresztą wyraźnie powiedziała **Barbara Witkowska** z „Polskiej Wełny" w Zielonej Górze, przypominając, że komitety zbiurokratyzowały się i straciły jakąkolwiek siłę oddziaływania.

Sporo miejsca zajęły w dyskusji sprawy sektora prywatnego i firm polonijnych, które — jak powiedziała **Irena Lipińska** z żyrardowskiego „Poldresu" — miały uzupełniać rynek, a przechwytują tylko surowce i ludzi, sprzyjają cwaniactwu i pokazują, że nie warto pracować na państwowym. Gen. **Czesław Kiszczak** — zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR — zwrócił jednak uwagę, że nie można całego sektora prywatnego pakować do jednego worka i przekreślać. Spełnia on pożyteczną rolę, są dobrzy i rzetelni rzemieślnicy, dobrze pracujące firmy polonijne i są ludzie, którzy oszukują, spekulują, okradają innych i zbijają na kryzysie krociowe fortuny. Wobec takich ludzi i takich czynów będzie się występowało z całą surowością prawa.

I jeszcze jeden dość istotny nurt dyskusji, choć raczej skromnie reprezentowany, bo głównie przez **Stanisława Baranika** z Huty im. Włodzimierza Lenina w Nowej Hucie, **Tadeusza Czechowicza** — członka Biura Politycznego KC PZPR i I sekretarza KŁ PZPR — oraz **Kazimierę Plezię** z Dębickich Zakładów Opon Samochodowych, a także po części rolnika z Radomskiego — **Jana Mikulskiego**, którzy zwrócili uwagę na fakt, że bardzo często ludzie zło najczęściej widzą u innych, a nie u siebie, że najtrudniej jest wychowywać swoich kolegów, przeciwstawiać się złu we własnym środowisku. Skoro chcemy wymagać od innych, musimy też wymagać od siebie. Nie ma bowiem nic tak skutecznie oddziaływującego na innych, jak dobry przykład, jak zgodność słów z czynami.

Gdybym chciał odpowiedzieć na pytanie, co było przewodnią myślą całej — bardzo przecież różnorodnej — dyskusji, to powiedziałbym, że było nią wołanie o konsekwentność. Być konsekwentnym w swoich poczynaniach, w realizacji uchwał, w budowaniu planów i ich wykonywaniu. Być konsekwentnym w spełnianiu zamierzeń.

A na zakończenie ciekawostka: tylko dwóch mówców, spośród 38, weszło na trybunę bez żadnej kartki i mówiło — jak to się zwykło określać — z głowy. Jednym z nich był **Jan Mikulski** — rolnik z Radomskiego. I było też kilka wystąpień wyróżniających się pięknym językiem, prostym, pozbawionym żargonowo-biurokratycznych naleciałości. Sala słuchała takich wystąpień z przyjemnością.

Tyle pierwszych wrażeń, spisanych na gorąco, nazajutrz po zakończeniu obrad XVI Plenum KC PZPR.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Spotkania z robotnikami

„UNIONTEX"

Liberalizm reformy nie jest jej siłą, ale jej słabością

Gościem załogi ŁZPB im. Obrońców Pokoju w przeddzień XVI Plenum KC był **Kazimierz Barcikowski, członek BP i sekretarz KC PZPR.** Rozmowy K. Barcikowskiego z załogą zakładów, rozpoczętę na hali produkcyjnej, kontynuowane były w sali konferencyjnej Wydziału Tkalni C.

Spotkanie aktywu robotniczego otworzył I sekretarz zakładowej organizacji partyjnej, **Roman Matuszyński.** Nie ukrywał, iż organizacja partyjna przygotowała się do spotkania z sekretarzem KC. Mimo to dyskusja potoczyła się naturalnie, żywiołowo. Mówiono praktycznie o wszystkim, co niesie niełatwe życie codzienne. Pytano, spierano się, poddawano ocenie, dzielono się wątpliwościami:

— Wchodzi reforma, ale płace w naszym przemyśle są wciąż niezbyt wysokie — powiedział **Stanisław Wilczyński.** — Do tego dochodzą trudności z zatrudnieniem. Na drugiej zmianie maszyny stoją, bo nie ma ludzi. Czy w tej sytuacji nie należałoby zlikwidować małych zakładów na rzecz kombinatów, gdzie nowoczesne maszyny stoją nieużyteczne?...

Zwracając się z prośbą o poparcie władz centralnych dla programu modernizacji przędzalni odpadowej, **Walerian Klażyński** powiedział: — Kraj nasz jest za biedny, aby eksportować odpady włókiennicze. Trzeba je zagospodarowywać na miejscu...

Jak to się dzieje, że partia uznała reformę za swoją, a jej realizacja idzie jak po grudach? Mówi się, że z trzech „S" zostało już tylko jedno — samofinansowanie? — zapytał **Jan Adamski.** W tym miejscu włączył się K. Barcikowski: A bo to prawda? Wszyscy chcą pieniędzy od ministra finansów...

— Jest ustawa o walce z pasożytnictwem, dla nierobów miały być Żuławy, a tymczasem oni dalej się obijają — skonstatował St. Wilczyński. Przewodniczący ZSMP, **Jerzy Kowalski** odczytał w tym momencie fragment listu aktywisty, który poszedł niedawno do wojska i pracuje na Żuławach...

Poruszano również sprawy potrzeb mieszkaniowych. — Nie możemy dalej tkwić w niemocy. Czas oczekiwania jest coraz dłuższy — ubolewała **Apolonia Dobrowolska** — Nie może być tak, aby młody człowiek czekał na mieszkanie, które otrzyma dopiero jego dziecko!

Sporo mówiono o robotniczym odczuciu sprawiedliwości: — Odczucie jest takie, powiedział **Janusz Dębski,** że pomimo ustaw i działań niewiele się zmieniło na tzw. czarnym rynku. Szczególnie duży liberalizm w walce ze spekulacją obserwujemy w Łodzi... Klasa robotnicza nie może w takim stopniu jak dotąd — powiedział **Tadeusz Bukat** — dźwigać ciężaru kryzysu... Zaś **Kazimierz Uciński** dodał: Absolwenci wyższych uczelni, inżynierowie, nie powinni handlować pietruszką...

T. Bukat zadał pytanie o E. Gierka, o to „jak Gierek zapatruje się na aktualną sytuację kraju i swoją winę za kryzys?".

Zdzisław Augul, sekretarz POP Wydziału Tkalni postulował aby okazją do tego rodzaju rozmów członków kierownictwa partii z robotnikami nie były jedynie kolejne posiedzenia plenarne Komitetu Centralnego. Uważał, iż powinny odbywać się częściej i winni w nich uczestniczyć robotnicy z różnych dziedzin przemysłu i regionów kraju.

W trakcie spotkania K. Barcikowski zabierał głos wielokrotnie, polemizował, po czym na zakończenie podjął próbę odpowiedzenia na szereg kwestii i wątpliwości:

— Reformę faktycznie partia uznała za swoją, choć przyznać trzeba, że nie brak wśród nas ludzi wątpiących w nią. Są tacy w aparacie państwowym i w klasie robotniczej. Reforma mogła stworzyć jedynie lepsze (nie łatwiejsze) ramy, warunki do pracy, ale nie była w stanie radykalnie odmienić naszej sytuacji. Liberalizm reformy, to, że można załatwić pomimo jej wdrażania tak wiele rodzajów ulg nie jest jej siłą, ale słabością;

— Wciąż pokutuje pogląd, że wystarczy więcej środków na płace, a rozwiąże to problem braków w zatrudnieniu. Od takiego myślenia rąk do pracy nie przybędzie;

— Nieprawdą jest, iż władza nie zwalcza spekulacji. W sądach w ciągu zaledwie tygodnia otwiera się kilka tysięcy tego typu spraw. Ale nie łudźmy się — milicja nie pokona tego zjawiska, więzienie nie wychowa spekulanta. MO nie zlikwiduje ekonomicznych przyczyn spekulacji. Wciąż nie mamy w kraju niezbędnego porządku, równowagi ekonomicznej. Póki tego nie osiągniemy — nie zwalczymy źródeł spekulacji;

— Nie wyolbrzymiajmy sprawy inżynierów handlujących pietruszką. Po pierwsze — ona też jest potrzebna, po drugie — uważam, powiedział K. Barcikowski, że więcej czasu trwonimy na zebraniach mówiąc o tych sprawach niż wynosi czas pracy inżynierów-kioskarzy;

— Nie jestem za leczeniem z nakazu jeśli chodzi o sankcje wynikające z ustawy antyalkoholowej. Tak leczyć, to znaczy karać, a więc brać na społeczne utrzymanie. A ponadto otwieralibyśmy pole do nadużyć. Każdemu niewygodnemu można by było przypiąć etykietę i pozbyć się go, wysłać na leczenie z nakazu. Nie wolno nam ignorować osobistych praw obywateli;

— Atakowane są dziś firmy polonijne, inicjatywa prywatna, często słusznie — stwierdził K. Barcikowski. — Ale czy czasami nie chodzi jedynie o to, aby zlikwidować konkurencję, po to, abyśmy dalej klepali byle co i byle jak?...

— 4 lata przegadaliśmy w walce o więcej mieszkań. Faktem jest, że w 1984 roku wybudujemy ich w kraju o połowę mniej niż w 1980 r. Jest to mało, opóźnienie jest wielkie. Dlatego uważam, że aby nie pomnażać błędów poprzedniej dekady w Łodzi w najbliższych latach nie powinno powstać ani jedno nowe miejsce pracy. Wyjdzie to na dobre przemysłowi i miastu. Pozwoli rozwiązać sprawy zatrudnienia, warunków pracy a przede wszystkim problem mieszkaniowy, bowiem jego zaostrzenie jest wynikiem przyspieszonej urbanizacji lat siedemdziesiątych;

— Co się tyczy osoby E. Gierka — podobnie jak wielu z nas dał się on w latach siedemdziesiątych ponieść naciskom na rozmach inwestycyjny. Nie starczyło mu charakteru i poczucia rzeczywistości, odpowiedzialności. Jego winą było to, że zamiast studzić te zapały, sam w tę dudkę dmuchał. Słabość charakteru E. Gierka wyszła także w okresie jego internowania. Mogłem się wtedy przekonać, że niewiele się nauczył z lekcji sierpnia... Jednakże wszystkie kary polityczne i moralne, jakie mógł ponieść, już poniósł!

„PONAR — ŁÓDŹ"

Przywrócić pracy wartość

Zakłady Mechaniczne im. J. Strzelczyka przy ul. Papierniczej 7 na Zarzewie. Piątek, 1 czerwca, wczesne godziny popołudniowe. Normalny dzień pracy dla ok. 1400 członków załogi. Upał. Przez bramę wjeżdża autobus wiozący grupę przedstawicieli centralnych władz, biorących udział w „łódzkim" posiedzeniu plenarnym Komitetu Centralnego PZPR.

Goście zwiedzają zakład. Przechodzą z hali do hali, słuchają wyjaśnień dyrektora, rozmawiają z kierownikami, mistrzami, robotnikami. Uściski dłoni, uśmiechy, krótkie pytania i krótkie odpowiedzi. Wszystko przy włączonych maszynach, bezpośrednio przy stanowiskach pracy. Niektóre z nich są puste — brak ludzi. Żadnego zamieszania czy napięcia. Dzień jak co dzień.

W sali narad czeka już aktyw partyjny zakładu, członkowie kierownictw działających tu 16 organizacji społeczno-zawodowych W sumie ok. 70 osób. Dopiero tutaj I sekretarz KZ PZPR, **Tadeusz Kaczmarek** wita oficjalnie i przedstawia przybyłych gości. Informuje, że tutejsza organizacja partyjna liczy 270 członków, że w związkach zawodowych jest 321 osób (w tym 100 rencistów i emerytów), że członkowie partii działają w kierownictwach wielu organizacji, że narady, szkolenia... Dyrektor naczelny, **Stanisław Dworczyk** mówi o planach i ich wykonaniu. Padają liczby. Nie jest źle, choć są też i określone trudności... O nich to głównie mówić będą zakładowi aktywiści — długo i krytycznie. Nim to jednak nastąpi, w skupieniu słuchają słów **członka Biura Politycznego KC PZPR, ministra spraw zagranicznych, Stefana Olszowskiego.**

W „Strzelczyku" był już dwukrotnie, ostatni raz — w 1979 roku. Wyraża swe zadowolenie z możliwości ponownego spotkania. Podkreśla, że wiele się przez te 5 lat zmieniło. Następnie przedstawia krótko problematykę, której poświęcone będzie plenum. Wyraża nadzieję, że dyskusja będzie okazją do poznania problemów załogi „Ponaru", do wymiany poglądów na temat bieżących spraw kraju i świata. Resztę swego wystąpienia poświęca niektórym aspektom polityki międzynarodowej, takim jak: stosunki Wschód-Zachód, restrykcje państw NATO i nasze zadłużenie, stosunki gospodarcze z krajami socjalistycznymi i rozwijającymi się (myląca nazwa, bo niektóre są już bardzo rozwinięte), kwestia niemiecka.

Wszyscy słuchają z zainteresowaniem. To przecież rzadka okazja zajrzenia za kulisy dyplomacji. Informacje i wyjaśnienia ministra Stefana Olszowskiego brzmią jaśniej i bardziej przekonywająco niż większość komentarzy dziennika telewizyjnego. Może dlatego, że pochodzą z pierwszych ust, że nie ma szklanej szybki, że można zadawać pytania?

Pierwszy z dyskutantów prosi o bliższe naświetlenie spraw związanych z wyścigiem zbrojeń. Ma wątpliwości. Ale będzie to jedyny, jak się potem okaże, sygnał zainteresowania sytuacją w świecie. Wszyscy pozostali mówić już będą tylko o kraju, mieście, swoim przedsiębiorstwie. Bliższa ciału koszula...

Prawie w każdej wypowiedzi ten sam powracający w różnych aspektach motyw: za niskie płace — za wysokie koszty utrzymania. Przeciętna płaca u „Strzelczyka" to niewiele ponad 15 tysięcy złotych. Mniej niż w przedsiębiorstwach innych branż, nie mówiąc już o firmach polonijnych, czy sektorze prywatnym. Uciekają fachowcy, ucieka młodzież. Wali się postęp techniczny, podupada prestiż zakładu i zawodu. Co do tego wszyscy są zgodni.

Inżynier z 30-letnim stażem pracy mówi, że jego dorosły syn ironicznie pyta go, czego dorobił się w swoim życiu. On sam zastanawia się, co będzie, kiedy zużyje się stary telewizor, pralka, lodówka... Przerażają ceny tych „luksusowych" towarów, trudno je kupić bez specjalnych przywilejów. Z kolei robotnik pyta, jak to się dzieje, że w państwie robotniczo-chłopskim robotnikom najgorzej się powodzi. Oszuści, spekulanci, kombinatorzy bogacą się, a on, uczciwie pracujący, ledwo wiąże koniec z końcem. Wiele w tych słowach żalu i goryczy.

Ludzie tracą nadzieję, nie widzą perspektywy, nie mają poczucia stabilności. Uważają, że pogłębia się demoralizacja, wielu nie ma motywacji do wydajniejszej pracy. Młodzi często przychodzą do zakładu tylko po to, aby nauczyć się zawodu; potem szukają lepiej płatnego zajęcia, bo tu ledwo mogą zarobić na utrzymanie. Zła jest organizacja pracy, starzeje się park maszynowy, na skutek niedorozwoju polskiej elektroniki i braku dewiz obrabiarki z Łodzi coraz trudniej sprzedać za granicę.

Przedstawicielka związku zawodowego przypomina, że w mieście, gdzie tak duży procent kobiet pracuje zawodowo, wiele do życzenia pozostawia zaopatrzenie handlu, komunikacja miejska, brakuje szkół, żłobków i przedszkoli. Ciągle obniża się stopa życiowa. Chciałaby też, aby rząd widział w związkach naprawdę równorzędnego partnera, bo to partnerstwo jest często problematyczne.

Niejednoznaczne oceny budzi reforma gospodarcza, funkcjonowanie firm polonijnych, prywatnego handlu i usług, system preferencji dla kandydatów na studia wyższe, stosunek do inteligencji. Padają też zarzuty, że ustawy sejmowe często nie są w praktyce przestrzegane, zbyt szybko wprowadza się w nich zmiany. Ten brak konsekwencji nie jest przez społeczeństwo dobrze widziany.

Około godz. 18 widać już oznaki zmęczenia. Wiele tematów powtarza się w różnej postaci, sens niektórych wypowiedzi ginie w gąszczu szczegółów i spraw jednostkowych. Bieżące trudności i niedociągnięcia przesłaniają nieraz ogólny obraz sytuacji. Mimo to wszystkie uwagi są przez członków KC skrzętnie notowane. Niektóre z poruszonych tu problemów — mówią w podsumowaniu — na pewno znajdą swe odbicie na plenum, inne przekazane zostaną do właściwych organów partyjnych i rządowych.

Jeszcze tylko wpis do księgi pamiątkowej, kuluarowe refleksje „na gorąco" i — czas się żegnać. Gości czekają męczące dwa dni obrad, gospodarzy spotkania — normalna praca od poniedziałku. Od samego mówienia nie będzie przecież lepiej.

„SKOGAR"

Jak fachowiec z fachowcami

Trzytysięczną załogę Łódzkich Zakładów Przemysłu Skórzanego „Skogar" odwiedziła **Zofia Grzyb, członek Biura Politycznego KC PZPR.** Łódzki „Skogar" produkuje rocznie prawie cztery i pół miliona par butów o wartości przekraczającej 5 miliardów zł. Spora część produkcji jest przeznaczona na eksport: do krajów socjalistycznych — 830 tys. par, do strefy dolarowej — 250 tys. par. Nowoczesny, funkcjonalny, znakomicie wyposażony zakład został oddany do eksploatacji w 1978 roku. Ma ponadto swoje filie w Zduńskiej Woli, Pabianicach, Błaszkach, Tomaszowie Mazowieckim i Mochowie.

Nie przypadkiem Zofia Grzyb, w ramach spotkań członków najwyższych władz partyjnych z robotnikami, trafiła do „Skogaru". Przecież wywodzi się z tej samej branży, przepracowała w „Radoskórze" 37 lat dochodząc do stanowiska brygadzistki. Rozmowa z załogą bezpośrednio na halach produkcyjnych jak i z kierownictwem zakładu była więc rozmową fachowca z fachowcami. W czasie swojej wizyty zatrzymywała się często przy nisko pochylonych kobietach szyjących wąskie paski skóry, klejących lub krojących. Kiedy zapytałem, jak ocenia panujące tu warunki, odpowiedziała, że może tylko zazdrościć, gdyż w jej macierzystym „Radoskórze" nie mogą ludzie nawet marzyć o takim komforcie pracy.

Później odbyło się spotkanie z aktywem zakładu. Zofia Grzyb dość skrótowo przedstawiła tematy, którym będzie poświęcone XVI Plenum KC PZPR, podkreślając fakt, iż do udziału w nim zaproszono 800 robotników, w tym wielu bezpartyjnych. — Dobrze się stało — mówiła — że plenum odbywa się w Łodzi, w mieście robotniczym. Właśnie w czasie jego trwania będziemy chcieli poszukać nowych, zacieśniających się więzów pomiędzy partią a klasą robotniczą. Dalej mówiła o tym, że podczas obrad wiele tematów nurtujących nie tylko władzę, ale i społeczeństwo zostanie poddanych wnikliwej analizie. A więc będzie mowa i o zaopatrzeniu, i o trudnościach gospodarczych, o korzystnych warunkach rozwoju gospodarki i o sprawiedliwości społecznej, o marnotrawstwie, jakości produkcji, a także i o szacunku dla pracy, o cenach, płacach, budownictwie mieszkaniowym i o sytuacji międzynarodowej. A także o wielu innych ważkich i ważnych zagadnieniach determinujących życie w kraju.

— Partia — mówiła Zofia Grzyb — podchodzi z wielką uwagą do głosów ludzi pracy. Bo jest ona częścią klasy robotniczej. A przeszło połowa ludzi zatrudnionych — to robotnicy. I dlatego potrzeba by jak najwięcej robotników było we władzach partyjnych, choć, jak dotąd nie za bardzo się to udaje. A więc i o tym będzie mowa na XVI Plenum. Zresztą tematów będzie dużo, właściwie nie zabraknie żadnej dziedziny życia, o której by zapomnieli uczestnicy obrad plenarnych. Przecież obok najwyższych władz partyjnych w obradach będą uczestniczyć członkowie rządu PRL.

Rozmowa z aktywem „Skogaru" trwała trzy godziny. Były pytania, wnioski, dzielono się uwagami i spostrzeżeniami. I jak to zwykle bywa, najważniejszymi okazały się sprawy dnia dzisiejszego i najbliższej przyszłości. A więc budownictwo mieszkanio-

we, zaopatrzenie, wychowanie młodego pokolenia, polityka kadrowa, płace.

Oto kilka głosów, które zanotowałem.

Janusz Baranowski — przew. zakładowego ZSMP: — Chcę mówić o kredytach MM. Już zgłaszaliśmy protest przeciwko zawieszeniu sprzedaży na te kredyty pewnych artykułów, przez co wiele młodych małżeństw nie może się należycie zagospodarować. Na dodatek w tym samym czasie zawieszono udzielanie kredytów MM. Więc co dalej? Przecież to młodej matce potrzebna jest pralka automatyczna i maszyna do szycia: przydziałowe 30 pieluch często nie wystarcza na jeden dzień, a ubranek dla osesków w naszych sklepach nie uświadczysz. Więc trzeba co dzień prać i ciągle coś tam kroić i szyć.

Bolesław Olesiński — przewodniczący NSZZ ŁZPS „Skogar": — Narzekamy, że mamy takie dzieci jakie mamy. A czyja to wina? Wina nas wszystkich, bo ciągle popełniamy niewybaczalne błędy wychowawcze. Trzeba więc już dziecku wpajać, że najwyższą wartością jest praca i tylko praca. Że kiedy jest w szkole — to jest właśnie jego praca. I kiedy pójdzie do zakładu — to będzie kontynuować pracę rozpoczętą jeszcze w szkole. Czyli należy tak kierować młodym człowiekiem, by wyrobić w nim przeświadczenie, że praca jest czymś najważniejszym. Wtedy dopiero będziemy mogli powiedzieć, że mamy dobrze wychowaną młodzież.

Zbigniew Poczekaj — kierownik przygotowania produkcji: — Chcę mówić o kilku sprawach, ale wśród nich najważniejsze to: sprawa jakości, polityka kadrowa i płace. Z jakością jest różnie. Czasem zależy ona od surowca. Oto u nas produkujemy buty do krajów kapitalistycznych na spodzie z poligumu. Potrzebujemy poligum grubości 2 cm. Ale otrzymywany surowiec jest nierówny i po prostu się nie nadaje. Więc bierzemy ten 5 cm i ścieramy go do potrzebnych wymiarów. Więc jak możemy mówić o oszczędności, o szukaniu rezerw, o jakości? Gdybyśmy jednak złożyli reklamację, wówczas producent w przyszłości będzie albo nas pomijać przy rozdzielniku albo w nieskończoność wydłużać terminy dostawy.

— Polityka kadrowa: u nas czegoś takiego nie ma. U nas po prostu nie ma modelu odchodzenia ze stanowiska. Gdy się odchodzi to ludzie traktują to jako degradację, upadek, wyrzucenie, dyskryminację itp. Płace: nie są wysokie, ale nawet gdyby były zadowalające to i tak nic za nie nie można kupić, chyba że się da łapówkę.

Lucjan Stefaniak — ślusarz: — My, członkowie partii nie mamy argumentów w dyskusji z niepartyjnymi. Jeśli gazety piszą o marnotrawstwie, to nie ma wzmianki, że odpowiedzialni ludzie zostali za to ukarani. Robotnicy pytają: dlaczego? Dlaczego często się tylko zdejmuje i przenosi na inne stanowisko?

Maria Pacyniak — szwaczka: — Wszyscy dążymy do pojednania narodowego. A jak to wygląda u nas? Związki zawodowe załatwiły wczasy tylko dla swoich członków. A co z resztą? W Tomaszowie związkowcy otrzymali, po 4 paczki herbaty, niezrzeszeni — po dwie. Gdy sprowadzono ryby, to dostali je tylko związkowcy. Więc jakie może być to porozumienie w narodzie?

Eugeniusz Wiatrów — kier. wydziału przygotowania produkcji: — Jak to się dzieje, że ci co nie pracują mogą kupić wszystko, gdyż mogą całe dni stać w kolejkach. A my po pracy możemy tylko obejrzeć w sklepach puste haki. Dlaczego się więc dziwić, że gdy przywiozą do naszego kiosku kiełbasę ludzie rzucają pracę i ustawiają się w kolejkę?

Tyle, co zdążyłem zanotować z dyskusji. Towarzyszka Zofia Grzyb na zakończenie powiedziała, że nie przyszła tu po to, by cokolwiek podsumowywać, ale po to by sprawy robotników „Skogaru" przekazać towarzyszom zebranym na XVI Plenum.

„EMA-ELESTER"

Nie „oni" lecz my sami

— To prawda, że w ostatnim czasie ukazało się tak wiele nowych ustaw, jak nigdy w historii w tak krótkim czasie. Prawda również, że nie są one realizowane w praktyce, a niektóre, np. ustawa o pasożytnictwie czy antyspekulacyjna albo antyalkoholowa są praktycznie nie do zrealizowania, pomyślane raczej na miarę marzeń o tym, jak być powinno, a nie możliwości rzeczywistego działania. Ale przecież nie można przez to twierdzić, żes ustawy są złe, czy też uchwalono je niepotrzebnie. Problem nie tkwi — jak sądzą niektórzy — w tym, że nowych ustaw jest zbyt wiele, ale w zupełnie czym innym: przecież to samo społeczeństwo, my wszyscy, którzy domagamy się nowych ustaw, wierząc że zwalczą one patologiczne zjawiska społeczne, nie realizujemy ich, z własnego wygodnictwa. To my w praktyce nie przestrzegamy praw, których żądaliśmy, postępując według zasady że jeśli wszyscy inni będą ich przestrzegać, to szkodliwe zjawiska zostaną wytępione. Ci „inni" myślą akurat tak samo.

Trzeba oczywiście szukać metod, które, bez względu na ustawę, od zaraz pomogą zlikwidować czy choćby złagodzić patologiczne zjawiska. Tymczasem znowu — domagamy się tego od władzy, od milicji, od „innych", a niczego nie wymagamy od siebie samych.

Np. mówiąc z oburzeniem o pomarańczach, sprzedawanych na targu po 1500 zł za kilogram, czy o innych towarach, przywiezionych z zagranicy i sprzedawanych po spekulacyjnych cenach domagamy się, aby szybko, drastycznymi środkami ukrócić ten proceder. Ale nie myślimy przy tym, że wiele z tych towarów przywieźli tacy jak my, robotnicy, którzy np. wyjechali do NRD (skąd ostatnio jest największy przemyt). Robotnicy, których wśród nas nie tylko że tolerujemy ale nawet zamawiamy u nich różne towary, które mają przywieźć z następnego wyjazdu. Czy postępując tak mamy prawo domagać się surowych kar dla spekulantów?

Takie zjawiska musimy tępić my sami — nie milicja, nie „oni", ale my, ludzie pracy...

To fragment wypowiedzi, jaką wygłosił **Stanisław Kałkus, członek Biura Politycznego KC PZPR,** na spotkaniu z aktywem Zakładów Aparatury Elektrycznej EMA-ELESTER w Łodzi. Stanisławowi Kałkusowi towarzyszyli inni członkowie i zastępcy członków Plenum KC PZPR, a w spotkaniu uczestniczyli nie tylko aktywiści — członkowie partii, lecz także bezpartyjni przedstawiciele wszystkich działających na terenie zakładu organizacji, w tym również trzech robotników, którzy, po raz pierwszy w historii zakładu, zaproszeni zostali do udziału w obradach XVI Plenum.

W czterech łódzkich zakładach EMA-ELESTERU pracuje ponad 2300 osób, w tym 1800 robotników, 436 członków PZPR. Nie brak tu — podobnie jak we wszystkich zakładach, kłopotów; wynikających przy realizacji bieżących zadań, załoga skarży się na poważne trudności, związane z dojazdami do pracy i fatalnie w tym rejonie funkcjonującą komunikacją, wiele osób szuka w związkach zawodowych pomocy w uzyskaniu mieszkania. Kobiety narzekają na nie najlepsze zaopatrzenie zakładowych kiosków spożywczych, wszystkim dokuczają trudne warunki pracy — hałas, wibracje, kontakt z powodującymi choroby skóry chemicznymi substancjami, ciasnota. Mimo wprowadzenia nowego, zaakceptowanego przez załogę systemu wynagrodzeń, zarobki ciągle są niższe od średniej krajowej, jedne z najniższych pośród zakładów łódzkich. Tymi problemami załoga żyje na co dzień, o nich mówi się na zebraniach partyjnych, związkowych, podczas przerw w pracy. Niektóre z nich znalazły odbicie także w wypowiedziach na spotkaniu aktywu z gośćmi z KC PZPR. Przede wszystkim mówiono jednak o sprawach i problemach bardziej ogólnych, nurtujących nie tylko załogę fabryki, lecz całe społeczeństwo Łodzi czy kraju.

Oto kilka głosów w dyskusji.

— Chcielibyśmy, aby członkowie Plenum KC poparli dążenia przede wszystkim kobiet, które najbardziej obciążone są obowiązkami wynikającymi z prowadzenia domu, do powiększenia zaplecza rolniczego Łodzi. Dostajemy od innych województw, bardziej rolniczych, tylko to, co dać nam muszą na zaopatrzenie kartkowe. Reszta, a więc podroby, drób itp. zostaje u nich. W Łodzi są to towary niedostępne...

— Kryzys rozłożony jest niejednakowo. Rolnik, nawet marnie gospodarujący, zawsze może powiedzieć — i często mówi, że coś mu się nie opłaca. Tyle, co dla swojej rodziny będzie miał zawsze. A robotnikowi musi się opłacać — inaczej po prostu nie będzie miał na życie. Wydaje się, że partia powinna dojść do lepszego porozumienia z organizacjami rolniczymi, tak, aby to, co wyprodukuje rolnik trafiało do miasta, do sklepów. Obecnie zbyt wiele, zwłaszcza mięsa, idzie na lewo. Korzystają z tego najbardziej zamożni.

— Wiadomo, że w ramach ograniczania inflacji stosuje się rozmaite ograniczenia dla przedsiębiorstw, hamujące szybszy wzrost zarobków. Z drugiej strony — niewspółmiernie rosną ceny artykułów nazywanych luksusowymi, które ja nazwałbym raczej artykułami drugiej potrzeby. Stają się one niedostępne nawet dla bardzo dobrze pracującego robotnika, nawet jeśli ma on stosunkowo wysokie dochody. Jeśli tacy ludzie — najlepsi, najbardziej wydajni z nas — nie będą mogli kupić pralki czy samochodu, poprawić swego standardu — zniechęcą się do pracy. Stracimy liderów w przedsiębiorstwach. Ponadto — efekty tych podwyżek nie są moim zdaniem należycie wykorzystane. Powinny być użyte w całości na stworzenie motywacji dla producentów poszukiwanych towarów, do zwiększenia produkcji...

— Dlaczego w tym roku przesunięta została granica zarobków, od której płaci się podatek dochodowy? Nas w zakładach, gdzie średnia płaca jest niska to nie dotyczy, ale rozgoryczenie budzi fakt, że po raz kolejny dodano tym, którzy i tak mają więcej i którzy w większym stopniu bez konieczności drastycznych ograniczeń mogą i powinni wspierać budżet państwa.

„VERA"

Wygórowanych żądań nie było

W Zakładach Wyrobów Obiciowych „Vera" do wizyt oficjalnych delegacji nie trzeba się specjalnie przygotowywać, nie trzeba na gwałt robić generalnych porządków, ani też wymyślać specjalnych tras zwiedzania fabryki, żeby ukryć co bardziej wstydliwe zakamarki. Bo też oddana w połowie 1976 roku „Vera" należy do najnowocześniejszych zakładów w przemyśle lekkim i goście ze Śląska, którzy razem z **członkiem Biura Politycznego KC PZPR — Jerzym Romanikiem** złożyli wizytę w tej fabryce, byli tym mile zaskoczeni. Aktualny stan produkcji w „Verze" przedstawił gościom dyrektor **Janusz Wysocki**, a z przebiegiem pracy organizacji partyjnej zapoznała ich I sekretarz KZ PZPR — **Mirosława Rogalska.**

„Vera" nie narzeka na brak ludzi. Jeśli ma trudności, to przede wszystkim z surowcem oraz jego jakością, a także z częściami zamiennymi do maszyn. W 1979 roku „Vera" oddała na rynek 9 150 tys. metrów dzianin i to był jej produkcyjny rekord. Plan na 1984 rok wynosi 8 400 tys. metrów i jest to tylko niewielkie obniżenie poziomu produkcji, a trzeba wziąć pod uwagę fakt, że załoga zmniejszyła się w tym czasie o 20 proc. Poza tym brak dewiz na zakup różnych części i urządzeń zmusił do stosowania własnych rozwiązań, co w rezultacie przyniosło 20 tysięcy dolarów oszczędności. Tyle, że „Vera" z tych oszczędności korzystać nie może, bo nie ma własnego odpisu dewizowego.

Stopniowe wprowadzanie systemu motywacyjnego, co oznacza, że płaci się za ilość, ale przede wszystkim za jakość, przyniosło w „Verze" znaczny wzrost wydajności i poprawę jakości produkcji.

Takie skrótowe zapoznanie z problemami „Very" ułatwiło potem gościom rozmowy z robotnikami. A rozmowy były tym łatwiejsze, że to właśnie Śląsk był i jest głównym odbiorcą dzianin z „Very". Goście byli żywo zainteresowani przebiegiem produkcji tego, co posiadają we własnych domach, ale z równym zainteresowaniem wypytywali pracowników „Very" o warunki pracy, o wysokość zarobków, o warunki codziennego życia.

Jakie problemy przedstawili pracownicy „Very"? Co jest dla nich szczególnie uciążliwe?

Dla młodych matek przede wszystkim praca na trzy zmiany. „Vera" kształci dla siebie kadry fachowców, ale niektóre z uczennic już dziś myślą o tym, aby po ukończeniu nauki poszukać sobie lżejszej pracy. Starsze robotnice mówiły, że zaczynały od pracy na trzy zmiany i pracowały w tym systemie przez wiele lat. Dla młodych to nie jest argument. Dla wszystkich kobiet jednakowo trudnym problemem jest zaopatrzenie. Ich zdaniem kioski zakładowe powinny być lepiej i obficiej zaopatrywane w różne artykuły. To ułatwiłoby kobietom życie, bo po zakończeniu pracy często nie mają już co kupić w sklepach. Pracownicy „Very" zgodnie podkreślali również, że obecne ceny wczasów nie są obliczone na robociarską kieszeń. Robotnika powinno być stać, żeby przynajmniej raz na dwa lata mógł z wczasów skorzystać i trudno powiedzieć, żeby to było wygórowane żądanie.

Pracowników „Very" oburza również łamanie zasad sprawiedliwości społecznej. Wiele osób nie rozumie, jak można w ogóle nie pracować i żyć. Mirosława Rogalska przedstawiła uwagi załogi w tej sprawie, wysuwając również postulat określenia minimum socjalnego, które w odczuciu załogi „Very" jest w tej chwili zbyt niskie. Docenia się to, co już zrobiono dla poprawy warunków życia, ale jednocześnie widzi się to, czego jeszcze nie osiągnięto. I te właśnie braki przede wszystkim niepokoją.

Zbigniew Barczewski — przewodniczący związków zawodowych w „Verze", zgłosił poważne zastrzeżenia co do przepisów obowiązujących przy naliczaniu funduszu socjalnego. Z tego funduszu zakład może dofinansować kolonie dla zaledwie 250 dzieci, a trzeba przecież jeszcze dofinansować wczasy pracowników, pamiętać o emerytach i rencistach, o imprezach związanych z dniem dziecka i choinką. Po podliczeniu wszystkiego na działalność kulturalną zostaje 50 tys. zł, na sobotnio-niedzielny wypoczynek... 35 tys. zł. — Starzeją się nie tylko maszyny i urządzenia — mówił Zbigniew Barczewski — powoli tracą siły i zdrowie ludzie. Kobiety łódzkie pracują bardzo ofiarnie, borykają się z kłopotami życia codziennego. Co im dajemy w zamian? Ograniczamy im możliwość należytego wypoczynku urlopowego, ograniczamy możliwość regeneracji sił w soboty i niedziele, bo niewiele im możemy przy takich funduszach socjalnych zaoferować.

W dyskusji podnoszono również sprawę nadmiernej ilości zarządzeń i postanowień, do których często brak przepisów wykonawczych, a często są podejmowane ze szczebla centralnego bez właściwego rozeznania w przedsiębiorstwach. Konkretnym przykładem takiej działalności było rozporządzenie w sprawie reorganizacji transportu zakładowego poprzez wycofywanie samochodów zużywających duże ilości paliwa. Sama idea jest słuszna, ale jej realizacja, zamiast przynieść spodziewane oszczędności, naraziła przedsiębiorstwo na poważne straty. I wprawdzie obecny na spotkaniu minister przemysłu chemicznego i lekkiego — **Edward Grzywa** — uznał argumentację pracowników „Very", to niewiele mógł im obiecać, ponieważ owo zarządzenie wypłynęło z innego resortu.

Jeden z dyskutantów — **Wacław Sziska**, upomniał się o otwarte dyskusje przedstawicieli rządu ze społeczeństwem w telewizji, które choć bywają kontrowersyjne, to przynoszą pozytywny skutek, gdyż bardziej przekonują ludzi niż układzone i przez to nijakie wypowiedzi. Natomiast **Lucyna Biernacka**, w imieniu młodych, podniosła sprawy budownictwa mieszkaniowego, które wymagają uporządkowania i jasnej polityki. Młodzi ludzie są szczególnie zainteresowani budową nowych mieszkań, ale trzeba przyjść im z konkretną i konsekwentną pomocą.

Żegnając się z pracownikami „Very", Jerzy Romanik stwierdził, że taki bezpośredni kontakt z robotnikami jest bardzo potrzebny. Pozwala szerzej i głębiej widzieć sprawy ludzi pracy, a dzięki temu można skuteczniej kształtować politykę partii.

„FEMINA"

Przede wszystkim sprawiedliwość społeczna

Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego „Femina" — najstarsze przedsiębiorstwo w tej branży na terenie Łodzi.

Załoga liczy 1400 osób, z czego większość — 80 proc. to kobiety. „Femina" specjalizuje się w wytwarzaniu bielizny damskiej z surowców pochodzenia krajowego. Blisko 40 proc. produkcji trafia na rynki krajów zachodnich. Zakład znany jest z wysokiej jakości wyrobów i bogactwa asortymentowego. Tylko w bieżącym roku wprowadzono do produkcji 250 nowych modeli. Największą bolączką kierownictwa są niedobory w zatrudnieniu.

O godzinie 13.30 zakładowy autokar opatrzony numerem 28 przywiózł długo oczekiwanych gości z województwa warszawskiego, z przewodniczącym grupie, **członkiem Biura Politycznego KC PZPR Albinem Siwakiem.**

Przedstawiciele najwyższych władz partyjnych odwiedzili wszystkie działy produkcyjne — od wzorcowni do wykończalni. Przewodniczką po terenie zakładu była jego wieloletnia pracownica, członkini KC PZPR i przewodnicząca zakładowego samorządu, **Jadwiga Nowakowska.** Goście szczegółowo zapoznali się z warunkami pracy i problemami załogi. W częstych rozmowach, prowadzonych przy stanowiskach produkcyjnych, Albin Siwak stawiał pytanie:

— W robotniczym mieście Łodzi odbywać się będzie robotnicze plenum — co wy, bezpartyjne kobiety powiedziałybyście na nim w imieniu klasy robotniczej?

Robotnice mówiły przede wszystkim o codziennych bolączkach kobiety pracującej i prowadzącej dom. Poruszano problemy poziomu płac, złego zaopatrzenia i sytuacji mieszkaniowej.

Szwaczka od 33 lat pracująca w „Feminie", powiedziała: jako kobiety to my naprawdę ciężko pracujemy. Praca i dom, praca i dom i te przeklęte kolejki. Zmęczone jesteśmy tym wszystkim. Wczoraj pracowałam po obiedzie, rano wstałam do rzeźnika i nic nie dostałam, bo już dla mnie nie starczyło. Ja już nie mam sił.

Pracownicy postulowali, aby zmienić zasady funkcjonowania handlu, preferując zaopatrzenie sklepów wewnątrzzakładowych oraz by artykuły przemysłowe trafiały na sklepowe półki także w godzinach popołudniowych, bowiem ludzie kończący pracę na rannej zmianie nie mają możliwości ich nabycia.

Rozmowy dotyczyły także niedawnych decyzji pozwalających na wcześniejsze uzyskiwanie świadczeń emerytalnych. Wskazywano na negatywne skutki gwałtownego odpływu kadr wysokokwalifikowanych z przemysłu i w konsekwencji na zbyt duże obciążenie pracą reszty zatrudnionych.

Wiele krytycznych uwag padło pod adresem kontroli społecznej. Mówiono o przejawach patologii społecznej; spekulacji, pasożytnictwie i nieuczciwym bogaceniu się. — Jest taka ogromna rozbieżność — żaliły się kobiety. — Jeden żyje jak lord, a drugi tyle o ile wiąże koniec z końcem. My staramy się dobrze robić, ale co z tego, jeżeli inni wykupują nasze towary, sprzedają je po wyższych cenach i mają z tego miliony, a my tylko parę tysięcy? Trzeba skończyć z takimi praktykami...

W odpowiedzi Albin Siwak stwierdził między innymi: — po to chcemy zrobić XVI Plenum wśród robotników bezpartyjnych, w mieście o tradycjach robotniczych, żeby sobie wreszcie w oczy powiedzieć jaki ustrój będziemy budować, dla kogo — dla butików czy dla ludzi pracy. Chodzi o to, żeby podjąć decyzje wspólnie.

Załoga „Feminy" w bardzo ciepłych słowach mówiła o postawie i aktywności Jadwigi Nowakowskiej. Członkini KC cieszy się sympatią współtowarzyszek pracy, a przez młodzież uznana została za najlepszego mistrza — wychowawcę.

Warszawscy goście długo jeszcze rozmawiali z pracownikami „Feminy". Na każdym niemal kroku dochodziło do rzeczowych dyskusji. Wystarczy powiedzieć, że wizyta w działach produkcyjnych została znacznie przedłużona, wykraczając poza wcześniej ustalony harmonogram.

Bezpośrednio z hal produkcyjnych członkowie centralnych władz partyjnych przeszli do świetlicy, gdzie odbyło się spotkanie z aktywem polityczno-społecznym fabryki. Tutaj — już bez emocji — mówiono o doświadczeniach działań związkowych i samorządowych. Przewodniczący związku zawodowego, **Zdzisław Koziorowski** wskazał na rosnącą rolę i autorytet tej organizacji na terenie zakładu. — Jako związek jesteśmy dość silni — powiedział Z. Koziorowski. — Problemy są różne. Obecnie są to głównie sprawy mieszkaniowe. Dziś można się pochwalić, że dzięki dobrej współpracy z naczelnikami dzielnic udało nam się załatwić wiele bolących, a i powiedziałbym, tragicznych spraw. Załoga musi się przekonać, że jesteśmy potrzebni przy rozwiązywaniu konkretnych ludzkich spraw...

Zgłoszono niemało wniosków dotyczących spraw ekonomicznych — w tym głównie zaopatrzenia, płac, przeciwdziałania marnotrawstwu i niegospodarności.

Raz jeszcze powrócił temat sprawiedliwości społecznej. — Taksówkarz dostaje benzynę, nie musi jeździć i nie musi pracować, bo sprzedaje ją po 150 złotych — zauważył mistrz-dziewiarz z „Feminy". — Czy nie można zrobić, żeby ceny w państwie obowiązywały wszystkich. Albo w telewizji — przecież to jest zupełnie jak w kapitaliźmie — pokazuje się faceta kupującego nartę pana Łuszczka, jak płaci za jedną nartę 40 tysięcy. Proszę państwa to jest obraza — obraza rzetelnie pracującego społeczeństwa w Polsce...

Przewodnicząca Zarządu Zakładowego ZSMP, **Małgorzata Życzkiewicz** stwierdziła, że młodzież w „Feminie" nie jest bierna i sama chce rozwiązywać swoje problemy. I tak, młodzi wypracowują dodatkowe fundusze potrzebne na finansowanie rekreacji i wypoczynku myjąc i porządkując wydziały produkcyjne po zakończeniu ostatniej zmiany. Wątpliwości i obawy budziły zbyt wysokie ceny artykułów ponadstandardowych i niedostateczna ich podaż szczególnie dla młodych małżeństw.

Mówcy zaznaczyli, że robotnicy oczekują wielu pilnych decyzji, jakie powinny zapaść podczas obrad XVI Plenum KC PZPR.

Oto refleksje warszawskich gości ze spotkania w „Feminie".

Jerzy Janicki, członek KC: — Sam jestem z bardzo dużego zakładu przemysłowego. Nie miałem dotąd okazji zwiedzać zakładu przemysłu lekkiego. Uważam, że forma, którą wybrano jest chyba interesująca z tego względu, że człowiek często widzi swoje podwórko, natomiast spotykając się w innym gronie, innym mieście, może patrzy na te problemy trochę inaczej.

Albin Siwak: — Jest to kontakt z klasą robotniczą, a przecież poświęcamy obrady wybitnie klasie robotniczej. Myśmy wyszli z takiego założenia, że należałoby wcześniej, przed dyskusją na dużej sali, podyskutować sobie takim językiem robotniczym, bez ubierania w słówka, bez owijania w bawełnę, co boli klasę robotniczą, jakie widzi rozwiązania szeregu problemów. Muszę powiedzieć, że klasa robotnicza w swojej masie zaczyna dorastać do tego, że chce brać w swoje ręce swój robotniczy, socjalistyczny ustrój. To jest wspaniały objaw.

Relacje przygotowali:
EUGENIUSZ IWANICKI, TERESA JERZYKOWSKA, ROMAN KUBIAK, BOGDA MADEJ, KAROL J. STRYJSKI, PAWEŁ TOMASZEWSKI.

ZIELONE ŚWIĘTA W DAWNEJ ŁODZI

Wielkie strzelanie w Źródliskach

Z nastaniem lata w dni świąteczne i niedziele mieszkańcy Łodzi uciekali całymi karawanami z zadymionego miasta. Szli wraz z rodzinami w stronę Zgierza lub Łagiewnik i w tamtejszych lasach rozkładali się gwarnymi obozowiskami, w których rej wodziły dzieci. Posilali się przyniesionym w koszykach prowiantem, potem starsi zmęczeni kładli się na zielonej trawie, młodsi chodzili po lesie, rozmawiali, śmiali się wesoło, nawoływali Dzieci wspinały się na drzewa, biegały, krzyczały. Gwar tych głosów rozchodził się daleko po lesie. O zmroku dopiero powracali wszyscy do swoich domów z nowymi zapasami sił do całotygodniowej, ciężkiej pracy

Ale najbardziej przyjemnie, uroczyście i wesoło spędzali mieszkańcy dawnej Łodzi drugi i trzeci dzień po Zielonych Świętach. Sposób świętowania tych dni przywieźli ze sobą osadnicy niemieccy, którym nadawano rozmaite przywileje pod względem zabaw za granicą używanych, między innymi dozwolono urządzać i należeć do Towarzystwa Strzelców Tarczowych. Zgromadzenie Strzeleckie założone przez zagranicznych fabrykantów miało mieć charakter prywatny i praktycznie zaczęło działać dopiero w trzy lata później. Przybyli przeważnie ze Śląska z Grünberga sukiennicy postanowili urządzać coroczne uroczyste święta strzeleckie, w czasie których główną atrakcją miało być strzelanie do tarczy. Na święta te wyznaczono drugi i trzeci dzień Zielonych Świąt.

Pierwsza tego rodzaju uroczystość odbyła się 7 czerwca 1824 r. W tym samym roku powstał statut towarzystwa i wyznaczono nagrody za najcelniejsze strzały. W czasie uroczystości strzeleckiej w 1826 r. radca stanu, prezes Komisji Woj. Mazowieckiego Rembeliński przyrzekł Towarzystwu Strzeleckiemu opiekę i zapewnił, że będzie wyznaczone oddzielne miejsce na strzelanie. W ciągu pięciu lat następnych święta strzeleckie odbywały się w dolinie Starej Wsi, która znajdowała się między dzisiejszymi ulicami: Północną, Franciszkańską i Rewolucji 1905 roku.

W czasie powstania listopadowego i bezpośrednio po powstaniu w latach 1831—33 uroczystości strzeleckie nie odbywały się. Lecz po roku 1834 na nowo wyznaczono strzelania do tarczy. Rozwiązane Towarzystwo Strzelców Tarczowych uchwaliło nową ustawę. Wprowadzono jednakowe zielone mundury i porządek wojskowy Liczba członków powiększyła się do 140, wzrosły dochody kasy towarzystwa.

Strzelnice podobne istniały również w Królewcu, w Poznaniu, we Lwowie i wielu różnych miastach fabrycznych w Polsce.

Gdy nadchodził drugi i trzeci dzień Zielonych Świątek cała Łódź myślała o czekającej ją zabawie. Ruch fabryczny zamierał w niej zupełnie. Ze wszystkich stron Polski zjeżdżali się goście. Nawet i stolica wysyłała swych reprezentantów, którzy rezygnowali z wesołych zabaw na Bielanach, ażeby wziąć udział w uroczystości strzeleckiej w Łodzi.

O godzinie 9 rano wszyscy członkowie towarzystwa w swych zielonych mundurach, w szyku wojskowym, ze strzelbami na ramieniu szli pod komendą swego kapitana na Rynek Nowego Miasta i ustawiali się w szeregu przed ratuszem. Starsi spośród strzelców zapraszali prezydenta Łodzi. Gospodarz miasta przybrany także w zielony mundur stawał na przedzie orszaku. W tym uroczystym momencie w takt marsza grała orkiestra. Jednocześnie rozwijała się kolorowa chorągiew. Pochód poprzedzał strzelec, który niósł tarczę honorową — dar ostatniego króla kurkowego. Orszak kierował się do mieszkania króla. Panowanie jego miało się niedługo skończyć. Teraz przyłączał się do pochodu przybrany jeszcze w odznaki swej władzy: wielką gwiazdę na piersiach i przewieszoną przez plecy zieloną szarfę z przeróżnymi odznakami ofiarowanymi przez ustępujących królów.

Strzelnica mieściła się w oddzielnym, specjalnie na ten cel postawionym drewnianym budynku w pięknym, spacerowym ogrodzie angielskim, w dzisiejszym parku Źródliska. Wewnątrz na pierwszym planie wisiała wielka tablica z wypisanymi na niej wszystkimi królami tarczowymi. Wiele przeróżnych tarcz i wieńców ozdabiało wnętrze. Były to trofea królów kurkowych.

Przez dwa dni odbywało się strzelanie do tarczy. Po skończonym strzelaniu tarcze oddawało się specjalnemu komitetowi. Ten osądzał sprawiedliwie i z bezwzględną dokładnością celność strzałów — po czym uroczyście ogłaszał króla tarczowego.

W tym czasie, gdy odbywała się walka o koronę strzelecką, w świeżo założonym parku Źródliska i na przyległej do niego rozległej równinie trwała wesoła zabawa. Nie brak tu było karuzeli, huśtawek młynów diabelskich, różnego rodzaju zawodów wprowadzonych do Polski przez obcych przybyszów. Wszędzie był zgiełk, tumult, jarmarczna wrzawa. Dookoła stołu stały szałasy z rozmaitymi artykułami. Wielkim powodzeniem cieszyła się też ruleta W zapełnionych rozbawionymi gośćmi altanach rozległego parku słychać było odgłosy toastów i aż dziwił się obecny na tych uroczystościach Oskar Flatt, historyk Łodzi, że ogród był tak duży, a zaledwie mieścił wszystkich uczestników zabawy.

„*Wobec tego widoku pełnego życia* — wydawało mu się czymś nieprawdopodobnym — *że jutro już ten ruch zamrze, a jednostajność fabrycznego życia zapanuje nad całym obszarem Łodzi, że znowu rok cały trzeba będzie czekać na taką uroczystość, aby Łódź zapomniawszy o wszystkim odżyła tylko myślą o dziś*".

Na zabawy strzeleckie na Zielone Świątki zjeżdżali się także, nawet z obcych krajów, wędrowni sztukmistrze, kuglarze, rozmaici przedsiębiorcy.

W czasie Zielonych Świąt 21 maja 1860 roku przedsiębiorca Karol Salomon urządził w Źródliskach cyrk i w nim demonstrował galerię figur woskowych. Włoch, Vincenzo Sposi dał przedstawienie teatru marionetek i pokazy sztuk gimnastycznych Poza tymi atrakcjami specjalnego czaru nabierały uroczystości strzeleckie, gdy wśród kręcących się karuzeli, diabelskich młynów, huśtawek z nastaniem zmroku zapalały się w parku fajerwerki, a na drzewach migotały kolorowe latarki.

NATALIA CANOVA

Dokończenie ze strony 1

chłopach zarobić?

— Proszę pana! My żyjemy z rolników, ale jesteśmy po to, żeby im służyć. To nie jest spółdzielnia Stasiaka Tu rządzą członkowie, udziałowcy i zarząd. W interesie wszystkich leży, by osiągnąć jakieś zyski. Nie zawsze się to udaje. Mamy na przykład połączony fundusz osobowy i bezosobowy To jest trochę zawiłe, powiem więc tylko że z takiego ustawienia przepisów wynika, że lepiej zapłacić przewoźnikowi 300 zł za tonę rozładowanego węgla, niżby to mieli robić nasi ludzie za jedyne 50 złotych.

— Jak to się dzieje, że rolnicy was chwalą? Bo na ogół nie słyszy się dobrej opinii o działalności geesów.

— Ja bym tego nie uogólniał. Tu jest lepiej, tam gorzej, różnie. My akurat mamy dobrą załogę i mądry, aktywny zarząd. Ponadto znajdujemy pełne zrozumienie w urzędzie gminy. Tak się składa, że naczelnik i sekretarz partii to ludzie z chłopskim rodowodem.

— A gdzie urzęduje ZSL?

— W budynku gminy.

— Na frontonie jest tablica, ale waszego lokalu nie można znaleźć.

— Bo my urzędujemy w piwnicy. Trudności lokalowe to problem nękający wszystkich. Ale jak się chce, to można dobrze działać w każdych warunkach.

— Pan przenosi tę dobrą działalność także na teren Gminnej Spółdzielni.

— Staram się. Zauważył pan, jaki tu ruch? Do prezydenta w mieście ludzie przychodzą wyznaczonego dnia, o wyznaczonej godzinie Rolnika nie można tak traktować. On nie ma wyznaczonych godzin pracy w polu. Nie może rzucić siewu i lecieć na czas do geesu. Poza tym odległości są znaczne...

— Jest tu wielu urzędników, ale chłopi ustawiają się w kolejce do pana.

— Pewnie dlatego, że urodziłem się na tym terenie i długo tu pracuję. To jest tak, jak z tą skradzioną krową. Mógłby się tym zająć plutonowy, ale lepiej iść do starego komendanta, bo on znał tę krowę więc szybciej znajdzie. Poza tym staramy się nie wypuszczać stąd interesantów nie załatwionych. Nie dzielimy ludzi według przynależności i poglądów, czy ktoś jest solidarny czy nie. Zdarzają się jeszcze tacy ze starego portfela, co mają własne kryteria: partyjnemu dać najwięcej, ludowcowi trochę mniej, a bezpartyjnemu coś na otarcie łez. Z takimi nie zrobi się porozumienia, a ono najbardziej potrzebne jest tutaj, na dole. Jak tutaj ludzie będą w spokoju pracować, to będzie co jeść. Dlatego też dla mnie liczy się tylko dobry rolnik, taki, co dużo u mnie kupuje ale jeszcze więcej sprzedaje do punktów skupu. Wie pan, czasem lepiej z mądrym stracić, niż z głupim zyskać.

— Dzisiaj ludzie się zastanawiają, kto z kogo żyje: wieś z miasta czy odwrotnie?

— Ja wiem na pewno, że żadne miasto nie może żyć bez rolnictwa. Tylko że u nas, proszę pana, między miastem i wsią ustawiła się armia pośredników. Ogrodnik dostaje za gerberę 50 zł, a w kwiaciarni ona idzie za 100 zł. Nie twierdzę, że ogrodnikowi się to nie opłaca. Ale to nie jest w porządku. Kiedy rolnik dostaje na skupie 800 zł za metr kartofli, a w państwowym sklepie sprzedaje się je po 1700 zł, to ludzi szlag trafia i klną nie tylko na marże i pośredników. A cały ciężar spada na chłopa i na robotnika. Robotnik płaci więcej, ale rolnik tych pieniędzy nie bierze.

— Mimo to twierdzi się, że chłopu żyje się za dobrze.

— Rolnik oszczędza, buduje, inwestuje, nie żyje jak ci, co się bogacą cudzym kosztem. Ale robotnik też nie ma słodko. Zresztą zależy, jak się liczy Są tacy co twierdzą, że to wszystko pięknie, że nauczyliśmy chłopów pisać i czytać, ale na nieszczęście nauczyliśmy ich także liczyć.

— To co, przydałoby się trochę analfabetyzmu na wsi?

— Jeśli chłop nie umie liczyć, to jego gospodarstwo upada Rolnik jest też pamiętliwy Sięgnie w przeszłość i powie, że kiedyś metr żyta kosztował trzysta złotych, a ciągnik tyle a tyle. Porówna obecną cenę żyta i cenę ciągnika i stwierdzi, że przelicznik się zgadza mniej więcej Tylko że on kupuje ciągnik raz na dziesięć lat Ale inne narzędzia, które kupuje częściej zdrożały niesamowicie. Są przy tym zlej jakości, bo nawala kontrola na wyższym szczeblu, i jest ich mało, więc GS z konieczności przyjmuje co jest, a pretensje kupujących skierowane są do nas Ceny pralnic czy lodówek rosną niemal co miesiąc, kontrola likwiduje zawyżone ceny, zakład płaci karę, ale te pieniądze nie wracają do kieszeni konsumenta. To ludzi denerwuje...

— A co jeszcze budzi niepokój na wsi?

— No, choćby paliwo. Obcięto ilość, podniesiono ceny, ale nie utworzono ceny komercyjnej, np. 100 zł za litr. Żeby nie było widać podziału na bogatych i biednych. A kto jeździ mercedesami?

— Polonezem lub fiatem też nie jeżdżą biedacy.

— No właśnie! Ludzie żebrzą u cwaniaków w stacjach benzynowych i jeżdżą po 120 — 150 za litr, bo muszą. Stwarza się okazję, a potem ściga przestępców. Rolnik lub ogrodnik musi załatwiać dziesiątki spraw w terenie, więc chciałby kupować legalnie benzynę po cenie komercyjnej. Rolnik chciałby wiedzieć, co go czeka, żeby mógł spokojnie pracować. Jaka będzie za trzy lata cena paliwa, jakie będą ceny zboża i jakie wysokie podatki.

— Ale te samochody i ceny komercyjne mogą pogłębiać antagonizm między miastem i wsią.

— To się bierze z czego innego, proszę pana. Jeśli wziąć pod uwagę ilość mieszkańców wsi i miast, to wieś dostaje znikomy procent towarów. Sklepy wiejskie świecą pustkami, są gumowce, ale nie ma potrzebnych ciepłych gumofilców. Z konieczności, żeby kupić skarpetki lub firanki, kobiety wiejskie stoją w kolejce do miejskich sklepów. Kolejki wrzeszczą, że wieś wszystko wykupuje, bo ma za dużo pieniędzy.

— Mimo wszystko ci rolnicy jakoś trzymają się ziemi. Mają też niezłe wyniki.

— Gdyby nie fatalny w skutkach podział administracyjny, Łódź miałaby rolnictwo, a tak to mamy dziesiątki tysięcy gospodarstw, ale nie produkcję rolną z prawdziwego zdarzenia.

— Czy właściciela 51 arów można nazwać rolnikiem lub gospodarzem?

— Tylko według przepisów. Kogo on ma doić i co uchować na takiej działce? Nie otrzymuje kartek ani świadczeń socjalnych. Jeśli otrzymuje emeryturę z fabryki, to nadal płaci na rolniczy fundusz emerytalny, z którego nigdy nie skorzysta. ZSL dąży do tego, żeby gospodarstwo liczyło się od 1 ha wzwyż. Chociaż według mnie gospodarstwo zaczyna się od 5 ha...

— A co pan myśli o ubojni i masarni w każdej gminie?

— Żeby żywiec nie jeździł po Polsce?

— Tak. Żeby zaspokoić potrzeby gminy na mięso i wyroby i żeby chłop dostał coś z tego za dostarczany żywiec.

— Tak powinno być. Ale na to trzeba mieć odpowiednią ilość trzody. Na wsi jest mięso na własny użytek, a w mieście go brakuje. Nie wozi się drzewa do lasu...

— W środkach masowego przekazu mówi się, że pogłowie trzody wzrasta.

— W zeszłym roku skupiliśmy połowę tego co w 1979 roku Nie wiem, może w innych gminach jest lepiej. Wszyscy natomiast wiedzą, że to jest niezbyt opłacalne. Na co więc czekamy. Do serca trafia się przez żołądek. Jeżeli produkcja stanie się bardziej opłacalna, to ruszy podaż żywca i będzie spokój.

— Ale pomijając ceny, istnieje chyba szansa, że będziemy mieli co jeść?

— Wie pan, aż się boję tego stwierdzenia, ale dzisiaj możemy mówić o klęsce urodzaju. Sucha jesień i zima, podobnie wczesna wiosna. Potem deszcze Ziemia wygrzana, wilgotna. Nawozy wysiane jesienią rozkładają się dopiero teraz razem z sianymi wiosną. Dlatego zboża takie dorodne, wybujałe, aż się kładą po silnym deszczu. Będzie w bród ziarna i pasz dla zwierząt Ale nie zapeszajmy, rok się jeszcze nie skończył Będziemy się cieszyć, jak wszystko szczęśliwie zbierzemy.

— Jest pan umiarkowanym optymistą. A jak pan ocenia, czy ranga ZSL wzrosła w ostatnich latach?

— Myślę, że tak. Ale uważam, że nadal brak nam siły przebicia. Doceniam wysiłki wicepremiera Romana Malinowskiego, śledzę z uwagą starania jednego czy dwóch ministrów, ale to mnie nie zadowala. Nie ta większość rządzących nie jest przeciwna polityce rolnej lansowanej przez ekipę rządową. Sęk w tym, że wielu z ludzi na stanowiskach nie rozumie i nie czuje rolnictwa.

— Czego więc należy wam życzyć przed Świętem Ludowym?

— Aby partia chłopska nie tylko była odpowiedzialna za rolnictwo, ale by miała także w tej sprawie głos decydujący Żeby rolnikom opłacało się produkować coraz więcej, a miasto mogło to kupić bez trudu i po godziwych cenach.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
RYSZARD BINKOWSKI

Potrójne życie

Foto: G. Gałasiński

Foto: G. Gałasiński

Biała rzeka

(Z ZAPACHEM PROSZKU DO PRANIA)

Słyszy się narzekania na masło, które nie daje się smarować, na mleko o zapachu proszku do prania, na śmietanę rzadszą od mleka, na twarogi gorzkie i kwaśne, na sery twarde będące twardymi tylko z nazwy...

Z drugiej strony dochodzą informacje, że nasze mleczarstwo jest zacofane, że spora ilość mleka nie trafia do przetwórstwa, że z kolei mleczarnie nie nadążają z przerobem. W telewizji lekarze i dietetycy nie tylko zachęcają do spożywania produktów mleczarskich, ale wręcz dowodzą, iż nasze zdrowie i samopoczucie ma swoje źródło w mleku i jego przetworach.

NA POCZĄTKU BYŁ ABSURD

W 1983 roku skup mleka w Polsce wyniósł około 10,5 mld litrów. Jest to sporo. O całe 1.200 mln litrów więcej niż w trudnym 1982 roku. A przecież wydawało się, iż szczytowym osiągnięciem skupu mleka był rok 1980, kiedy pobito wszelkie rekordy, jakie zanotowano w dziejach Polski Ludowej, kiedy do mleczarń dostarczono 10 mld litrów.

Gdyby przeprowadzić krzywą obrazującą skup mleka w ciągu roku, wówczas okaże się, że najwyższa jej amplituda przypada na miesiące letnie, najniższa w zimie. Taka huśtawka dostaw pociąga za sobą określone skutki. Występują duże trudności w przetworzeniu skupionego mleka na białkowe artykuły mleczarskie. To, co nie daje się przetworzyć na twarogi i twarożki, przetwarza się na kazeinę. W ubiegłym roku na ten cel zużyto aż 1.400 mln litrów mleka! Kazeina, niegdyś ważny surowiec w przemyśle włókienniczym, dziś zalega magazyny w mleczarniach i stanowi właściwie problem nie do rozwiązania. Nikt jej nie chce, a mleczarstwo musi ją produkować. Absurd? Zapewne. Przemysł mleczarski tłumaczy się tym, że na skutek braku dostatecznych zdolności przetwórczych białka mlecznego, a także z powodu złej jakości skupowanego mleka, musi robić kazeinę, bo nie może nadwyżek po prostu wylewać do kanału.

Ale po kolei. Produkcja mleka rozpoczyna się w oborze. Polskie obory nie zachęcają, by je zwiedzać. Higiena na wsi pozostawia nadal wiele do życzenia. Ale mleczarze twierdzą, że mleko zanieczyszczone gnojem, to jeszcze nie najgorsza sprawa. Poważnym mankamentem jest natomiast długa droga od producenta mleka do zakładu mleczarskiego. Ponadto istniejące w Polsce rozdrobnienie gospodarstw rolnych uniemożliwia skomasowanie produkcji mleka. Średnia dzienna dostawa z indywidualnego gospodarstwa rolnego w okresie letnim wynosi 20—25 litrów, a zimą spada do 10—15 l na dobę. Taka jest średnia. Natomiast w praktyce wygląda to czasami jeszcze gorzej: bo oto jedno z gospodarstw, specjalizujące się w produkcji mleka dostarcza nawet 200 litrów na dobę, natomiast inne malutkie, karłowate zaledwie 4 litry. Dodajmy do tego, że mleko z tych małych gospodarstw jest zazwyczaj niskiej jakości, gdyż rolnikowi nie opłaca się kupno specjalistycznych urządzeń technicznych lub sprzętu umożliwiającego produkcję lepszej jakości.

Ktoś powie, że przecież i tak gdzieś tam, w trakcie przetwarzania, mleko o wysokich walorach odżywczych zostanie wymieszane z tym o niższej jakości. To prawda. Ale droga obu produktów do mleczarni bywa taka sama. Ten sam wóz i ten sam wozak jedzie po owe 200 litrów i po tamte 4. Czyli te 4 litry obciążają kosztami każdy inny skupiony litr mleka. Gdyby tak przeliczyć dokładnie, okazałoby się, że nie jest czasami warta skórka za wyprawkę. W Polsce codziennie skupuje się mleko od 1,5 mln dostawców i wozi je 34 tysiące wozaków do ponad 10 tysięcy punktów skupu! Czy naprawdę to się nam opłaca?

WYSOKIE WYMAGANIA I ŻALE

Polskie mleczarstwo ustawiło dość wysoko poprzeczkę dla skupowanego mleka. Zaraz jednak podniosły się głosy protestu producentów, że w naszych warunkach hodowlanych uzyskanie tak wysokiej jakości jest wręcz niemożliwe. Natomiast konsumenci zarzucają nadal mleczarstwu, iż stosuje zbyt liberalne klasyfikacje, gdyż produkty trafiające na rynek daleko odbiegają od przyjętych wzorców. Spółdzielczość mleczarska broni się argumentując to tak: dostarczane do przerobu mleko prawie w 90 procentach jest I klasy, co świadczy dobrze o jego producentach, którzy potrafili przystosować się do wysokich wymogów jakościowych. Pozostałe 10 procent dostawców jest w sumie grupą nieliczną, która albo nie chce, albo nie umie, albo nie ma warunków do poprawy jakości mleka. Nad tą grupą winno się roztoczyć specjalny nadzór ze strony służb weterynaryjnych i spółdzielni mleczarskich. Pretensje konsumentów dotyczą niedociągnięć obiektywnych, spowodowanych systemem całej gospodarki mleczarskiej. Jeśli, argumentują, punkt skupu mleka przyjmuje dziennie nierzadko mleko od 500 do 700 dostawców (mleko trzeba przyjąć, zaewidencjonować, dokonać niezbędnych badań, pobrać próby jakościowe) wówczas te wszystkie czynności sprowadzają się praktycznie do kilku sekund przy każdym dostawcy. Jak więc można mówić o wnikliwych analizach, o przestrzeganiu podstawowych przepisów skoro mleko z punktu skupu musi jak najszybciej trafić do zlewni? Zamiast 2 godzin mleko znajdowałoby się w punkcie skupu 8 godzin i praktycznie nie nadawałoby się już do niczego. Tak więc z konieczności trzeba ograniczyć się do samej klasyfikacji mleka, resztę wykonuje się już w przetwórniach.

I tak toczy się spór, który nam, zwyczajnym zjadaczom, niczego nie ułatwia, ani nie polepsza. Nadal kostka masła z aktualną datą produkcji zalatuje oborą, rybami lub zjełczeniem i za nic nie chce się dać rozsmarować mimo podgrzewania, nadal kupione o świcie mleko warzy się na ogniu wydzielając odór przypalonego proszku ixi.

Zanim hodowla krów nie osiągnie europejskiego poziomu, zanim nie obejmie się opieką weterynaryjną wszystkich polskich krów, zanim nie zacznie się przewozić mleka zamiast w konwiach, w specjalnych wózkach izotermicznych lub zanim w każdym gospodarstwie indywidualnym nie zainstaluje się chłodni do przechowywania mleka — będzie tak jak jest i nie pomogą żadne biadolenia ani mądre przepisy. Teoria sobie, a praktyka sobie.

NA PRZYKŁAD — ŁASK

Mnie, jako konsumenta, interesuje wszakże praktyka. Postanowiłem na własne oczy przyjrzeć się produkcji mleka i jego przetworów w jednej z mleczarń województwa sieradzkiego. Pojechałem do Łasku.

Okręgową Spółdzielnię Mleczarską pamiętam jeszcze z czasów, kiedy mieściła się przy ul. Żeromskiego, w dawnym pożydowskim domu modlitwy. Przerabiano tu wówczas śmiesznie małą ilość mleka, bo zaledwie 30 tys. litrów dziennie. Ale szybko rosło zapotrzebowanie na masło, sery i mleko spożywcze. Stare mury okazały się za ciasne, tym bardziej, że dawny powiat łaski słynął z dobrego mleka. W 1963 r. przystąpiono więc do budowy nowoczesnego zakładu zlokalizowanego za miastem. Nie obyło się bez kłopotów, bowiem działkę o powierzchni 2 ha trzeba było wykupić aż od 100 właścicieli!

Zakład miał być nowoczesny co się zowie i kosztował 20 mln złotych, a dzienny przerób mleka miał wynosić 45 tys. litrów. Ale jak to u nas w owych latach z planowaniem bywało, w chwili oddania mleczarni do użytku, skup mleka wzrósł do 49 tys. litrów. Tak więc przecinając wstęgę władze wiedziały, że mleczarnia jest za mała, że trzeba było ją co najmniej podwoić jeśli nie potroić. Skutki braku wyobraźni ówczesnych projektantów dziś są nie do naprawienia. Przecież tak naprawdę, to po paru latach trzeba było dokonywać tu wielu zmian, wymieniać maszyny na nowocześniejsze, modernizować, ulepszać.

Moimi przewodnikami po mleczarni w Łasku są dwaj jej prezesi: JÓZEF BOJAKOWSKI i ANTONI TOMA. (Tego ostatniego pamiętam jeszcze, jak w latach czterdziestych zaczynał pracę w mleczarni, jako robotnik, potem był maślaczem, kontrolerem technicznym, majstrem produkcji, kierownikiem technicznym, a dziś jest wiceprezesem do spraw produkcji i techniki).

OSM w Łasku obejmuje swoim zasięgiem 6 gmin: Łask, Buczek, Sędziejowice, Widawę, Zapolice i Wodzierady. Za dostarczane mleko rolnicy otrzymują (oprócz pieniędzy) artykuły do jego produkcji oraz przetwory mleczne. W sezonie jesienno-zimowym te sześć gmin dostarcza ok. 100 tys. litrów mleka, w szczycie, tj. w maju-wrześniu ponad 175 tys. Jest to prawie 85 proc. całego mleka, jakie jest produkowane na terenie objętym przez mleczarnię.

ILE PŁACI SIĘ ZA MLEKO?

Czy rolnikom opłaca się sprzedawać mleko? Policzmy. Za 1 litr OSM płaci w zimie po 5 zł za każdy 1 procent tłuszczu w tym mleku, latem zaś — 4 zł. Ponadto dopłaca za jakość: za litr I klasy — 5,20 zł, za litr II klasy — 2 zł. Przeliczając to wszystko, wychodzi, że za 1 litr mleka I klasy przy zawartości 4 proc. tłuszczu rolnik otrzymuje 25 zł i 20 groszy. A jak już wspomniałem, okolice Łasku zawsze słynęły z dobrego mleka, więc z reguły 85 proc. skupu, to mleko I klasy. W skali województwa sieradzkiego OSM w Łasku plasuje się na czołowym miejscu pod względem klasy mleka, jego jakości i produktów stąd wychodzących. Zresztą jest to „stan normalny" bowiem OSM w Łasku od lat jest uważana za jedną z najlepszych mleczarń na tym rolniczym terenie.

W Łasku z mleka produkuje się: mleko wyborowe i mleko spożywcze, śmietanę, twarogi, sery, masło i kazeinę. Stąd sporo artykułów idzie na Śląsk (twarogi, sery; puławski i łowicki, 18 tys. litrów mleka), a także do Łodzi. Ale są trzy nie do rozwiązania, problemy. Pierwszy — to soboty i niedziele. W tych dniach nie pracują zakłady przetwórcze w Sosnowcu i Pabianicach, a więc całą nadwyżkę mleka przeznacza się na kazeinę. Dochodzi do tego mleko z własnego zakładu, gdyż wspomniane 6 gmin w soboty i niedziele nie odbierają mleka, a skup trwa nieprzerwanie. Jeszcze nie najgorzej jest w zimie, bo nadwyżki biorą proszkownie, ale w szczycie, gdy skup jest zwiększony, wszyscy mają pod dostatkiem własnego mleka, z którym nie zawsze wiedzą co zrobić. Wówczas pozostaje jedno wyjście: kazeina. I to jest właśnie ten drugi problem.

JAK ROZWIĄZAĆ TE TRUDNOŚCI?

Kiedyś, kiedy przemysł włókienniczy używał kazeiny, jej produkcja miała sens. Teraz odchodzi się od włókien sztucznych. Zamówienia niemal całkowicie ustały. Natomiast nie ustał proces produkcji kazeiny. Już w tej chwili w OSM w Łasku jest jej 90 ton i przybywa. Co dalej.

Kazeina mogłaby być dobrym komponentem dla produkcji pasz treściwych przeznaczonych dla trzody, drobiu i cieląt. Ale zakłady produkujące takie pasze także jej nie chcą. Koszt wytworzenia 1 kg kazeiny wynosi około 180 zł. To sporo. Natomiast przemysł paszowy za swoje mieszanki mięsno-kostno-rybne bierze od 105 do 125 zł za 1 kg. Dlatego płacić po 180 zł, by potem sprzedać po 105, nikomu się nie chce, gdyż jest to samobójstwo. Dziś trzy S obowiązują nie tylko w mleczarstwie. Z drugiej strony OSM także dba o własne dochody i kazeinę sprzedaje po 220 zł za 1 kg. Gdyby jednak zaryzykowała i sprzedała przetwórstwu paszowemu cały zapas poniżej kosztów własnych, powiedzmy po 125 zł za 1 kg, wówczas jej straty wyniosłyby około 40 mln zł! Dodajmy do tego podatek na FAZ — jakieś 13 mln — i trzeba będzie ogłosić upadłość przedsiębiorstwa, bowiem zyski planowane przez OSM wynoszą akurat 40 mln zł.

Błędne koło. Kazeinę trzeba produkować, bo nie ma innego wyjścia. Kazeina psuje się, nie może długo leżeć. Co z nią zrobić? Wyrzucić? A może zamiast tego należałoby zastosować inne wyjście, np. skupione od rolników mleko po odciągnięciu tłuszczu sprzedawać na karmę? Może to byłoby jakieś rozwiązanie? Tymczasem kazeinę rozwozi się do różnych, położonych nieraz kilkanaście kilometrów od Łasku, magazynów: w Buczku, Gucinie, Rogóźnie.

Wreszcie problem trzeci. OSM w Łasku wybudowano w latach sześćdziesiątych i już wtedy okazało się, że jest za mała wobec możliwości produkcyjnych okolicznych wiosek. Teraz, po latach, brak wyobraźni jej projektantów, mocno ciąży na całości pracy mleczarni. A więc nie ma pomieszczeń do przechowywania nieszczęsnej kazeiny, zbyt mały jest dział chłodniczy, za małe serowarki, nie wystarcza kotłownia, przydałaby się pilnie bodaj mała proszkownia mleka... Cała nadzieja w nowo wznoszonej mleczarni w Wieluniu, która ponoć będzie nowoczesnym zakładem (oby nie nowoczesnym na wczoraj!), i być może zabierze z Łasku nadwyżki mleka.

Problem ostatni: ludzie. Do pracy w mleczarstwie nikt nie chce przyjść. Tu się tyra świątek-piątek, a średnia zarobku wynosi zaledwie 13.184 zł łącznie z rekompensatą, dodatkami, godzinami nadliczbowymi z sobót, niedziel i świąt. Problem z nowo zatrudnionymi występuje nie tylko w działach bezpośrednio produkcyjnych, ale nawet w technicznych, specjalistycznych. Młodzi wolą iść do każdej innej pracy, bowiem mleczarstwo, ani nie zaspokaja ambicji, ani nie umożliwia godziwych zarobków. I jak na ironię, w soboty, niedziele i święta jest tu najwięcej pracy, bowiem dostarcza się wówczas mleko ze zlewni, a nikt go nie odbiera: ani handel, ani inne przetwórnie. A do tego warunki pracy nie należą do najprzyjemniejszych. Niemal wszystkie pomieszczenia produkcyjne toną w wodzie, ludzie brodzą w gumiakach, przechodzą z pomieszczeń nagrzanych do tych z obniżoną temperaturą... Chorują.

Jedna z najstarszych pracownic, pamiętająca jeszcze tamtą starą mleczarnię z pożydowskiego domu modlitwy, HENRYKA KOLASIŃSKA mówi, że od kilku lat cierpi na bóle reumatyczne i nikt nie chce uznać, że nabawiła się tej choroby właśnie w mleczarni, stojąc i chodząc po wodzie.

— *Z tej wody* — mówi — *z ciepła, muszę wchodzić do dojrzewalni serów, gdzie są niskie temperatury. I tak kilkanaście razy na dobę. A w nocy to nie mogę ruszyć ramionami i rano nogi nie mieszczą się w gumiakach...*

Nie zapomniałem także zapytać prezesów OSM, o owe zapachy masła i dziwne smaki serów i mleka. Odpowiedzieli, że wszystko zależy od tego, jak dana mleczarnia ułoży sobie pracę i współpracę z producentami mleka.

— *Na nasze wyroby nie mamy skarg* — odpowiedział wiceprezes OSM ANTONI TOMA. — *Gdyby tak jeszcze upchnąć gdzieś kazeinę...*

EUGENIUSZ IWANICKI

Rolnictwo u sąsiadów

NRD

Maszyny rolnicze i dla przemysłu spożywczego produkuje w NRD kombinat Fortschritt z siedzibą w Neustadt nad Saalą, zrzeszający 73 zakłady. Zatrudnia on ogółem około 70 tys. pracowników. Kombinat produkuje maszyny do orki, siewu i sadzenia, nawożenia, pielęgnacji roślin (zbóż, roślin pastewnych, ziemniaków i buraków cukrowych), ich zbioru i przetwarzania. Produkuje także urządzenia służące mechanizacji prac przy hodowli bydła mlecznego i urządzenia dla zakładów mleczarskich.

Oferta kombinatu obejmuje obecnie przeszło 1000 wyrobów, które są wytwarzane wielkoseryjnie zgodnie z nowoczesną techniką i technologią oraz stale udoskonalane pod względem technicznym. Produkcją tą pokrywa się nie tylko zapotrzebowanie krajowe. Znaczną część wyrobów eksportuje się do przeszło 70 krajów na 5 kontynentach.

Przez budowę i rozbudowę kombinatu Fortschritt, który obecnie dostarcza całość maszyn rolniczych produkowanych w NRD i dużą część maszyn i urządzeń dla przemysłu spożywczego, stworzono warunki dla mechanizacji rolnictwa w NRD. O dynamicznym rozwoju kombinatu świadczą m. in. następujące liczby: w roku 1951 wyprodukowano maszyn i urządzeń na sumę 12 mln marek, a w roku 1982 za przeszło 8 mld marek. Kombinat utrzymuje dwustronne i wielostronne kontakty kooperacyjne ze Związkiem Radzieckim, Węgrami, CSRS, Polską, Bułgarią, Kubą i Jugosławią. Wspólnie z tymi partnerami pracuje się obecnie nad przeszło 100 tematami badawczo-rozwojowymi. Dzięki tej współpracy kombinat Fortschritt stał się największym producentem maszyn do zbioru roślin pastewnych na świecie.

NRD-owski przemysł produkcji maszyn rolniczych i dla przemysłu spożywczego eksportuje także kompletne urządzenia. Zbudował np. najnowocześniejszą i największą rzeźnię na Bliskim Wschodzie w Bagdadzie, fermę bydła mlecznego wraz z zakładem przetwórczym w Egipcie, portowe silosy zbożowe w Angoli i na Cyprze oraz liczne młyny zbożowe. Na przykład w Iraku 90 proc. wszystkich urządzeń młynarskich pochodzi z NRD. W Syrii pracuje już 15 młynów zbudowanych przez NRD, a w najbliższych latach zostanie zmontowanych w tym kraju 10 następnych. W Meksyku oddano w tym roku do użytku pierwszy młyn zbudowany przez NRD i podpisano umowę na budowę następnego. Z bieżących przedsięwzięć można wymienić m. in. budowę i organizację państwowego gospodarstwa rolnego w Mozambiku o powierzchni 100 tys. ha oraz wielkiego browaru na Kubie.

O wysokiej jakości, NRD-owskich maszyn rolniczych i dla przemysłu spożywczego świadczą m. in. nagrody i wyróżnienia na międzynarodowych targach i wystawach. Od 1962 r. NRD-owskie wyroby uzyskały 163 złote medale. Do wyróżnionych maszyn i urządzeń należą np. różnego rodzaju żniwiarki, pługi i traktory, maszyny dla przemysłu piekarniczego oraz młyny.

JERZY TOMASZEWSKI

BUŁGARIA

Bułgarski przemysł spożywczy zakłada, że w porównaniu z r. 1983 zwiększy w bieżącym roku swoją produkcję o 5 proc., co jest tym bardziej ambitnym zadaniem, że planuje się je wykonać bez zwiększenia zatrudnienia, dzięki poprawie o co najmniej 8 proc. wydajności pracy. Planuje się także podniesienie jakości produkowanych artykułów.

Problem poprawy jakości stał się jednym z głównych zadań bułgarskiej gospodarki na najbliższe lata. Przyjęty na majowej Konferencji BPK, perspektywiczny program partii w dziedzinie poprawy jakości wszedł już w fazę realizacji.

W przemyśle spożywczym opracowano nowe normy państwowe dla ponad 3 tys. artykułów. Około połowa norm stawiających towarom większe wymagania jakościowe, ma być zastosowana w bieżącym roku. Zakłada się odnowienie 15 proc. asortymentu artykułów spożywczych. Dotychczas odnawiano rocznie zaledwie 1 proc. asortymentu. Produkcja nowych towarów ma być oparta na najnowocześniejszej technologii, gwarantującej poziom światowy. Więcej uwagi poświęci się także kwestii opakowań, ich jakości, funkcjonalności i estetyki.

Corocznie, na podstawie własnych opracowań i zakupionych licencji, asortyment wzbogaci się o 200—250 nowych towarów przy jednoczesnym wycofaniu 150—180 przestarzałych, nie odpowiadających już światowym standardom.

Wszystkie te poczynania mają na celu podniesienie jakości wyrobów bułgarskich, bowiem o poziomie życia społeczeństwa decyduje nie tylko zwiększenie ilości dóbr materialnych, ale także podnoszenie ich jakości. Podkreślał to Todor Żiwkow na naradzie warneńskiej w 1983 roku. Stwierdził on, że wyroby bułgarskie ustępują nadal produktom z krajów rozwiniętych, a w niektórych przypadkach notuje się poważne opóźnienia w podnoszeniu jakości tych wyrobów, w których Bułgaria się specjalizuje i od których zależy jej efektywne uczestnictwo w międzynarodowym podziale pracy oraz w rozwoju socjalistycznej integracji gospodarczej.

WŁODZIMIERZ ZRÓBIK

CSRS

Po stworzeniu na wsi czechosłowackiej socjalistycznego wielkotowarowego sektora (proces ten rozpoczął się w 1948 r.), w szczególnie szybkim tempie wzrastała produkcja podstawowych artykułów — zboża, mięsa, mleka i jaj.

W ciągu ostatnich 35 lat produkcja mięsa zwiększyła się z 460 tys. ton rocznie do ok. 1,7 mln ton, mleka — z 2,5 mld litrów do 6,3 mld. Przeciętne udoje mleka od jednej krowy wzrosły z 1334 l. do 3303 litrów.

Wzrost produkcji pozwolił na podniesienie konsumpcji: mięsa z 29 kg w 1948 r. do ponad 80 kg w roku ubiegłym, mleka ze 173 kg do 245 kg, a jaj — ze 114 sztuk do 328 sztuk.

Wielką rolę we wzroście produkcji rolnej odegrały takie gałęzie przemysłu, jak maszynowy, chemiczny i budowlany, które wyposażyły wieś w nowoczesne urządzenia techniczne. W okresie 35 lat powstała w CSRS solidna baza paszowa. Zaopatruje ona gospodarstwa rolne w ok. 8 mln ton mieszanek paszowych rocznie.

EDWARD BRYL

Do mamy przez okno

Foto: Grzegorz Gałasiński

— *Mam ogromny żal do personelu, że nie zajęli się Dominikiem — żyłby. Przecież dwa razy wychodził z łóżeczka i szedł do dyżurki. Nie wierzę, aby ciągle płakał. Wystarczyło dać mu jakąś zabawkę, wziąć na ręce, ponosić chwilę, usnąłby na pewno! Robił tak zawsze, przyzwyczailiśmy go od maleńkości. W ten sposób mógł go uśpić każdy, nawet o dowolnej porze, nie bał się obcych, garnął się do ludzi... Tylko na dwa dni zostawiłam go w szpitalu! To już druga tragedia. Przed kilku laty, w 1978 roku, też tutaj, na zapalenie opon mózgowych zmarł mój sześciomiesięczny synek. Nie mogę zapomnieć, jak pani doktor Wojciechowska pocieszała nas bez-*

troskо — „pani jest młoda, urodzi sobie następne...". Boję się, że to nie koniec nieszczęść. Pięcioletni syn Karol chyba najgłębiej przeżywa śmierć brata. Zmienił się nie do poznania. Jest jakby nieobecny, nic do niego nie dociera. Stracił zupełnie apetyt. Unika pokoju, w którym mieszka z Dominikiem. Przeniósł się do dziadka. Gdy idę na cmentarz, Karol zawsze niesie zabawki, cukierki i kładzie na grób. Ciągle się dopomina, aby tam chodzić, boi się, że Dominik obudzi się, wstanie, a jego przy nim nie będzie. Na widok księdza krzyczy, wybucha płaczem. Niczym nie da się uspokoić.

— *To było „żywe srebro" — mówi dziadek. — Miał chyba ponad rok, gdy kupiłem bardzo złego wilczura, nawet zięć bał się podejść. Dominik się wyrwał, rozdziawił mu mordę, wsunął kawał chleba i już się zaprzyjaźnili... Wszystko go interesowało, wlazł w każdą dziurę, ale strzegliśmy go...*

Siódmego maja 1984 r., na oddziale dziecięcym w łęczyckim szpitalu po południu pracowało sześć osób; dwie pielęgniarki, opiekunka dziecięca, dwie salowe, dyżur pełnił ordynator oddziału, dr Sławomir Flis.

Dominika przyniesiono po piętnastej. Był niespokojny, płakał. Położono go do łóżeczka, na zlecenie lekarza podano luminal.

Po siedemnastej doktor Flis badał w izbie przyjęć na parterze. Nagle usłyszał odgłos głuchego uderzenia o beton. Wyjrzał i zobaczył leżące dziecko. Natychmiast wyskoczył przez okno...

Akcję ratunkową podjęto błyskawicznie. Sciągnięto anestezjologa, chirurga, robiono trepanację czaszki. Niestety, obrażenia były ogromne. Dominik spadł z czwartego piętra, głową na schodki. Zgon nastąpił o 20.30.

Barbara Banasiak — pielęgniarka z 20-letnim stażem, od lat dziesięciu oddziałowa:

— *Dziecko przyniesiono na rękach z chirurgii gdzieś około piętnastej trzydzieści, bez rozpoznania, tylko z kartą gorączkową, bose, zasmarkane. Chłopczyk płakał, dostał pić, zanieczyścił się, trzeba było go umyć. Podałyśmy luminal, smoczek, myślałyśmy, że będzie spał. Nie mógł być sam dłużej, niż pięć, dziesięć minut... Kiedy go szukałyśmy, musiał jeszcze znajdować się na balkonie. Opiekunka spojrzała na zegarek, dochodziła 16,45. Nigdy nie zdarzyło się, aby dwuletnie dziecko wyszło z łóżeczka typu szwedzkiego, są bardzo wysokie. Żadne też nigdy nie wyszło na taras. Jestem wykończona psychicznie. Czekam na wynik śledztwa, ale właściwie dla mnie już nie jest ważne, czy prokurator lub sąd dowiedzie mojej winy, czy mnie skażą czy nie. Już zostałam skazana. Otrzymałam wyrok moralny. Tyle lat pracy, starań. Przecież ten oddział urządzałam od początku. Śmierć Dominika jest dla mnie wielkim szokiem, nie zapomnę tego do końca życia, tak samo jak wszystkie pielęgniarki, może rodzice prędzej, ale nie my. Teraz chcemy odejść. Pracowałyśmy tu ciężko, rzetelnie w systemie dwunastogodzinnym, inaczej nie można by obsadzić dyżurów. Zawsze starałam się dobierać personel. Na okrągło robi się różne szkolenia, naprawdę nie są one tylko formalnością. Za każdą nową chodzi się, pokazuje. Tego dnia pozostałam na popołudniówce, bo był to pierwszy samodzielny dyżur młodszej koleżanki. Chciałam być pod ręką. Wtedy przygotowywałam probówki do badań, siedziałam nad papierkową robotą. Odcinkowa bez przerwy zajmowała się Dominikiem, zwracał uwagę na siebie, wychodził...*

Jolanta Stańczyk — pielęgniarka, pracuje w zawodzie od sierpnia 1983 roku, na oddziale w Łęczycy od 1 maja 1984:

— *Około godziny siedemnastej jest zawsze karmienie, mierzenie temperatury. Dominika zostawiłam na chwilę i doszłam do tacy z lekami. W tym momencie do dyżurki weszła salowa i krzyknęła: „pani oddziałowa, dziecka nie ma w łóżku!" Wszystkie go szukałyśmy, salowe, opiekunka, która w tym czasie była zajęta u dzieci starszych. Po całym oddziale, w szafkach, pod łóżkami, za drzwiami. Tarasu w ogóle nie wzięłyśmy pod uwagę, dopiero któraś powiedziała „zajrzyjmy na balkon". Na dole już był szum. Stało się.*

Zastępca dyrektora ZOZ w Łęczycy, dr Andrzej Olszewski:

— *Jesteśmy w trakcie zabezpieczania. Chcemy zmienić zamki w oknach, okratować cały taras, oddzielić część dla dzieci starszych od reszty pomieszczeń, aby nie przechodziły.. Zdarzyła się ogromna tragedia na dyżurze jednej z naszych najlepszych oddziałowych. Przecież mamy najniższy w województwie wskaźnik umieralności niemowląt, dzieci... Teraz robimy wszystko, co możliwe, aby było bezpiecznie. Po prostu dmuchamy na zimne. Ale faktem jest, że jesteśmy jedyną placówką na terenie województwa, w której dzieci umieszczono na czwartym piętrze!*

Z ordynatorem dr Sławomirem Flisem nie udało mi się rozmawiać. Po wypadku wziął kilka dni urlopu...

Oddział ma sześćdziesiąt miejsc. Tego pamiętnego dnia było tylko czternaścioro dzieci. Po obu stronach długiego, stumetrowego korytarza sale. Okna zakratowane tylko w pokojach dzieci starszych. Taras betonowy, ogrodzony płytą wysokości półtora metra, na niej niska bariera z metalowych prętów. Dominik miał dwa lata i dwa miesiące. Szczupły, drobniutki i gdyby nie stare regały, które stały zawsze w końcu tarasu, nigdy nie wdrapałby się po gładkiej betonowej ścianie. W pokoju, w którym zaledwie niecałe dwie godziny przebywał malec, stoją dwa łóżeczka. W jednym brakujący pręt utworzył dużą, może więcej niż trzydziestocentymetrową szparę. Nikt nie umie powiedzieć, czy to z tego łóżeczka wyszedł. „Są one w ciągłym ruchu, przenoszone, wynoszone, a od dnia wypadku upłynęło już sporo czasu" — informuje oddziałowa. Twierdzi też, że okno było zamknięte. Przyglądam się dwóm pokaźnym klamkom, jedna jest wysoko u góry. Mam wątpliwości — musiało być przymknięte, ale nie zamknięte. Zapewne ktoś wietrzył salę. Czemu nie otworzono lufcika, tak praktykuje się zwykle w pomieszczeniach, gdzie są dzieci.

Maluch dwukrotnie wychodził z bardzo wysokiego łóżeczka, płakał, szukał matki... Nikt nie pofatygował się zobaczyć jak to robi, chociaż sforsowanie „szwedzkiego" łóżeczka przez dwulatka, to ewenement. Położony z powrotem, wychodzi znowu. Wspina się po kaloryferach na parapet, do którego nie sięga nawet głową i otwiera zamknięte na głucho potężne okno. Wypada na taras, stamtąd już łatwo... po starych rupieciach z czwartego piętra w dół. Chciał do matki, bolał go brzuszek! Był sam może pięć, może dziesięć minut. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności?

Prokurator Rejonowy w Łęczycy, Tadeusz Czapliński rozmawia niezbyt chętnie:

— *Tyle było prasowych informacji o tej sprawie. O szczegółach i ustaleniach opinia publiczna dowie się po zakończeniu postępowania przygotowawczego. Właściwie to postępowanie już zakończyliśmy, czekamy tylko na opinię władz służby zdrowia, czy praktycznie na oddziale wszystko było tak, jak trzeba, zgodnie z wymogami, przepisami, czy nie...*

Personel twierdzi, że przeżywa bardzo. Lubią dzieci, dbają o nie. Są tu takie, które oczekują obecnie na umieszczenie w domach dziecka. Przynoszą im zabawki, cukierki, i rzuca się mi na szyję. Takiej reakcji nie spodziewałem się. Widać mała czuje się tutaj dobrze, pewnie. Każdego obdarza zaufaniem, serdecznością. To mówi dużo o pracy oddziału. A jednak Dominik nie żyje!

Oddziały psychiatryczne, neurologiczne i dziecięce powinny być oddziałami szczególnej troski, ze wzmożoną opieką — tak mówią przepisy. Praktyka wykazuje co innego. Braki personelu średniego są tak ogromne, że o zwiększonej ilości pielęgniarek w tej sytuacji trudno nawet pomarzyć. Ale czy właśnie to ma decydujący wpływ na bezpieczeństwo przebywających tam pacjentów? Czy łęczycki oddział spełniał wszystkie wymagania? Na ten temat wypowiedzą się eksperci służby zdrowia. Rozum każe sądzić, że nie! Czemu był wyniesiony aż na czwarte piętro, chociaż być może, że przy słabym zabezpieczeniu zewnętrznym nawet wysoki parter czy pierwsze piętro stanowiłyby potencjalne zagrożenie...

Tragiczne wypadki w szpitalach, domach opieki nie są wcale rzadkością. Smutne jest to, że ulegają im najczęściej dzieci. W każdej sytuacji winę zwala się na nieszczęśliwy przypadek, nawet gdy indolencja, niechlujstwo pracujących tam osób są bezsporne. Prokuratura zwykle umarza śledztwo z braku dowodów, służba zdrowia po „wnikliwych kontrolach" wydaje zalecenia. I na tym się kończy.

Przytoczę kilka faktów. W Państwowym Domu Małych Dzieci przy ul. Drużynowej w Łodzi niemowlę dusi się we własnych wymiocinach. Dzieciaki są tu karmione „na zapas", do oporu. W Szpitalu Gruźlicy i Chorób Płuc w Łagiewnikach podano maluchowi całą pastylkę — oczywiście też się udusił. W Domu Opieki Społecznej przy ul. Spadkowej związaną na noc kaftanem bezpieczeństwa kilkunastoletnią dziewczynkę rano znajdują martwą. W Szpitalu im. Biegańskiego po zabawie w chowanego dusi się malec w metalowej szafce. W Domu Dziecka w Rąbieniu kilku chłopców palących w ukryciu papierosy ulega śmiertelnemu zaczadzeniu. Kompletny brak nadzoru, wyobraźni! Nikt w porę nie zainteresował się, nie zapobiegł nieszczęściu! Są to tragedie dobrze znane opinii publicznej. Rozegrały się na przestrzeni ostatnich kilku lat i dotyczą tylko jednego województwa, i wyłącznie dzieci... Przypominam je, ponieważ ten fatalny łańcuch nie ma końca. A były przecież i inne: Górna Grupa, Słubice... We wszystkich wymienionych tu przypadkach jedynie w ostatnim, w Słubicach obwiniono kogoś konkretnie, ale ofiary są przecież zawsze... Ktoś tam na planach budowy nie zaznacza instalacji gazowych — blok leci w powietrze, giną ludzie. Nikomu niepotrzebna, bezsensowna śmierć! Ktoś nie domyka szpitalnego okna, ktoś odpowiedzialny za BHP nie interesuje się nieużytecznym starym sprzętem, pozostawionym na tarasie oddziału — tragicznie umiera dziecko. Komuś nocą nie chce się zajrzeć do sypialni chłopców, do związanej dziewczynki... Tam, gdzie w grę wchodzi ludzkie życie, trzeba być superdokładnym, umieć przewidywać, pracować systematycznie.

Charakterystyczne jest, nie tylko dla służby zdrowia, że w określonych sytuacjach pracuje się zrywami, najczęściej od akcji do akcji, od wypadku do wypadku. I właśnie w czasie „gorączki", pod nastrojem chwili, robi się wiele — dmucha na zimne, aby potem znowu przejść do porządku dziennego. Najgorsze, że działa się wybiórczo, jednokierunkowo. Nowa akcja, nowa tragedia ukazują inne, niedostrzegane dotąd niedomagania. I tak w kółko. Najwyraźniej brak wyobraźni, odpowiedzialności, nadzoru, często przepisów, które bywa, że nieżyciowe, zupełnie niedopasowane do rzeczywistości są tylko przeszkodą. Nikt nie troszczy się o ich uaktualnienie. Sumiennie wypadałoby podchodzić do nałożonych obowiązków na każdym stanowisku. Zawsze, kiedy się mówi na ten temat oburzają się tysiące „sprawiedliwych, pracowitych, dokładnych".

Dlaczego więc tak jest źle, skoro jest tak dobrze? Na oddziale dziecięcym w Łęczycy, bez wątpienia jednym z lepszych, tego tragicznego dnia wykonywali swoje obowiązki wszyscy, pozornie panował ład, porządek. Jaki więc jest ten nasz porządek, nasza uczciwa praca, skoro jest w nich miejsce na takie nieszczęścia. Nie sugerujmy się nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Nie istnieje! Jemu też nadajemy kierunek właśnie my.

Jan Kwapisz (1933–1982)

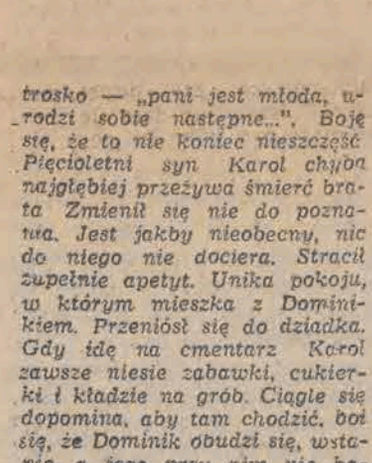

Istnieje takie popularne powiedzenie „nie ma ludzi niezastąpionych". To nieprawda! Można zastąpić kogoś przy mechanicznej robocie, przy taśmie ale w każdej innej pracy człowiek ujawnia swoje indywidualne cechy. Ludzie różnią się od siebie jak ich linie papilarne. Bywają ludzie o zdolnościach i cechach charakteru tworzących zespół tak wyjątkowy, że nikt ich miejsca zająć nie może.

Takim niezastąpionym w pracy pedagogicznej był Jan Kwapisz, od kilkunastu lat wykładowca, a od niespełna dziesięciu lat prodziekan Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej. Kwapisz studiował w łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej (jeszcze przed połączeniem ze Szkołą Filmową) na Wydziale Reżyserów Teatrów Niezawodowych. Pamiętam z egzaminu wstępnego tego skromnego, o dziecinnym spojrzeniu chłopca, który okazał się solidnie przygotowany, oczytany i cichym, nieśmiałym głosem dawał interesujące odpowiedzi. Gdy wspominam Janka w Uczelni, zawsze nasuwa mi się określenie — cichy. Cichy w znaczeniu spokojny, zrównoważony, pracujący z sensem, działający swym usposobieniem na kolegów. A przy tym nie miał w sobie nic z sensata lub tzw. kujona. Przy opracowywaniu scen lub aktów wyznaczonych jako zadania na egzamin wykazywał pomysłowość, znakomity zmysł organizacyjny i miał doskonałe porozumienie z kolegami z Wydziału Aktorskiego, z którymi nad realizacją pracował. Te zdolności wyraźnie w czasie studiów sprawdziły się, gdy po dyplomie z wyróżnieniem rozpoczął pracę z zespołami amatorskimi jak również w teatrach zawodowych. Zawsze przekonywający dla zespołu wykonawców, zawsze konsekwentny w realizacji artystycznych zamierzeń.

Zaproszony jako wykładowca na Wydział Aktorski wniósł do pracy pedagogicznej wszystkie swoje zalety oraz wytrwałość i cierpliwość niezbędną w pracy z młodzieżą. I co ciekawe — ten zawsze spokojny i jakby sciszony Jan Kwapisz przygotowywał znakomicie sceny pełne temperamentu i humoru. Przez szereg lat pracował jako reżyser i kierownik artystyczny Studenckiego Teatru Medyków „Cytryna" gdzie zrealizował wiele spektakli iskrzących się dowcipem. — Wiadomo, że studenci medycyny mają mnóstwo zajęć, które nie zostawiają im wolnego czasu. Jak to się działo, że na próby programów „Cytryny" przychodzili późnym wieczorem, by nieraz zarwać część nocy i solidnie opracować przedstawienie. To działała osobowość Kwapisza, który potrafił na malutkiej scenie zrealizować „Misterium buffo" Majakowskiego, utwór trudny do wystawienia nawet dla teatru profesjonalnego. Toteż „Cytryna" zdobywała nagrody na licznych festiwalach a jej kierownik również był laureatem wielu nagród z nagrodą ministra w roku 1963 włącznie.

Przez szereg lat był prodziekanem Wydziału Aktorskiego. Jego wielki takt, cierpliwość i zrozumienie spraw młodzieży zjednywały mu zaufanie studentów. Był serdecznie kochany przez młodzież. Wśród pedagogów cieszył się ogólną gorącą sympatią. Niezwykła rzetelność jego pracy organizacyjnej sprawiła, że mechanizm tak trudnej Uczelni, jak szkoła artystyczna funkcjonował bez zgrzytów. My wszyscy pedagodzy zawdzięczaliśmy mu sensowne rozplanowanie zajęć i egzaminów — czyli spokój w pracy.

Odejście Jana Kwapisza jest dla grona pedagogów rozstaniem z przyjacielem, a w kierownictwie wydziału pozostał niezastąpiony. Właśnie niezastąpiony.

Na zakończenie wspomnę, że byli uczestnicy „Cytryny" byli studenci — dziś już poważni lekarze, nekrolog który ukazał się po śmierci Kwapisza zakończyli słowami: Dziękujemy Ci Janku.

I my, którzy przez wiele lat pracowaliśmy razem przeżywając wspólnie wiele trudnych chwil i wiele radości — powtarzamy:

Dziękujemy Ci Janku.

HANNA MAŁKOWSKA

Zwierzenia maturzysty

Zakwitły kasztany — to znaczy, że matura murowana. Parę dni trzeba było przysiąść nad książkami. Nie ma rady. Dobrze, że pogoda nawaliła, bo jakby świeciło słońce to wołami by mnie do nauki nie zawlekli. A tak, to przez parę dni i nocy można obskoczyć co ważniejszy materiał, zrobić trochę ściąg i prawie na pewniaka iść na egzamin.

Z tym „na pewniaka" to trochę przesada. Właściwie to pewniaków nie ma. Zawsze może się noga powinąć — nawet prymusowi. Dlatego każdy obstawia się jak może różnymi gotowcami. Najlepsze są gotowce na fotografiach. Można na nich zmieścić masę materiału i od razu pstryknąć parę sztuk dla kumpli. Bywają tacy, co nawet obryci na blachę, muszą mieć i tak całe kieszenie ściąg, bo inaczej ze strachu zapomną wszystko. Wtedy trzeba mieć jeszcze jedną dodatkową karteczkę ze spisem, która ściąga jest w prawej, a która w lewej kieszeni. Lepsze sposoby mają dziewczyny, ale one to co innego.

I jeszcze są przeróżne przesądy. Chłopak na przykład nie powinien myć głowy przed maturą, bo inaczej obleje. Dziewczyny wymieniają się przed egzaminem różnymi ciuchami — co podobno przynosi szczęście. Nawet jeśli ktoś się z tego śmieje, to dla pewności i tak woli przestrzegać obyczajów. A nuż istnieje jakaś tajemnicza siła, więc po co z nią niepotrzebnie zadzierać?

Przyszliśmy o siódmej, żeby zamelinować w kiblu parę książek, zeszytów i gotowce, które nie zmieściły się w kieszeniach i za skarpetkami.

Zaczęło się od języka polskiego. Długo po wejściu nie mogłem zebrać się do kupy. Ta niesamowita atmosfera, ceremonia otwierania kopert z tematami, a do tego krawat ściska gardło, że trudno ślinę przełknąć. To wszystko strasznie paraliżuje.

Na maturę z polaka nie opłaca się wkuwać całego materiału. Wystarczy opanować dwie, trzy epoki. Bo na przykład taki Romantyzm albo Oświecenie muszą zaskoczyć. W tym roku wiadomo było, że modny jest Pozytywizm. Takie teraz czasy, że wraca do łask praca organiczna. Albo można kombinować tak: zerknąć w metrykę co większych pisarzy i poetów i ustalić, który z nich ma w danym roku okrągłą rocznicę urodzin lub śmierci. Proszę bardzo: Kochanowski zmarł w 1584. Mamy teraz rok 1984. Znaczy się okrągłe 400 latek. Kochanowski był pewniakiem i dobrze obstawiłem. Wiadomo było, że zaskoczy jakiś temacik z 40-lecia PRL. I co? Znowu trafione w dychę. Po co wałkować całość po łebkach, trzeba ruszyć makówką i kawał roboty odpada.

Niektórzy wcześniej napisali na karteluszkach gotowe prace z paru tematów, a potem już zrzynali jak leci. Zresztą gotowca z polaka dobrze mieć, bo mile widziane są daty i cytaty. Żeby się nie rąbnąć trzeba mieć czarno na białym.

Jak już ktoś miał pecha i nie trafił w temat, to mógł jeszcze wyjść na korytarz — że niby załatwić się — a tam były książki i zeszyty, i zawsze ktoś podyktował kawałek. Inaczej pomóc nie można. No bo jak? Delikwent musi sam spłodzić parę stron. Błędy to zawsze poprawi jakaś nauczycielka. Stanie z tyłu i podyktuje co zmienić, gdzie postawić przecinek i inne takie. Potem już tylko przepisać na czysto i do domu.

Największy kłopot z matmą. Tutaj nie ma silnych. Człowiek się rypnie w obliczeniach, źle podstawi do wzoru i klapa.

Wiadomo było, że trzeba wcześniej zorganizować ekipę, która rozpracuje wszystkie zadania i podeśle je na salę. Każdy zna jakiegoś studenta, albo innego speca od logarytmów, co raz dwa uwinie się z zadaniami. U nas na maturze było pięciu mózgowców z polibudy. Zrzuciliśmy się na nich po dwie setki, żeby było pewne, że zrobią na cacy i nie nawalą. Siedzieli w kuchni i trzaskali rachunki aż miło.

Trochę trwało, zanim przemyciliśmy na zewnątrz tematy z treścią zadań. Najpierw dwóch cwaniaków wspięło się po piorunochronie do okien i filowali przez tornetkę. Jak dyrektorka pisała na tablicy, to oni od razu przepisywali i zanosili studentom. Z drugiej tablicy nie dało się nic spisać, bo stała tyłem do okna. Resztę zadań wyniosła sama matematyczka — tak się bała, że będzie totalny pogrom jej uczniów i wstyd na całe kuratorium. Dla pewności wyrzuciliśmy za okno kilka kartek z treścią zadań, ale były już niepotrzebne. Po godzinie wszystciutkie zadanka były rozpracowane. Czekaliśmy jak przyniosą kanapki. Pod sałatą miały być gotowce — i były. Tylko „Rudy" miał pecha. Musiał wpapusiać trzy buły, bo traf chciał, że w dwóch pierwszych nie znalazł ściągi. Teraz to już była bajka. Wystarczyło zerżnąć zadanka i maturka skończona.

Matematyczka latała między ławkami jak oparzona i podpowiadała, poprawiała błędy. Kto by się po niej spodziewał? Woźny też swój chłop. Przyszedł na salę otwierać okna i przy okazji podrzucił cały plik gotowców. Reszta belfrów też spisała się na medal. Nikt niczego nie widział i nie słyszał. Po co komplikować życie sobie i nam. Jasna sprawa, że taką maturę może polać tylko wyjątkowy przygłup.

Po pisemnym poszliśmy do kibelka, żeby ostatni raz w budzie zapalić z kumplami po całym. No i powspominać stare, dobre czasy konspiracyjnego jarania przed lekcjami i na przerwach. Nie wrócą już tamte dni. Teraz można palić legalnie i oficjalnie, ale to nie to samo co pet ukryty w garści i emocje, że może za chwilę będzie nalot.

A przecież były nieziemskie numery. Szczególnie jak szalał „Długi". „Długi" to istny pies na palaczy. Sam kurzy chyba ze trzy paki na dzień, ale nałóg u młodzieży tępi. „Długi" lubił zza czajki wskakiwać do wucetu i starannie notował nazwiska bywalców. Przeważnie byli to ci sami ludzie na każdej przerwie, ale „Długi" po dwadzieścia razy zapisywał ich do notesu. Po co to robił? — Nie wiadomo, bo nigdy nikogo o palenie nie ciągali.

Najlepiej jak raz wycieli mu numer na długiej przerwie. Nikogo wtedy nie było na lipku, więc „Długi" myślał, że zwinie wszystkich jak leci. Wpada do palarni, a tam pustki — kabiny zamknięte, ale spod drzwi widać buty. „Długi" stanął w drzwiach i komenderuje: „wyłazić po kolei i podawać nazwiska!". A tutaj cisza i nikt nie wychodzi. To „Długi" się zeźlił aż mu żyła wyszła i wkurzony szarpnął drzwi. I tu zalała go krew, bo w kabinach stały tylko stare trampki, a palacze na korytarzu buzowali się na całego. Oj, zbuldoczył się wtedy strasznie, ale przez parę dni mieliśmy go z głowy.

Jeszcze lepszy jest „Skorpion". Ten nie tępi palaczy, a tylko robi ich na szaro. Kiedyś „Skorpion" jeszcze przed przerwą zamelinował się w kabinie. Potem przyszła ferajna i przypaliła. Jak wypalili do pół fajki, to „Skorpion" jakby nigdy nic wyszedł do nich i grzecznie poprosił o ogień. Nikt nawet nie zdążył odgasić — tacy byli zaskoczeni.

Jeszcze innym razem „Skorpion" wolno zbliżał się do kibla, tak, że wszyscy pochowali się do kabin. Włazili po trzech, czterech do jednej. Ale „Skorpion" to cwaniak. Zagadnął do chłopaka z korytarza i tamtem głośno powiedział: „Wychodźcie — ten s... poszedł sobie". Palacze wysypali się z kabin prosto w łapy „Skorpiona". A ten zatarł łapy i zajarał ze wszystkimi. Morowy z niego belfer — największy zgrywus w szkole.

Co po maturze? — Nie wiem. Na studia nie ma co zdawać, bo się nie kalkuluje. Zaczepię się gdzieś na krótko, a potem do woja...

Notował:
ROMAN KUBIAK

Biblioteka w fabryce

Najwięcej można dowiedzieć się w palarni. Jak usiądą razem, zapalą po klubowym, zawsze jest o czym pogadać. A to, że zdrożały lodówki, że do mięsnego przywieźli dzisiaj całe dziesięć kilo schabu, że szwagier i tak jakoś kombinuje benzynę „na lewo", że jest taka dobra książka...

— Pół nocy zarwałam, ale mówię wam — piękna. Spłakałam się jak bóbr.

— Skończyłaś już? To ja biorę po tobie.

— Tylko nie trzymaj za długo, bo ja też bym chciała.

Dawniej do zakładowej biblioteki przychodziły rzadko albo wcale. Bo i po co? Robota, kolejki, gotowanie, dzieciaki... Jak tu jeszcze znaleźć czas na przeczytanie książki? Zasypiały przed telewizorem przy wieczornym filmie.

Dawniej biblioteka stała pusta. Nie jak mięsny przed dostawą, raczej — jak muzeum. Na półkach — prawie same starocie. Nie dotykać eksponatów! Onieśmielający chłód ponurego wnętrza, lodowata atmosfera, w której czuły się obco. Bibliotekarka, choć z dyplomem, niewiele umiała powiedzieć, doradzić, a jak już coś poleciła — nie dawało się zwykle czytać. Jakieś takie dziwności, nowoczesności... Chodziła tylko i w kółko narzekała na wszystko: że mało zarabia, że nie ma warunków, śmierdzi jej z wykończalni, brak pieniędzy na zakupy i w ogóle do.. rymu. Jej koleżanki w dzielnicowej mają dużo lepiej. Ładnie, czysto, cicho. No i tam ludzie wiedzą, czego chcą, a tu „na zakładzie"... Nie ma atmosfery. Niech inni się męczą, ona ma już dosyć, więc chyba odejdzie. I odeszła.

Dawniej bibliotekę miały związki zawodowe. Na zebraniach mówiono nawet o tak zwanym upowszechnianiu kultury, ale na co dzień ważniejsza była cebula i kartofle na zimę. Dyrekcja wolała o niczym nie wiedzieć. Ma być biblioteka, to niech już będzie, ale prawdę mówiąc potrzebna tu ona jak dziura w moście. I tak nic w niej nie ma ciekawego, załoga też mało korzysta. Cóż, brak tradycji, włókniarskie środowisko, zapracowane matki, żony, córki, tyloma już obarczone obowiązkami. Zaklęty krąg niemożności...

Takich zakładowych bibliotek jest w województwie łódzkim około stu. Merytoryczny nadzór sprawuje nad nimi Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego. Nie są to na ogół placówki duże i bogate. Największa — w Pabianickich Zakładach Przemysłu Bawełnianego „Pamotex" — dysponuje ponad 38 tysiącami woluminów, ale aż 30 bibliotek zakładowych nie ma nawet 5-tysięcznych księgozbiorów. Wiele z nich egzystuje tylko siłą rozpędu z poprzednich lat, które też wcale nie były przecież najlepsze.

W tzw. upowszechnianiu kultury na terenie zakładów pracy biblioteki od samego początku odgrywały drugorzędną rolę. Preferowany niemal wszędzie akcyjny styl działania nie przynosił tu spodziewanych efektów. Placówki te w dotkliwy sposób odczuły również „zakręty" naszej najnowszej historii. Jak wynika ze statystyk, w 1949 roku było ich razem z punktami bibliotecznymi w całym kraju 7 tysięcy. W 1956 roku — już niewiele ponad 4 tysiące, zaś w rok później — niecałe 3 tysiące. W roku 1980 istniało w Polsce 3700 bibliotek zakładowych.

Sytuacja jeszcze bardziej skomplikowała się po Sierpniu, kiedy to wszystkie istniejące wówczas związki zawodowe ograniczyły swe zainteresowanie i pomoc finansową dla bibliotek zakładowych do minimum. Taki to był czas. W licznych przedsiębiorstwach doszły do głosu tendencje likwidatorskie, tak że na przykład w województwie katowickim liczba bibliotek zakładowych zmniejszyła się o połowę. Jak ten fakt ocenić? Każdy przypadek jest inny.

Po rozwiązaniu związków biblioteki znalazły się w próżni. Podstawą ich utrzymania stały się na ogół zakładowe fundusze socjalne, ale te dzielono zwykle z myślą o innych niż rozwój czytelnictwa, celach. Nie wszędzie chętnie dawano pieniądze, wychodząc z założenia, że są teraz ważniejsze wydatki. Biblioteka im. L. Waryńskiego też nie mogła pomóc wszystkim, choć trzeba przyznać, że z roku na rok coraz większe sumy przeznacza dla bibliotek zakładowych. W 1981 roku było to 55 tysięcy złotych. W 1983 — 1275 tysięcy, a w bieżącym już 1300 tysięcy. Przy obecnych cenach można za to kupić około 11 tysięcy książek. Nie jest to wcale tak dużo.

Inna sprawa — gdzie te nowe książki pomieścić. Biblioteki zakładowe mieszczą się zazwyczaj w małych i ciasnych pomieszczeniach. Prawie nigdzie nie przestrzega się normy, że na każde sto woluminów księgozbioru powinien przypadać jeden metr kwadratowy powierzchni. Często brakuje regałów, nawet — maszyn do pisania.

Wiele do życzenia pozostawia poziom zawodowego przygotowania kadry bibliotekarzy. Ze względu na powszechną opinię o nieatrakcyjności pracy w bibliotece, a już zakładowej — szczególnie, a także z powodu niskich zarobków nierzadko trafiają tu ludzie przypadkowi, bez odpowiednich kwalifikacji.

Ale kwalifikacje to jedno, a życie — drugie. Nowa bibliotekarka nie miała dyplomu, przeszła tylko miesięczne przeszkolenie w „Waryńskim", ale miała charakter. W tej fabryce pracowała od lat, znała wszystkie jej tajemnice, znała ludzi, układy... A ponieważ chciała, w trzy miesiące „wychodziła" tyle, ile jej poprzedniczka nie mogła „wypłakać" przez trzy lata. Jakoś znalazła się maszyna do pisania, pieniądze na nowe książki, a ostatnio nawet — na nowe regały. W bibliotece pojawiły się kwiatki i chodniki...

Nowa bibliotekarka wiedziała, że nie dokona rewolucji, nie zmieni wieloletnich przyzwyczajeń i gustów swoich koleżanek, a jeżeli — na pewno nie od razu. Najważniejsze, żeby w ogóle coś czytały. Chcą książki cienkie, tłustym drukiem i — najlepiej — z obrazkami, o miłości — proszę bardzo. Lepiej niech czytają Rodziewiczównę, aniżeli wcale. Trudno się zresztą temu dziwić. Po ośmiu godzinach pracy w fabryce i następnych ośmiu w domu tkaczka nie będzie przecież rozgryzała zawiłości Joyce'a, czy studiowała dzieła Spinozy. Bo jeśli już weźmie do ręki książkę, szukać w niej będzie przede wszystkim zapomnienia, ucieczki od codzienności, innego, niechby nawet i nierealnego świata. Przynajmniej na początku. Potem, za rok, może dwa uda się podsunąć jej Bunscha albo Grabskiego. A jak jedna przeczyta, opowie w palarni... Słowem — sukces murowany. Tego nie załatwi żadna wystawka, plakat czy ścienna gazetka.

W tej bibliotece każdy znajdzie coś dla siebie. Na półkach równiutko stoją powieści, opowiadania, poezje, eseje, opracowania, słowniki, leksykony, nawet bajki. Wystarczy wejść między regały lub zajrzeć do katalogu. Ale rzadko kto to robi. Zdecydowana większość czytelników przychodzi i prosi — o coś lekkiego, jakiś kryminał, nowe science-fiction. Przecież wiesz, co ja lubię, mówią do bibliotekarki, zostawiając wybór w jej rękach i na ogół nie zawodzą się. Czasem proszą, by im najpierw powiedzieć w skrocie o czym jest ta książka. Słuchają, kręcą głowami, dyskutują. Nieraz pytają, co sama ciekawego ostatnio czytała. Matki przychodzą po lektury szkolne dla swych dzieci. Wiedzą dobrze, że dostaną prawie wszystko i to zwykle łącznie z jakimś opracowaniem. Teraz to nawet same dopominają się tych opracowań, bo je do nich przyzwyczaiła. Bywa też, że mają tylko zapisany temat, do którego syn, czy córka ma się przygotować. Poszukaj mi coś o tym, mówią. Nierzadko wychodzą potem z całym naręczem książek. Czy w bibliotece publicznej też by je tak potraktowano? Co wiedzą tamte bibliotekarki o swoich czytelnikach?

Tajemnica powodzenia — biblioteka w fabryce musi być inna. Kiedyś „Waryński" przysłał tu młodą kontrolerkę. Interesowały ją katalogi, sposób opracowania książek, jak stoją na półkach — bo przecież przepisy... A o ludzi nawet nie zapytała jakby wcale nie byli potrzebni. Co taka napisze potem w sprawozdaniu? Ile w takich sprawozdaniach prawdy?

A prawda jest taka, że dla większości tutejszych czytelników biblioteka zakładowa jest pierwszym i jedynym miejscem, gdzie mają bliski kontakt z książką. I o tym właśnie przez cały czas trzeba pamiętać. Nie oczekujmy zbyt wiele, nie tworzmy za biurkami nierealnych, choć może i pięknych planów czy programów. Spójrzmy raczej, jak to się stało, że w tak trudnych, kryzysowych czasach w tej bibliotece dwukrotnie wzrosła liczba czytelników, a liczba wypożyczeń — aż czterokrotnie. Ile wysiłku i serca trzeba włożyć, by tak rozczytać proste przecież i zmęczone szarą codziennością łódzkie włókniarki. A przepisy...

Należy ich oczywiście przestrzegać, ale na przykład dlaczego nie wypożyczać do domu wydawnictw albumowych, czy nawet nieraz encyklopedycznych? Jeżeli już dało się je zakupić, to teraz mają być tylko na pokaz, kurzyć się na półkach? Biblioteka zakładowa musi być inna. Przepisy przepisami, a życie życiem.

O dziwo, do tej pory nic nie zaginęło, nie ubyła ani jedna kartka. Wszystkie cenne pozycje wracają i to w dobrym stanie. Odpowiedzią na zaufanie jest szacunek. Zresztą niechby ktoś spobował coś ukraść. Tu nie biblioteka publiczna, gdzie na nieuczciwych czytelników nie ma w zasadzie sposobu, chyba żeby zamknąć wszystkie książki na klucz. Tu zawsze można przyjść na oddział i zapytać głośno przy wszystkich, dlaczego nie oddał lub zniszczył. Tu czytelnik nie jest anonimowy.

Kiedy ceny książek poszły w górę i zakładowe fundusze przestały wystarczać, by z nowościami być na bieżąco, nowa bibliotekarka poszła do „Waryńskiego" i... załatwiła pieniądze na zakupy. Nikt jej tego nie kazał, nie zmuszał... Pomyślała tylko, że w jej bibliotece nie może zabraknąć nowości. No i nie brakuje.

W księgarni szybko dała się poznać i zapamiętać. Po prostu przychodziła prawie w każdy czwartek, przeglądała zapowiedzi wydawnicze, pytała, trzymała rękę na pulsie i na jej półce zawsze znalazło się coś ciekawego, nawet to, co często umykało koleżankom z innych bibliotek. Ale co się dziwić, skoro one do księgarni wchodzą raz w miesiącu, albo jeszcze rzadziej?

Od dziecka lubiła książki, zawsze dużo czytała. Gdy w fabryce zabrakło bibliotekarki, postanowiła spróbować, czy potrafi ją zastąpić — z pełną świadomością, że zarobi mniej niż pracując na produkcji. Dziś nie żałuje swej decyzji. W nowej pracy znalazła prawdziwe zadowolenie. Czuje się w niej jak ryba w wodzie. Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Ale bez uogólnień.

Jeżeli czegoś chce, umie postawić na swoim. Zna książki, ale i zna dobrze życie. Ze wszystkimi można się przecież jakoś dogadać. Trzeba pomóc ludziom zrozumieć, że książka jest im tak samo potrzebna jak chleb i dach nad głową — obojętnie, czy będzie to dyrektor, czy prządka.

Dawno już zauważyła, że w palarni, zwłaszcza ostatnio, dużo mówi się o naszej przeszłości. Temat do dyskusji — jak rzadko który. Ale żeby dyskutować, trzeba przede wszystkim znać fakty. A z tym różnie tu bywa. Dlatego chce teraz rozbudować jeszcze dział historii. Najpierw niech czytają, potem — dyskutują.

Poza tym przydałyby się znów nowe regały, bo księgozbiór rośnie w oczach. Powiesić by też na ścianach jakieś obrazki. Przyjemniej będzie. No i trzeba jeszcze...

Biblioteka w zakładzie to naprawdę dobra rzecz. Ale nie na siłę. Najważniejsze bowiem — znaleźć sposób.

T. P.

Wasyl Kocznow

Utopiści

Jestem starszy od was
o Polskę

o poezję
Wszystko tu płynie
mlekiem i miodem

kto wie do czyich ust
bo nie do moich
I młodość jak ptak powraca
i śpiewa
Potem noc rośnie
Cisza zapada

Zbrodnia

Zbrodnią jest wojna
Mur po strzałach
wygląda
jak opatrunek zdarty z trupa
Zbrodnia
to Mein Kampfu żona i córa
wprzęga się w służbę mędrców albo wariatów
którzy wzmacniają jej panowanie
wraz z ilością ludzi
Zbrodnia jest bankructwem
sumienia

Słowiańskie źródła

Zapomnieli Słowianie
nagą czułość
swych źródeł
nie dbają o rzeki
Potrafią wyczerpać je do dna
skrzydlatymi szlemami wojów
i odejść
A rzeki ścierpią wszystkie krzywdy
nie ukarzą
nieoczekiwaną mieliznę
z długiej mgły snuć będą
sny i opowieści
Dopiero
jeśli zająkną się i zakrztuszą
źródła
stanie rzeka
i lasy poderwą się naraz z brzegów
a Słowianie znikną
jak obłoki
Kto w pustynie zaniesie korzeń?
Rzeka oddala brzegi i zbliża ludzi
a więc
źródła są początkiem pokrewieństwa
rozkwitu
Każde zaokrągla się
w niebieski dzban słońca
zostawiony
dla przechodniów
Z niego piją
wodę
coraz bardziej czystą i głęboką
krew ziemi
Z dna
rozchylając mulisty mrok
rośnie gałązka światła
strumień
wypełnia otwór
niebem
To znaczy
jest gdzieś obok
drugi
ukryty w głębi
Źródła
to połączone naczynia
wypełnione życiem

Milczenie

Milczenie
to dno dzikiego wąwozu
za nieprzebytą ciszą kamieni i krzaków
zrośniętych
sztywnych
jak druty kolczaste
podwaja pustkę
Głęboka grota
ukrywała niegdyś
zbrodniarzy
i nie prowadziła tam
żadna droga
A teraz
stamtąd nikt nie przychodzi
Wilgoć rzeźbi w skale
głębokie zmarszczki
wypełnia je noc
między nietoperzem a skowronkiem
strzega ciszy żmije
tam czas się zatrzymał
i mchem porasta
rozciera w palcach zapach zetlałych włosów
ukrywa szlochy i śmiechy
nie pozwala się otworzyć
z żadnej strony
Milczenie jest dzieckiem zbrodni
Kruk jedynie
rozpostrze nad nim
czarny lament

Konfrontacje'83

Konfrontacje — przegląd filmów świata! To hasło wywoławcze zawsze ekscytowało filmową publiczność. Za każdym razem, gdy odbywają się konfrontacje, przed kasami kin ustawiają się długie kolejki.

„SEKSMISJA" — reż. Juliusz Machulski

Po okresie kina moralnego niepokoju preferującego wartości intelektualne widz polski jest po prostu znudzony tego typu kinem, tym bardziej, że wszak w niewielkim stopniu, ale jednak docierały do nas szlagiery światowego kina, głównie za sprawą amerykańskich reżyserów średniego pokolenia: Spielberga i Lucasa.

Właśnie „Seksmisja", podobnie jak i „Vabank", tegoż reżysera, oparta została o dobre wzorce kina amerykańskiego. Daje się odczuć wyraźnie zafascynowanie Machulskiego kinem dynamicznym, o dużej ilości ruchu i działania. Nie stawiam reżyserowi zarzutu, że wykorzystuje pomysły innych. Machulski przenosi je na polski grunt, sam bawiąc się fenomenem kina, a przy tym w inteligentny sposób bawiąc widza.

„Seksmisja" jest kompilacją różnych gatunków filmowych. Przede wszystkim jest filmem science-fiction, komedią z elementami burleski. Chociaż mamy tu do czynienia z futurystyczną wizją, to jednak ma ona wyraźnie polskie zabarwienie. W filmie są akcenty czytelne tylko w naszym kraju: przysłowiowy „bełt", dialog o otrzymaniu mieszkania w 1998 r.

Świat kobiet zaprezentowany przez Juliusza Machulskiego funkcjonuje na pogwałconych prawach natury. Oprócz Maksa, Alberta, no i oczywiście samego Ekscelencji nie ma w nim mężczyzn, ale dzięki wypełnionej seksmisji możemy mieć nadzieję, że wszystko wróci do normy!

„WASSA" — reż. Gleb Panfiłow

Gleb Panfiłow sięgnął po sztukę Maksyma Gorkiego pt. „Wassa Żeleznowa". Gorki pisał tę sztukę dwukrotnie. Raz bodajże około roku 1910, a druga jej wersja powstała w latach trzydziestych. Nie wiem na ile Panfiłow trzymał się ściśle tekstu czy dokonywał zmian, chcąc dostosować sztukę do wymagań kina, ale jednak sądząc z ekranu nawet potencjalne zmiany nie wniosły nic nowego.

Formuła przeniesienia sztuki na język kina zawiodła. Po prostu ekran posłużył tylko jako rampa sceniczna. Panfiłow do znudzenia stosuje chwyty teatralne, manieryczne podawanie tekstu, wykorzystuje reguły specyficzne dla sceny. Od całkowitej teatralizacji ratuje Panfiłowa budowanie nastroju zbliżeniem.

„PIENIĄDZE" — reż. Robert Bresson

W swym najnowszym filmie opartym na prozie Tołstoja (nowela „Fałszywe pieniądze") Robert Bresson podobnie jak Gleb Panfiłow ponosi porażkę. Zupełnie nie sprawdziło się umiejscowienie czasu akcji filmu współcześnie we Francji. Sposób chodzenia, wypowiadanie tekstu przez aktorów, który okazuje się być tekstem właściwie nic nie znaczącym, pozbawionym głębi psychologicznej, zupełnie nie przystaje do stanu świadomości współczesnego Francuza. Oglądając film przez cały czas odnosi się wrażenie, jakby Bresson chcąc udowodnić tezę mówiącą o tym, że zło jednostkowe wywołuje całą lawinę doprowadzająca do tragedii uczciwego człowieka, chciał nam opowiedzieć zupełnie coś innego. Tylko nie bardzo wiadomo co! Bresson stara się zmusić widza do myślenia, jednak ładunek emocjonalny, jaki film ze sobą niesie, równy jest zeru.

„SFD" — reż. Andras Ferenc

Andras Ferenc sprawnie zawiązuje intrygę, rozbudowując ją w dobrym tempie. Niestety, cały smak filmu, który mógłby być zupełnie niezłym kryminałem o pewnych ambicjach socjologicznych piętnujących klasę węgierskich nuworyszów, psuje jego zakończenie. Sęp po wymierzeniu sprawiedliwości wysadza się w powietrze. Zupełnie niepotrzebny patos, a szkoda!

„ZELIG" — reż. Woody Allen

Publiczność po obejrzeniu „Zeliga" podzieliła się na dwa obozy. Niektórzy wychwalali ten niekonwencjonalny film, a przeciwnicy — spośród których wielu opuściło kino, co jest rzeczą dziwną, bo przecież „Zelig" jest mimo wszystko komedią — rzucili się do ataku. Osobiście należę do osób, którym typ humoru Woody Allena bardzo odpowiada. Twórczość Allena nigdy nie mieściła się w klasycznym nurcie ludycznej komedii amerykańskiej, takim jaki reprezentują filmy Mell Brooksa. Allen Konigsberg (tak brzmi prawdziwe nazwisko reżysera) preferuje typ humoru intelektualnego, opartego na gagach słownych, zabarwionego kpiną, szyderstwem, ironią i autoironią.

Dużo było zastrzeżeń co do formy filmu, a przecież ona właśnie jest nowatorska. W historii kina zdarzały się już wypadki podrabiania zdjęć filmowych. Woody Allen zbudował swój film jako montaż autentycznych kronik z epoki jazzu. Z perfekcją godną podziwu rozgrywa sceny kręcone współcześnie, które jednak sprawiają wrażenie autentyczności. Nawet gdy widzimy Zeliga w otoczeniu znanych postaci: Scotta Fitzgeralda, Josephiny Baker czy Chaplina, niezmiernie trudno jest określić co stanowi filmowe fałszerstwo Allena, a co prawdę. Allen tworzy totalną filmową fikcję, a dla podkreślenia autentyczności tej fikcji zaangażował do filmu luminarzy amerykańskiego życia intelektualnego: Saula Bellowa, Susan Sontag, Bruno Bettelheima.

Woody Allen kpi ze wszystkiego. Z faszystowskich zgromadzeń, z instytucji Kościoła, nie oszczędza przy tym własnej osoby. Wyśmiewa nieustanne zapatrzenie Amerykanów w moc psychoanalizy mogącej pomóc im w odnalezieniu własnego ego.

W „Zeligu" Allen nieustannie podkreśla swoje żydowskie pochodzenie. Jako Żyd Zelig pragnie w pełni zasymilować się ze społeczeństwem, dlatego być może dokonuje on nieustannych transformacji ubraniowo-fizycznych. Pokazuje, jak w Ameryce będącej najlepszym przykładem homogenizacji kultury w ciągu krótkiego czasu można stać się idolem tłumu, spaść z piedestału, aby ponownie nań powrócić.

„BEZ ŚWIADKÓW" — reż. Nikita Michałkow

Scenariusz tego filmu powstał na podstawie tekstu Sofii Prokofiewej pt. „Rozmowa bez świadków".

Film Nikity Michałkowa dotyka niezmiernie ciekawego i istotnego problemu socjologiczno-psychologicznego. Jest nim problem karierowiczowstwa i związanych z nim wyborów moralnych. W filmie uczestniczymy w kameralnym dramacie małżeństwa, które rozpadło się ze względu na karierę naukową męża. Od czasu do czasu przychodzi on odwiedzać syna, którego notabene miał z inną kobietą. Dowiaduje się o zamiarach żony pragnącej poślubić jego szefa, na którego przed laty napisał donos. Strach przed wykryciem prawdy pcha go do ujawnienia niskich instynktów. Wyłazi z niego kanalia i drań, posuwający się nawet do szantażu. W końcu jednak przeżywa akt samouświadomienia przegranego życia, co w rezultacie doprowadza go do załamania psychicznego. Cała ta story opowiedziana jest w formie listu pisanego przez byłą żonę karierowicza do mężczyzny, którego w końcu poślubiła.

Zarzut, jaki mam do Nikity Michałkowa to ten, że zupełnie niepotrzebnie zastosował chwyty teatralne. Bohaterowie wygłaszają monologi wewnętrzne wprost do kamery. Michałkow wyodrębnia postacie światłem, co ma sprawić wrażenie, że rozmawiają na tzw. stronie. Zamiast udramatycznić akcję, ten chwyt tylko ją rozbija.

„ROK NIEBEZPIECZNEGO ŻYCIA" — reż. Peter Weir

Akcja „Roku..." rozgrywa się w 1965 r. w Indonezji. Młody początkujący dziennikarz zostaje oddelegowany do Jakarty w celu śledzenia nabrzmiałej sytuacji politycznej. Wydarzenia z 1965 r. doprowadziły w rezultacie do wymordowania blisko trzech milionów komunistów i ich sympatyków, a więc jest to fakt istotny dla historii Indonezji. Tymczasem Petera Weira ta sprawa w ogóle nie interesuje. Poza scenami rozstrzeliwania ludzi z młotem i sierpem na piersiach nie ma w filmie, nic, co by pokazywało, w jaki sposób doszło do takiego rozstrzygnięcia.

„Rok..." jest filmem, w którym za dużo mamy scen z życia salonowo-towarzyskiego w ambasadach, a za mało samej sytuacji politycznej. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że Peter Weir zrobił film zupełnie o czymś innym. Że interesowała go sama praca dziennikarska oraz etyka tego zawodu. Weir stawia pytania, na ile człowiek wykonujący ten zawód może wykorzystywać bliskie mu osoby w celu uzyskania potrzebnych informacji.

Drugą sprawą niezmiernie istotną w tym filmie okazała się przyjaźń dziennikarza z karłem-fotoreporterem. Oczywiście, wszyscy się domyślają, że chodzi o Lindę Hunt, amerykańską aktorkę odtwarzającą postać Billy'ego. Warunki fizyczne Lindy Hunt sprawiły, że postać fotoreportera została napiętnowana niesamowitą prawdą i siłą oddziaływania.

„TYSIĄCLETNIA PSZCZOŁA" — reż. Juraj Jakubisko

Wiele jest poezji w tym filmie. Cała sekwencja snu protoplasty rodu utrzymana jest w konwencji poetyckiej: na śniegu rosną grzyby, a on sam dostaje się do brzucha wieloryba, gdzie oczekuje go jego dawna miłość. W „Tysiącletniej pszczole" pada różnokolorowy deszcz.

Film opowiada dzieje słowackiej rodziny murarzy w okresie przełomu XIX i XX wieku do czasów trwania pierwszej wojny światowej. Na tle ich losów, wyboru różnych dróg życiowych, reżyser analizuje rodzenie się tożsamości narodowej Słowaków wchodzących w skład monarchii austro-węgierskiej. Wiele miejsca poświęca Juraj Jakubisko powstającemu na tych terenach ruchowi socjaldemokratycznemu. Umiejętnie wyważył w filmie akcenty obyczajowe, psychologiczne, polityczne.

„STAR 80" — reż. Bob Fosse

Przed laty Bob Fosse zadziwił świat swym „Kabaretem" ukazującym narodziny faszyzmu. W ubiegłym roku na naszych ekranach gościł „Cały ten zgiełk", a obecnie „Star 80". Ale każdy kolejny film Fosse'a nie dorównuje poprzedniemu. „Kabaret" nadal pozostaje bezkonkurencyjny, „Zgiełk..." był już słabszy, choć cieszył się dużą popularnością, a najnowszy „Star 80" zdecydowanie odstaje od dwóch poprzednich.

Scenariusz „Gwiazdy" oparł Bob Fosse na autentycznych wydarzeniach. Pewna początkująca modelka i aktorka została rzeczywiście zastrzelona przez swego kochanka nie mogącego pogodzić się z jej utratą. Fosse absolutnie nie wykorzystał szansy, jaką dawał mu ten materiał. Poszedł jednostajnym tropem przy konstruowaniu scenariusza i zamiast opowieści o gwieździe otrzymaliśmy historię niedowartościowanego psychopaty, pragnącego za wszelką cenę utrzymać w garści złotą żyłę.

WALDEMAR BĘDZIŃSKI

Kronika kulturalna

IX OGÓLNOPOLSKI Plener Malarski rozpoczął się w Ręcznie (województwo piotrkowskie). Jednocześnie w Zbiorczej Szkole Gminnej w Ręcznie otwarta została wystawa, na której prezentowane są efekty pleneru ubiegłorocznego: „Ręczno 83".

JUŻ PO RAZ SZÓSTY plastycy — mieszkańcy Zgierza — prezentują swój dorobek artystyczny na zbiorowej wystawie, która otwarta została w salach Muzeum Miasta Zgierza, ul. Dąbrowskiego 31.

Ekspozycja obejmuje prace plastyczne różnego rodzaju, w tym część obrazów związanych tematycznie ze Zgierzem i regionem łódzkim.

TKANINA ARTYSTYCZNA jest elementem chętnie stosowanym do ozdoby wnętrz w instytucjach kulturalnych i domach prywatnych, a także tym rodzajem dzieła sztuki, które chętnie oglądamy. Nie powinno więc brakować zwiedzających na wystawie, otwartej w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 282. Jest to ekspozycja tkanin jugosłowiańskiej plastyczki Sofiji Antonijević.

MACIEJ RATAJ — marszałek sejmu i przywódca ruchu ludowego — to tytuł wystawy, otwartej w salach Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi, ul. Gdańska 13.

Otwarcie wystawy było jedną z imprez, organizowanych przez Wojewódzki Komitet Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w Łodzi w ramach obchodów tegorocznego Święta Ludowego.

MATKI — przyszłym matkom — takie hasło przyświecało imprezie zorganizowanej z okazji Dnia Matki w Młodzieżowym Domu Kultury w Zduńskiej Woli. Imprezę finansowały wszystkie zakłady pracy ze Zduńskiej Woli, a dochód z niej przeznaczony został w całości na budowę Szpitala-Pomnika Matki Polki w Łodzi.

JUBILEUSZOWA IMPREZA odbyła się w Uniwersytecie Łódzkim. W związku z 40-leciem PRL zorganizowano sesję naukową, na której referaty wygłosili wybitni naukowcy łódzcy: prof. dr hab. Stefan Banasiak *(Problematyka polityczna PRL)*, prof. dr hab. Tadeusz Szymczak *(Kształtowanie się zasad konstytucyjnych w PRL 1947—1952)*, prof. dr Jerzy Starnawski *(Badania historyczno-literackie 1944—1984)*, prof. dr hab. Stefania Dzięcielska-Machnikowska *(Główne kierunki przeobrażeń społecznych)*.

Z okazji 39 rocznicy powstania Uniwersytetu Łódzkiego odbyło się uroczyste posiedzenie Senatu, w czasie którego wręczono promocje doktorskie i habilitacyjne, odznaczenia uniwersyteckie oraz przekazano klucze do nowych gmachów Instytutu Fizyki UŁ ich przyszłym gospodarzom i użytkownikom.

VII KONFRONTACJE TEATRÓW AMATORSKICH odbyły się w Łodzi w Domu Kultury „Lutnia" z udziałem 12 zespołów z całego kraju. Zaprezentowano interesujący repertuar od monodramu po duże widowiska teatralne.

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA przyznane ostatnio.

— Wśród odznaczonych twórców i działaczy kultury znalazł się między innymi znany łódzki artysta malarz, WIESŁAW GARBOLIŃSKI, który został udekorowany Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

— Zgodnie z tradycją prezes Rady Ministrów przyznał z okazji Dnia Dziecka nagrody za twórczość dla dzieci i młodzieży. Nagrodzono zespół, który zrealizował ulubiony film dzieci „Akademię pana Kleksa": **Krzysztofa Gradowskiego, Piotra Fronczewskiego, Andrzeja Korzyńskiego, Zygmunta Samosiuka** (pośmiertnie) i **Jerzego Skrzepińskiego.**

— Nagrodę prezesa Rady Ministrów za upowszechnianie kultury wśród młodzieży za pośrednictwem anteny Polskiego Radia otrzymał też ZBIGNIEW KORZENIOWSKI z Łódzkiej Rozgłośni PR.

— Nagrodę Ligi Ochrony Przyrody otrzymał między innymi HENRYK SZUBERT z Łodzi, który współpracuje z pismami i gazetami ukazującymi się w Łodzi, a między innymi z „Głosem Robotniczym" i „Odgłosami".

Wszystkim nagrodzonym i wyróżnionym gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów twórczych!

Z OKAZJI DNIA DZIECKA odbyło się wiele różnorodnych imprez nie tylko mających bawić, ale i uczyć, albo będących przeglądem dziecięcych umiejętności.

W Koninie na przykład odbyły się V Ogólnopolskie Konfrontacje dziecięcych zespołów tanecznych. Wykonawcy zespołów, prezentujących swoje umiejętności, byli w wieku od 6 do 15 lat. Uczestniczyło blisko 40 zespołów i 1200 uczestników. Wzięły też udział — po raz pierwszy — zespoły dziecięce z NRD i Węgier.

NA EKRANY KIN ŁÓDZKICH weszła już „Seksmisja" Juliusza Machulskiego. Film — który pokazano w czasie „Konfrontacji — 83" — powinien podobać się publiczności i przynieść duże zyski. Jest to bowiem pyszna i dobrze zrobiona komedia.

„Jeszcze słychać śpiew..."

MAGDA OLCZYK

Kogo w Krakowie nie było. Otóż w XX jubileuszowym Studenckim Festiwalu Piosenki udziału nie wzięli: Ewa Demarczyk, Bogdana Zagórska, Piotr Szczepanik, Leszek Długosz, Zdzisława Sośnicka, Urszula Sipińska, Maciej Zembaty.

Ale były gale, etole, recitale, imprezy towarzyszące z towarzystwami. Oto ci co wszeli dawno i niedawno, przyświecają jubileuszowi z afisza i z estrady.

Miał festiwal ten na przemian,
Lata tłuste, lata chude
Ale zawsze do myślenia skłaniał
I rozwiewał nudę.

Tymi słowami Wojciech Młynarski opisywał XV Studencki Festiwal a ja myślę, że ten sam wiersz można powtórzyć i dzisiaj. 14 maja w poniedziałek (a nie jak co roku w czwartek), kilka minut po 11 rozpoczął się Studencki Festiwal Piosenki — XX jubileuszowy, który oceniało jury pod dyrekcją Jana Poprawy — przy akompaniamencie: Marka Grechuty, Jana Kaczmarka, Lucjana Kaszyckiego, Zygmunta Koniecznego, Wojciecha Manna, Jana Kantego Pawluśkiewicza, Jana Pietrzaka, Andrzeja Sikorowskiego i Bogusława Sobczuka. Można powiedzieć, że jury szacowne i kompetentne.

Do konkursu o festiwalowy laur stanęło — jak to się ostatnio modnie mówi — 49 podmiotów wykonawczych wyłonionych drogą eliminacji z tzw giełd środowiskowych. Bo trzeba ci szanowny czytelniku wiedzieć, że na tym festiwalu mogłeś zaśpiewać i ty.

Od 1977 roku bowiem festiwal ten nosi nazwę „Studencki Festiwal Piosenki" czyli jak sama nazwa wskazuje studenci tylko organizują ten konkurs a śpiewać każdy może. Nazwa i formuła tego śpiewającego spotkania zmieniała się co kilka lat. Przez pierwszych 5 lat, czyli od roku 1962 do 1967 organizatorzy nazwali go Ogólnopolskim Studenckim Konkursem Piosenkarzy. I właśnie w latach 60-tych premiowano głos, wdzięk, aparycję i bezpretensjonalność, a laureatami tych spotkań zostali wykonawcy, którzy na stałe wpisali się w pejzaż polskiej piosenki. Przykłady? Bardzo proszę: w kolejności chronologicznej: Ewa Demarczyk, Bogdana Zagórska Zdzisława Sośnicka, Urszula Sipińska, Maciej Zembaty, Kazimierz Grześkowiak, Maryla Rodowicz, Marek Grechuta. Studencki Festiwal Piosenkarzy wylansował „gwiazdy" — i dobrze.

W roku 1970 śpiewające spotkanie zmieniło nazwę na „Ogólnopolski Festiwal Piosenki i Piosenkarzy Studenckich". Kolejne lata odwróciły obowiązującą hierarchię wartości. Głównym bohaterem stała się piosenka studencka, którą coraz trudniej było oddzielić od piosenkarzy, jako że była to najczęściej piosenka autorska. Wówczas to zauważono, że to co wyróżnia ten festiwal od innych — to przewaga głowy nad gardłem.

Cechą „kultury studenckiej" była i jest niezależność od mód, dyrektyw, reguł. Piosenki które przywozili do Krakowa ze sobą młodzi ludzie były mądre, szczere, czasami gwałtowne i niejednokrotnie rozpaczliwe. Wtedy to wyrosły takie gwiazdy jak: Elżbieta Adamiak, Elżbieta Wojnowska, Jan Wołek czy Przemysław Gintrowski. W 1977 roku znów organizatorzy zmieniają nazwę. Teraz jest to Studencki Festiwal Piosenki. Ale tradycyjnie premiuje się słowo. Laureatami kolejnych festiwali są: Andrzej Poniedzielski, Stanisław Klawe, Wojciech Dróżdż, Waldemar Chyliński, grupa B-complex, Andrzej Janeczko i Trzeci Oddech Kaczuchy — to laureat XVIII festiwalu.

W roku 1983 zwyciężyła Antonina Krzysztoń z Warszawy. I tak dzięki skrzętnie prowadzonemu archiwum — jesteśmy na jubileuszu.

14 dzień maja — poniedziałek godzina 11.00. Przed nami 12 podmiotów wykonawczych i nie najwyższa temperatura na zewnątrz i wewnątrz. Na scenę wszedł niepozorny chłopak, student Politechniki Warszawskiej — Wiesław Tupaczewski — i zaczęła się zabawa. Burzliwe oklaski przydały się i nam i wykonawcy (ogrzaliśmy sobie trochę dłonie to i głowa zaczęła jaśniej myśleć). Jury prosi o trzecią piosenkę A więc jest jakaś szansa dla ulubieńca dzisiejszego dnia. „Orzyseja", którą śpiewał Tupaczewski to niewinny żart pełen prześmiesznych rymów na „orze". Znudzona sala kupuje ten dowcip słowny — i zabawa trwa. Tym razem przy udziale znanej spółki autorskiej Borysewicz-Mogielnicki.

14 maja, godzina 17,00 recital grupy „Pod Budą".

Jak zwykle zespół urzekł nas swoimi przepięknymi balladami (pióra Andrzeja Sikorowskiego) i znakomitą muzyką (kompozycje Jana Hnatowicza), chociaż coraz rzadziej słychać w tym zespole dźwięk akustycznych gitar. Dziwna jest ta „Buda" Niby taka sama jak przed laty na Festiwalu Piosenki w Opolu — niby bardzo smutna i z całą pewnością retro. Szkoda tylko, że tak trudno kupić nową płytę zatytułowaną „Postscriptum", którą „Wifon" wytłoczył tylko w 30-tysięcznym nakładzie.

14 maja, godzina 19.30 „I Światowy Festiwal Piosenki Uwalonej" — połączny z wręczeniem Złotej Płyty Wałom Jagiellońskim. Ten z całą pewnością światowy koncert prowadzili Wojciech Mann i Krzysztof Materna. Do udziału w nim gospodarze zaprosili: Andrzeja Zauchę i Grzegorza Markowskiego.

„Wały Jagiellońskie", dla podniesienia rangi tej niecodziennej uroczystości zaprosiły również: Ewę Bem, grupę „Vox", Zbigniewa Wodeckiego i firmę „Inter-Fragrances" — której to reklama stała na scenie w hali Wisły. Ano, na pieniążki nie ma się co obrażać.

Skoro już wymieniłam wszystkie gwiazdy czas wytłumaczyć o co chodziło. Otóż wszyscy zaproszeni goście zobowiązali się zaśpiewać jedną piosenkę z repertuaru „Wałów". Było to śpiewanie konkursowe, które oceniało jury jeszcze w tym momencie nie ujawnione No i zaczęło się.

Andrzej Zaucha wyśpiewał nieco sztywno i bez jakiegokolwiek dystansu „I tylko mi ciebie brak w tym więźniu".

„Vox" wyśpiewał piosenkę trudną do zidentyfikowania.

Co śpiewał Grzegorz Markowski, również nie rozpoznałam (odczytywał tekst z kartki, co przeszkadzało mu jednocześnie przenosić statywy od mikrofonów).

Zbigniew Wodecki zaintonował „Gdy księżyc świecił na niebie do ciebie". Popularną już w całym kraju — od mas mediów po restauracyjne dansingi „Córkę rybaka". Radości było co niemiara. Kilka tysięcy widzów szalało w hali „Wisły" i nie było szans. Wodecki na bis śpiewa „Pszczółkę Maję". Brawa, brawa. No i jeszcze konferansjerzy: popularny duet Mann — Materna i krótki aerobic przy piosence „Kukuła disco". Tak też zaczął się koncert, na którym przedstawiciel „Polskich Nagrań" wręczył Wałom Jagiellońskim Złotą Płytę za sprzedanych 200 tysięcy egzemplarzy.

Oczywiście nie zabrakło piosenek gospodarzy. Całość koncertu podzielona była na trzy części. W pierwszej kilka najbardziej znanych przebojów „Wałów", w drugiej zaproszeni goście w repertuarze swoim i gospodarzy. W trzeciej małpiopstrokate Wały Jagiellońskie. Cali złoci, od stóp do głów, w cudacznych jakby swojsko wschodnich strojach. Dekoracja, owacja i zabawna opowieść dla dzieci w wykonaniu Rudiego Schubertha pod tytułem „Hej, hej jaki piękny lej". A że był to pierwszy Światowy Festiwal Piosenki Uwalonej jury musiało rozdać swoje nagrody. I tak sześciu wałów rzeczywistych (członkowie grupy) i trzech wałów nierzeczywistych Grand Prix przyznało — Zbigniewowi Wodeckiemu „za brawurę, wdzięk i najwyższe wartości ideowe" Prywatna nagroda Zb. Wodeckiego dla G. Markowskiego zostaje natychmiast rozczęstowana na scenie. Papierosy Marlboro to dziś gratka nawet dla artystów. Jeszcze tylko jedna nagroda Ewa Bem otrzymuje tutuł „Miss Obiektywu", który sama dzielnie sobie wywalczyła.

I na tym I Światowy Festiwal Piosenki Uwalonej zostaje zakończony, a my biegniemy znowu do „Rotundy" na nocny recital Marka Grechuty z zespołem „Anawa" (początek godzina 22.00)

15 dzień maja godzina 10.00 — Konferencja prasowa.

Organizatorzy usiłują wytłumaczyć nam, że „dobrze się stało, że w ogóle festiwal się odbył", bo niewiele brakowało i jubileuszu by nie było. I to nie z powodów artystycznych, ale raczej tak przyziemnych jak zakwaterowanie. Na dwa tygodnie przed jubileuszem okazało się, że brakuje 320 miejsc noclegowych, ale szybko zmieniony został komitet organizacyjny, na którego czele stanął dawny szef festiwalu Janusz Andrzejewski, i jakoś się to wszystko pozszywało. Kilka danych organizacyjno-finansowych: Festiwal krakowski kosztował 13 mln złotych. Wpływy od ludności czyli ze sprzedaży biletów osiągnęły kwotę 5 mln (bilety na koncerty do hali Wisły od 500 do 600 złotych za sztukę). Telewizja zapłaciła za transmisję 300 tys. złotych. Blisko 500 tysięcy festiwal zarobi na wydawnictwach fonograficznych (została wydana kaseta magnetofonowa zatytułowana „Co nam zostało z tych lat — czyli laureaci poprzednich festiwali — cena 500 złotych za sztukę), poza tym jakieś pieniądze dał Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Krakowa. Rada Naczelna ZSP oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki — w sumie pełen deficyt. Zawodowi dziennikarze zawiedli: miało ich przyjechać 100 (akredytacje po 10 tysięcy złotych od osoby), przyjechało tylko 35.

15 dzień maja, godzina 11.19 — konkursowych przesłuchań ciąg dalszy.

Dziś 20 podmiotów wykonawczych, z których na uwagę zasłużył Piotr Bukartyk i Wojciech Wiśniewski z Warszawy. Ten ostatni zaśpiewał piosenkę zatytułowaną „Czego chcą ludzie ci" i „Pieśń silnego wciąż". Jak same tytuły wskazują były to piosenki polityczne, niełatwe w odbiorze.

Kolejny wykonawca, który zainteresował festiwalową publiczność bardziej, niż kasety magnetofonowe firmy „Philips" które w cenie 800 zł za sztukę sprzedawane były w „Rotundzie" (zdarzały się też majtki bawełniane i skarpety), a więc kolejnym podmiotem wykonawczym godnym odnotowania była grupa „Toluś-party" z Katowic, która dostarczyła nam niezłej zabawy śpiewając z nami przebój p.t. „Jolka, Jolka" po śląsku. Brzmiało to tak:

„Dorka, Dorka, pamiętosz jak jo ci przoł
Jak jo gupioł za tobą jak pies
Jo żywiaty był z Emmą i ciegiem ją proł
Cołki geltak przepijał na fest"

Słowniczek:
Geltak — miesięczna wypłata
cołki — cały
żywiaty — żonaty
proł — bić
ciegiem — ciągle
prząć — kochać

Zabawny zespół przypominający trochę „Silną grupę pod wezwaniem" Kazimierza Grześkowiaka.

W sumie drugi dzień przesłuchań był nieco klarowniejszy, ale w dalszym ciągu zabrakło wykonawcy pretendującego do Grand Prix. Najbardziej żywiołowo reagowała publiczność na piosenkę kabaretową, bo też taka najłatwiej docierała do zmęczonej publiczności. W naszej pamięci zapisali się — zespół „Kumple Mariana" z Opola, którzy przedstawili się piosenką, w refrenie której słuchaliśmy,

„Ja jestem Leon, Leon Napoleon"

oraz wykonali song p.t. „Satyra na nieuzbrojonego Amerykanina" i jeszcze może Jarosław Śpiewankiewicz z Olsztyna („Ballada o czerwonym kapturku' bez udziału internowanego wilka").

Skończyły się konkursowe śpiewania, kilkadziesiąt minut przerwy na obiad i o godzinie 17.00 zapowiadany na afiszach recital Elżbiety Wojnowskiej. Niestety nie odbył się ten koncert, bo chociaż sama gwiazda dojechała, to po drodze zginął jej zespół akompaniujący

15 maja godzina 19.30, hala Wisły, I koncert z cyklu „Retrospektywa" w reżyserii Krzysztofa Haicha.

Chciałoby się zapytać organizatorów, po co decydowali się na koncerty wspominkowe w hali „Wisły" (2.000 miejsc bilety po 500 zł za sztukę), kiedy na koniec festiwalu zapowiedziano „super-finał" z udziałem wszystkich wykonawców, którzy zdobyli laur w Krakowie Chętnie wysłałabym tych, którzy o takiej formule decydowali, nie na kurs z reformy gospodarczej (prawdziwe przesłanie organizatorów — jak najwięcej zarobić) — a na kurs przewidywania i myślenia. Bo kto kupi tak drogi bilet po to, żeby zobaczyć garstkę laureatów, skoro za taką samą cenę może obejrzeć wszystkie gwiazdy krakowskich festiwali. I jeszcze jedno, czy nie lepiej słuchałoby się Elżbiety Adamiak, Andrzeja Poniedzielskiego i innych balladzistów w maleńkiej salce klubowej, w której zazwyczaj sprawdzają się takie śpiewania. Przecież to oczywiste, że w wielkiej hali Wisły zginie intymność która jest wielkim atutem tych piosenkarzy. I tak też się stało. Wielka hala sportowa świeciła pustkami, a zdegustowani wykonawcy, odśpiewywali co swoje i schodzili żegnani „brawkami". Całość koncertu prowadził duet Mann — Materna, który tyle ma wspólnego z piosenką studencką, co ja z zawiłościami jubileuszowego festiwalu.

Jedyną gwiazdą tej I Retrospektywy była „Grupa pod Budą". Pół rytowani czekaliśmy na kabareton, na który w Krakowie chodzi się w „ciemno". Bilety po 600 zł — wszystkie dawno sprzedane. Tłumy oczekiwały na wydarzenie. No i wydarzyło się. Scenariusz, reżyseria, prowadzenie walki w powietrzu, śpiew, taniec — czyli wszystkiemu co zdarzyło się tej nocy, winni są: Stanisław Zygmunt i Zbigniew Książek..

Nie wiem o co tam chodziło. Z całą pewnością było to zjawisko parakabaretowe z cyklu światło i dźwięk. Ogłupiała publiczność, poddawana była co jakiś czas swoistym testom na wytrzymałość. Decybele rozgrzane do białości dawały nam po uszach, reflektory punktowe po oczach, a na scenie co jakiś czas młody człowiek z gitarą. Na widowni pełno dziwnych ludzi w szarych płaszczach z podniesionymi kołnierzami i głęboko nasuniętymi na czoła kapeluszami. Co jakiś czas dla jeszcze większego ogłupienia zgromadzonej publiczności strzelali w tarcze i zrywali wiszące u sufitu niebieskie walizki. Na koniec z jednej z nich rozrzucili trawę. Jeśli miał być to jakiś symbol, to go niestety nie odczytałam. Nie chce mi się więcej pisać o tym „niewypale". Jak powiedział kiedyś Jonasz Kofta — „żartami mogą zajmować się tylko bardzo poważni ludzie". Z całą pewnością Książek i Zygmunt się do niech nie zaliczają. Szkoda tylko, że tyle tysięcy ludzi nabili w butelkę. Późną nocą spacerowaliśmy przez pachnący Kraków do hotelu — złorzecząc na wszystko i na wszystkich.

16 dzień maja — środa godzina 11.00 przesłuchania konkursowe trwają.

Jan Kaczmarek — juror — po dwóch dniach: „jest bardzo dobrze. W porównaniu z ubiegłym rokiem jest znacznie lepiej. Większa rozpiętość formy i wartości, od piosenki prymitywnej czy debilnej, aż do utworów elegancko kontestujących".

Dziś 17 podmiotów wykonawczych. Na pewno największą gwiazdą był Grzegorz Turnau z Krakowa, 17-letni wykonawca, uczeń szkoły średniej — wyśpiewał Grand Prix. Jego prezentacje poezji Baczyńskiego, Szeksipra oraz prolog do „Nowego Wyzwolenia" Witkacego, spotkały się z aplauzem publiczności. Turnau jest z całą pewnością wielkim talentem muzycznym i dysponuje silnym głosem. Trudno mi jednak uważać jego wypowiedzi, za autentyczne i szczere. Zbyt wiele w młodym wykonawcy podobieństw do Marka Grechuty („Hop, szklanka piwa"). Ostatni dzień konkursowych przesłuchań był z całą pewnością najbardziej interesujący. Z Łodzi bardzo podobała się Adrianna Biedrzyńska, studentka PWSFTviT, która zaśpiewała piosenki mądre, ale nie przemądrzałe. Szkoda, że nie dostrzegło tego jury. Łódź dała jeszcze raz znać o sobie występem Zbigniewa Zamachowskiego (także student szkoły filmowej — grał w filmie „Wielka majówka"). Jurorzy przyznali mu wyróżnienie.

Zwycięstwem podzieliła się stolica z gospodarzami. I nagrodę otrzymał Grzegorz Turnau z Krakowa (50 tysięcy złotych i bilet lotniczy na trasie Kraków — Paryż — Kraków). Drugą nagrodę, i 25 tysięcy złotych oraz grafikę ufundowaną przez J. M. Rektora ASP w Krakowie — Wiesław Tupaczewski z Warszawy. Trzecią nagrodą podzielił się — Piotr Bukartyk z Warszawy, z Pawłem Orkiszem z Krakowa.

Jeszcze tylko koncert laureatów, wieczorny „Super-Finał", na którym wystąpili prawie wszyscy laureaci poprzednich festiwali, (trwał on tak długo, że zabrakło czasu na tradycyjny nocny bal). Wykończyły nas wszystkich te jubileuszowe szaleństwa. Miejmy nadzieję, że w przyszłym roku będzie mniej tzw. imprez towarzyszących, a sam konkurs stanie się „gwoździem programu". W tym roku tak nie było. Natomiast gwiazdy przyjechały, złoto było, etoli nie zauważyłam, osoby towarzyszące z towarzystwami wzajemnej adoracji odnotowały swoją obecność. Ale zginął gdzieś między estradą a plakatem sens całego festiwalu.

XX jubileuszowy Festiwal Piosenki Studenckiej odbył się, ale zabrakło zwycięzców. Kilka indywidualności, które przedstawiłam, to naprawdę znikomy procent wśród 49 „podmiotów wykonawczych". Licealiści pobili na głowę piosenkarzy studenckich a cały koncert laureatów transmitować będzie polska telewizja.

„Stanisław Stary"

Myślą biegnę do korzeni łódzkiego drukarstwa, do ludzi, którzy pracowali w trudnych czasach zaboru rosyjskiego i okupacji niemieckiej, w warunkach ówczesnej techniki poligraficznej bardzo wyczerpującej fizycznie i umysłowo — a jednak osiągali tak piękne rezultaty Podziwiamy ludzi którzy stworzyli „Stowarzyszenie Drukarzy", które przetrwało najcięższe chwile i doczekało się niepodległości Ojczyzny W 1982 r minął jubileusz 75-lecia organizacji.

Wielu można by wymienić zasłużonych drukarzy pięknych nazwisk - i tych najaktywniejszych pracowników poligrafii członków Stowarzyszenia i tych szeregowych którzy swą pracą postawą społeczną podnieśli prestiż tego niełatwego i szkodliwego zawodu — do rangi współtwórców kultury

Pragnę przypomnieć jedną z barwniejszych postaci spośród seniorów łódzkiego drukarstwa — **Stanisława Kieszniewskiego.** Minęło 10 lat od chwili, gdy zakończył swe ruchliwe, pracowite życie Zapoznać się z jego życiorysem choć podanym bardzo krótkowo wydaje się z różnych względów pożyteczne.

St Kieszniewski urodził się 22 marca 1888 r. w Woli Zalewskiej w woj sieradzkim z ojca Macieja i matki Anny z Augustyniaków. Był właściwie łodzianinem gdyż już ok. 1891 r Kieszniewscy przenieśli się do Łodzi i zamieszkali we własnym domku przy ul Jeczmiennej 11 Uczęszczał do szkoły podstawowej miejskiej przy ul Konstantynowskiej gdzie nauczycielem był Bolesław Wocielewski Później uczył się na kursach wieczorowych organizowanych przy gimnazjum J. Radwańskiego

W 15 roku życia rozpoczął praktykę zawodową najpierw w drukarni Stanisława Debskiego (Gdańska 6), a następnie Władysława Wścieklicy (Cegielniana 55 dziś Jaracza 71). Po ukończeniu praktyki pracował w kilku zakładach graficznych — „Grapow Hessen", „Hessen Manitius Petersilge", „Grapow, Mazurkiewicz"

Po wyzwoleniu w 1919 r. był zatrudniony w charakterze korektora w „Głosie Polskim" Marcelego Sachsa (Piotrkowska 86) W latach 1923/1924 zdobywa umiejętności metody składu na linotypach i podejmuje pracę jako linotypista w „Drukarni Państwowej" następnie do września 1939, w drukarni „Republiki—Expressu"

W 1940 zostaje wysiedlony do Radomska. Jako składacz ręczny pracował w drukarni Pańskiego W 1955 r. przeszedł na emeryturę i powrócił do Łodzi W 1958 r. ożenił się z Natalią Politańską zamieszkał przy ul Targowej 23. Mając już 68 lat (marzec 1957) podjął na nowo pracę w charakterze linotypisty w Zakładach Graficznych RSW „Prasa" (Żwirki 17) W 72 roku życia (kwiecień 1961) zakończył definitywnie swą pracę zawodową choć zawsze jeszcze służył kolegom swym doświadczeniem fachowym i umiejętnościami. Zmarł w wieku lat 84 (19 maja 1973 r.) pochowany w Łodzi na Cmentarzu Katolickim na Dołach.

Poza pracą zawodową życie Kieszniewskiego koncentrowało się wokół spraw Stowarzyszenia **Drukarzy (powstało 11 sierpnia** 1907 r.) Działalność Stowarzyszenia zależała od sytuacji politycznej. Ograniczone więc były możliwości starania się o lepsze warunki pracy i bytu Z konieczności działanie Stowarzyszenia (praktycznie do 1917 r.) sprowadzało się do samopomocy koleżeńskiej, kasy pogrzebowej, biura pośrednictwa pracy, itp Główna uwagę skierowano na kulturalne i koleżeńskie życie stowarzyszenia. Urządzano pogadanki, odczyty, koncerty z okazji świąt. Z ofiar członków założono bibliotekę stworzono kółko wokalno-dramatyczne, które pomyślane było jako „zapasowa placówka" Stowarzyszenia. „Schronisko" dla członków i majątku organizacji

Stowarzyszenie było dla Kieszniewskiego rodziną — „każdy drukarz brat" Widzimy go w różnych komisjach bytowych, w składzie zarządu jako członka komisji rewizyjnej w komitetach obchodów jubileuszowych organizacji ale głównym terenem jego działalności była komisja kulturalno-oświatowa (w latach 1913—1919 Towarzystwo Muzyczno-Dramatyczne, Gutenberg) Już w 1909 r założono kółko dramatyczne z własną „scenką drukarską" w lokalu Stowarzyszenia Ponieważ Kieszniewski więcej był „śniewakiem" niż aktorem" głównie dublował na przemian ze Stefanem Krejanem „skromną rolę suflera".

Natomiast był jednym „z najgorliwszych członków chóru", istniejącego prawie od założenia Stowarzyszenia (1908 r.). W chórze występował też „solo" Sprawę chóru przy każdej sposobności czynił aktualną". Podczas wojny chór zawiesił swą działalność. Kieszniewski już w 1917 r zabiegał o jego wznowienie. By chór ratować, obiął z Józefem Burmanem kierownictwo chóru choć „kierowanie" nie leżało w jego naturze

„Chluba" Stowarzyszenia była biblioteka, założona już w drugim roku istnienia organizacji (1908) Księgozbiór liczący początkowo 155 tomów stale się powiększał w 1913 r obejmował ponad 1000 tomów z czasem wzrósł do ponad 2000 dzieł, nie licząc tygodników czasopism fachowych wydawnictw sportowych, zbioru nut do śpiewu i na fortepian utworów dramatycznych dla „scenki drukarskiej" Kieszniewski „zasługiwał na wyróżnienie", piastując mandat bibliotekarza nieprzerwanie od r 1913.

Kolega Wincenty Sławiński zamieścił w jubileuszowej jednodniówce taki wierszowany, satyryczny portret Kieszniewskiego:

„Pójdźmy razem" śpiewał, no i poszedł sam.
Nie chciał brać na barki mężów ciężki kram.
Czasem śpiewa śmętnie z pamięci lub z nut,
Skrzętnie chowa „skarby" kawalerskich cnót.
Książkowym też molem jest już dziesięć lat.
Dziwny w obyczajach, a twardy jak głaz..
Powiedzcie mi drodzy, co to jest za nas

Na koniec niech mi wolno będzie podzielić się wspomnieniem osobistym Poznałem St. Kieszniewskiego na Spotkaniu z ludźmi słowa drukowanego" 13 października 1961 r Pracowałem wówczas nad „Bibliografią prasy łódzkiej" Cenne były dla mnie, niełodzianki, rozmowy o dawnej Łodzi, o Stowarzyszeniu, o drukarzach łódzkich, o prasie. Zaprzyjaźniliśmy się serdecznie Odtąd co roku pojawiał się u nas w domu w dzień wigilijny o godzinie 16 „Kłania się Stanisław Stary" — mówił Był zawsze pogodny wesoły zaśpiewał 3 kolędy złożył życzenia wręczył noworoczny kalendarzyk i odchodził z życzliwym uśmiechem W wigilię 1972 r. nie przyszedł

WIESŁAWA KASZUBINA

Partyzancka akcja w Wiśniczu Nowym

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

W województwie krakowskim, na Pogórzu Karpackim, istnieje wieś Wiśnicz Nowy, położona w odległości 7 km od Bochni. Wieś ta, licząca około 3 tysiące mieszkańców, miała świetną przeszłość. Przez kilka wieków (XVI-XX) była miastem i posiadała zachowane do dziś zabytki, wzniesione przez przebywającego w dawnej Rzeczypospolitej architekta włoskiego Macieja Tomalę. Dawny zamek Kmitów z I połowy XVI w. przebudowany na rezydencję Lubomirskich, w stylu wczesnobarokowym oraz barokowy klasztor i kościół Karmelitów Bosych, manieryczno-barokowy kościół farny i wczesnobarokowy ratusz.

Wiśnicz Nowy, który stracił prawa miejskie w 1934 r., przeszedłby w zapomnienie, gdyby nie wyczyn 30 akowców, którzy w lipcu 1944 r. uwolnili z miejscowego obozu 130 polskich więźniów politycznych, skazanych na zagładę. Wyczyn ten szerokim echem rozszedł się po świecie, wzbudzając podziw i uznanie dla młodych, zdecydowanych na wszystko, partyzantów Armii Krajowej.

Dowódca i organizator tej akcji Józef Wieciech pseudonim Tamarow-Boruta od wielu lat przebywa w Łodzi. Siedzę w przytulnym jego mieszkaniu przy ulicy Głogowej 23 i słucham barwnej, pełnej dramatycznych napięć, opowieści.

— Urodziłem się we wsi Lipnica Dolna w 1917 r. Do gimnazjum uczęszczałem w Bochni. W 1939 r. ukończyłem zawodową szkołę podchorążych piechoty w Komorowie koło Ostrowi Mazowieckiej.

— A co pan robił w chwili wybuchu wojny w 1939 r.?

— Jako dowódca I plutonu 73 p.p. w Katowicach poszedłem na front. Walczyłem pod Wyrami, Wiślicą, Stopnicą i Wierzyńcem. W bitwie o Szarą Wolę pod Tomaszowem Lubelskim, podczas natarcia na pozycje niemieckie, zostałem ranny w głowę odłamkami pocisku artyleryjskiego. Tu dostałem się do niewoli i w czasie transportu do Niemiec zbiegłem z wozu sanitarnego. Po kapitulacji Warszawy w listopadzie 1939 r. wyjechałem do Krakowa i wstąpiłem do zakonspirowanej organizacji: Związku Obrońców Rzeczypospolitej, który w 1941 r. połączył się ze Związkiem Walki Zbrojnej, a z którego później — w 1942 r. powstała Armia Krajowa.

— Jaką funkcję pełnił pan w organizacji?

— Najpierw byłem dowódcą plutonu, następnie kompanii, a w końcu 1944 roku dowódcą I batalionu 12 pułku piechoty Armii Krajowej. Jednostka ta podlegała 6 Dywizji Piechoty, utworzonej na terenie Krakowa. 12 pułk piechoty, obejmujący dawny powiat bocheński, stanowił najsilniejszą i najlepiej zorganizowaną jednostkę bojową. Posiadał własne lotnisko polowe, na którym odbieraliśmy alianckie — przeważnie brytyjskie — zrzuty broni, amunicji i umundurowania. W pobliskich lasach — razem z innymi kolegami, byłymi oficerami wojska polskiego — organizowaliśmy konspiracyjną leśną szkołę podchorążych i kilka szkół podoficerskich. W ten sposób przygotowaliśmy kilkudziesięciu młodych ochotników z pobliskich wsi i miasteczek do walki partyzanckiej z wrogiem.

— Głośny był w 1944 r. atak pańskiego oddziału na obóz polskich więźniów politycznych w Wiśniczu Nowym. Jaki to był obóz?

— W początkowym okresie, już we wrześniu 1939 r., Niemcy utworzyli w Wiśniczu Nowym obóz dla polskich jeńców wojennych. Wkrótce — 20 grudnia tegoż roku — zamienili go na jeden z pierwszych hitlerowskich obozów pracy w Generalnej Guberni. Przywożono tu pierwsze transporty polskich więźniów z „Montelupich" krakowskich. Po utworzeniu obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu w 1940 r., Niemcy zabożyli w Wiśniczu Nowym tak zwany „Deutsches Zuchthaus" — ciężkie więzienie, do którego zaczęły nadchodzić liczne transporty polskich więźniów politycznych z różnych części okupowanego kraju. Więźniów tych albo po pewnym czasie kierowano do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, albo też w niektórych przypadkach tracono na miejscu. Ciała zmarłych i rozstrzeliwanych zakopywano w lasku „Brzezinka".

— W jakim budynku było to więzienie w Wiśniczu Nowym?

— W byłym klasztorze OO. Karmelitów Bosych, pochodzącym z I połowy XVII w. Po zniesieniu zakonu Karmelitów w 1788 r. klasztor zamieniono na więzienie. I takim pozostał już aż do września 1939 r. Niemcy po zdemolowaniu przyklasztornego kościoła, rozszerzyli pomieszczenia więzienia i zamienili je początkowo na obóz, a później na więzienie. Właściwie był to, zwłaszcza w ostatnim okresie 1944 i 1945 roku — obóz, przypominający inne obozy koncentracyjne w kraju.

— Kiedy zapadła decyzja odbicia więźniów?

— W lipcu 1944 r. Wtedy sytuacja dla Niemców z każdym dniem pogarszała się. Ponosili klęski. Pod naporem wojsk radzieckich cofali się. Opuszczając obozy, zabierali ze sobą więźniów lub rozstrzeliwali ich na miejscu. Takie niebezpieczeństwo groziło 130 więźniom politycznym w Wiśniczu Nowym. Trzeba było za wszelką cenę uratować ich przed zagładą.

Ostatnia decydująca narada odbyła się w Lipnicy Dolnej. Wzięli w niej udział dowódca I batalionu Józef Wieciech, adjutant dowódcy batalionu Eugeniusz Kowal ps. Efka, dowódca I plutonu I kompanii Adolf Roman ps. Kosa, dowódca II kompanii podpor. Jan Szymański ps. Kresowy, szef konspiracyjnej szkoły podchorążych Zbigniew Wyrzykowski ps. Maryśka, Albin Rudnik ps. Gazda i zastępca dowódcy 12 p.p. por. Józef Kaczmarczyk ps. Turoń. Wszyscy opowiedzieli się za natychmiastowym podjęciem akcji uwolnienia więźniów.

Zadanie przeprowadzenia akcji poruczono znanemu ze swej odwagi Józefowi Wieciechowi i jego ludziom. Tego samego dnia po naradzie został opracowany dokładny plan akcji na podstawie informacji dostarczonych przez Adolfa Romana ps. Kosa i szefa wywiadu pułku Juliana Migdała ps. Dąb.

W akcji wzięło udział 30 ludzi, w tym pięcioosobowy sztab I batalionu, 13-osobowa konspiracyjna leśna szkoła podchorążych, kilku przedwojennych podoficerów i inni. Dla młodych podchorążych akcja miała być pewnego rodzaju sprawdzianem ich umiejętności, pierwszym ich chrztem bojowym.

Najważniejszą grupę szturmową stanowiło 5 ludzi pod dowództwem Józefa Wieciecha. Byli to: dowódca II kompanii I batalionu Jan Szymański ps. Kresowy, dowódca I plutonu I kompanii sierżant Adolf Roman ps. Kosa, szef II kompanii sierżant Zbigniew Wyrzykowski, zastępca dowódcy pułku porucznik Józef Kaczmarczyk ps. Turoń i podchorąży Eugeniusz Kowal ps. Efka. Grupa ta po przejściu trzech bram więziennych, miała opanować posterunki niemieckie, umożliwić dotarcie do więzienia, uwolnić więźniów i ubezpieczyć ich odmarsz.

Druga grupa pod dowództwem brata dowódcy I batalionu — Edwarda Wieciecha ps. Harnaś, liczyła 9 ludzi. Zadaniem jej było nadzorowanie rozbrojonych strażników i żołnierzy niemieckich, przekazywanie zdobytej broni trzeciej grupie ubezpieczeniowej, utrzymanie ciągłości ruchu elektrowni i wraz z grupą szturmową zabezpieczenie odmarszu więźniów.

Trzecią grupę ubezpieczeniową dowodzoną przez dowódcę I plutonu II kompanii podchorążego Leona Szczerkowskiego ps. Lew, stanowiło również 9 ludzi. Ubezpieczali oni oddział AK w marszu i na miejsce akcji oraz zajmowali stanowiska obronne w wypadku ataku wroga. Ponadto zabezpieczali wycofywanie się oddziału z terenu więzienia i przyjmowanie od drugiego zrzutu zdobytej broni i amunicji.

Prócz tych 3 grup, plan akcji przewidywał dwa 2-osobowe patrole zewnętrzne pod dowództwem podchorążego Stefana Mączki i dwa dwuosobowe posterunki zewnętrzne na wieżach strażniczych pod dowództwem podchorążych Franciszka Wojciechowskiego ps. Orzeł i Wojciecha Piotrowskiego ps. Paź oraz dwóch łączników podchorążych — Juliana Wieciecha ps. Skrzat i Antoniego Wnęka ps. Kruk.

Dowódca I kompanii Andrzej Możdżeń ps. Sybirak otrzymał rozkaz przecięcia linii telefonicznej, łączącej więzienie z gestapo w Bochni.

Plan akcji został zatwierdzony przez dowództwo 6 d.p. i 12 p.p. AK.

— Kiedy miała rozpocząć się akcja?

— Ustaliliśmy ją na dzień 26 lipca 1944 r. Koncentracja oddziału została wyznaczona na 24 lipca w lesie Bukowiec na skrzyżowaniu dróg Wiśnicz Nowy — Lipnica Murowana i Borówna — Połom. Początek akcji wyznaczono na godzinę 23. Dla odwrócenia uwagi niewtajemniczonych w akcję, podałem do wiadomości, że 26 lipca odbędą się ćwiczenia wojskowe partyzantów. Przed wymarszem zleciłem Adolfowi Romanowi ps. Kosa przeprowadzenie bardzo dokładnego rozeznania w terenie. Więzienie usytuowane było na wyniosłej górze. Z trzech stron prowadziły do niego ściany niemal prostopadłe, przez które trudno było się doń dostać. Było tylko jedno dojście do więzienia od strony północno-zachodniej. Tam znajdowały się trzy bramy, przez które można było przedostać się do właściwych zabudowań więzienia. Załoga składała się z kilkunastu uzbrojonych po zęby Niemców i z kilkudziesięciu również uzbrojonych strażników. 300 metrów poniżej kwaterował hitlerowski batalion piechoty, dysponujący bronią pancerną, samochodami i czołgami. Ten fakt jeszcze bardziej utrudniał realizację naszego przedsięwzięcia. Wśród strażników mieliśmy kilku naszych ludzi, z którymi utrzymywaliśmy stałe kontakt. Jednym z nich był właśnie sierżant Adolf Roman ps. Kosa.

— W jaki sposób udało im się dostać pracę w więzieniu?

— Byli oni strażnikami więzienia już w latach przedwojennych, przed wrześniem 1939 r. Po zajęciu Wiśnicza Nowego i przejęciu więzienia, Niemcy powołali ich jako strażników do dalszej pracy.

Zgodnie z planem, 26 lipca 1944 r. o godzinie 23.15 30-osobowy oddział AK pod dowództwem J. Wieciecha wyruszył marszem ubezpieczonym. W 45 minut później dotarł w pobliże więzienia. Była godzina 24.

— Służbę strażnika głównej bramy więziennej pełnił tego dnia późnym wieczorem jeden z naszych umówionych ludzi — opowiada J. Wieciech. — O godzinie 23 został zmieniony przez innego strażnika. Był to również Polak, ale niewtajemniczony w naszą akcję. Toteż gdy Kosa zapukał silnie w bramę, strażnik zwlekał z jej otwarciem. Podszedł do wizjera i na widok Kosy w stroju strażnika, zapytał: — Dlaczego tak późno przychodzisz? — A Kosa na to: — Spóźniłem się trochę. Otwórz, kolego. — Ale strażnik opierał się dalej. — Nie wolno mi o tak późnej porze otwierać bramy. Musisz zaczekać do rana. — Ależ, kochany, nie mogę przecież tak długo czekać. Mam wkrótce wartę. Proszę cię otwórz. Nie poznajesz mnie? — Strażnik przez jakiś czas wahał się jeszcze. Ale Kosa tak długo prosił, aż wreszcie dał się ubłagać. Przekręcił klucz i uchylił bramę. Na widok kilku innych ludzi chciał zatrzasnąć bramę z powrotem, ale w tej samej chwili cała nasza szóstka szturmowa natarła z impetem na bramę. Strażnika porwaliśmy i przekazaliśmy podążającemu tuż za nami drugiemu zrzutowi naszych ludzi, a sami wpadliśmy do wartowni. Znajdował się tu oficer z 9 żołnierzami. Niektórzy z nich próbowali sięgnąć po stojące w kozłach karabiny, ale na widok wycelowanych w ich stronę pistoletów, stanęli jak wryci. Na nasze wezwanie wszyscy podnieśli ręce do góry. Zabraliśmy im broń i przekazaliśmy ją drugiemu zrzutowi. Teraz należało przeforsować drugą i trzecią bramę. Oficer wzięty w krzyżowy ogień badań, przyznał się, że ma klucz do drugiej bramy. Prowadzimy go więc do tej bramy i każemy mu ją otworzyć. Otworzył. Podbiegamy do następnej bramy. Tu już napotkaliśmy na trudności. Trzecia brama bowiem była zabezpieczona kratami i oświetlona. Nie czekając jednak ani chwili, podchodzimy do bramy i dzwonimy. Przedstawiamy się jako Niemcy i żądamy otwarcia bramy. Wartownik volksdeutsch widząc cienie naszych ludzi podszedł bliżej krat, by przekonać się, czy rzeczywiście są to Niemcy. W tym momencie, kiedy zbliżył się na odległość może 2-3 metrów, wymierzyliśmy w niego automaty i krzyczymy: — Otwórz. Jeżeli nie otworzysz, zginiesz. — Strażnik zamarł z przerażenia. Kto wy jesteście? Anglicy? Myślał, że to oddział angielski. Część naszych ludzi bowiem miała na sobie mundury alianckie, które otrzymaliśmy ostatnio ze zrzutu brytyjskiego. Wartownik na widok wymierzonych w jego kierunku pistoletów, otworzył bramę. I znowu jak przedtem oddaliśmy strażnika drugiemu zrzutowi. Teraz podzieliliśmy się na dwie grupy. Ja i Efka wpadliśmy na dyżurkę. Był tam oficer, telefonista i strażnik przy magazynie broni. Niemcy początkowo myśleli, że to są żarty, ale gdy zobaczyli wymierzone automaty, podnieśli ręce do góry. Rozbroiliśmy ich i kazaliśmy im stanąć w kącie. W tym samym czasie druga grupa naszych ludzi zaatakowała wartownię wewnętrzną, gdzie 22 strażników w pełnym uzbrojeniu stanowiło pogotowie. Nie zdołali jednak sięgnąć po karabiny stojące tuż obok nich na stojakach. Wszyscy poddali się. Zdobyliśmy 22 karabiny ręczne, jeden erkaem, dwa pistolety maszynowe, kilka innych pistoletów i wiele granatów.

— Po sforsowaniu trzech bram mieliście już drogę do więzienia chyba otwartą?

— O, nie! Czekało nas jeszcze jedno najważniejsze i zarazem najtrudniejsze zadanie: dotarcie do samego komendanta więzienia pułkownika Schrödera.

— Czy to było aż tak trudne zadanie?

— Tak! Komendantowi więzienia podlegali wszyscy zgrupowani tu oficerowie, żołnierze i strażnicy. On decydował o wszystkim. Tylko za jego pośrednictwem mogliśmy rozprawić się z pozostałymi na terenie rozległych zabudowań więzienia Niemcami.

— No i jak rozprawiliście się z nimi i komendantem?

— Zabraliśmy oficera inspekcyjnego i z wymierzonym w jego plecy pistoletem podprowadziliśmy go pod drzwi kwatery komendanta. Oficerowi kazaliśmy zawiadomić pułkownika Schrödera, iż ogłoszony został alarm lotniczy. W takich przypadkach komendant zawsze wychodził na teren więzienia. Oficer wypełnił nasze polecenie, ale komendant wahał się z otwarciem drzwi. — Dlaczego światła nie zostały zgaszone? — zapytał. — Dlatego, panie pułkowniku — tłumaczył oficer — że nie chcieliśmy stwarzać paniki. I coś mu więcej jeszcze tłumaczył. W pewnym momencie Niemiec ostrożnie uchylił drzwi i w tej samej chwili razem z Kowalem, Kosą i Wyrzykowskim wpadłem do kwatery komendanta. Nie było czasu na zastanawianie się i rozmowy. Momentalnie wybiłem Niemcowi pistolet w górę, gdy zamierzył się na nas. Wystrzelił w powietrze. Za nami wpadło kilku innych naszych ludzi. Kazaliśmy komendantowi oprowadzić nas po całym więzieniu. Szliśmy więc od kwatery do kwatery i rozbrajaliśmy pozostałych Niemców. Niektórzy chwytali za broń i próbowali bronić się. Trzeba było kilka razy uprzedzać ich i dla odstraszenia strzelać w górę. To skutkowało i Niemcy jak baranki poddawali się. W ten sposób w przeciągu niecałej godziny rozbroiliśmy całą załogę. Teraz nastąpiła chwila najbardziej oczekiwana. Wydałem rozkaz Kosie wypuszczenia z cel więziennych tylko więźniów politycznych.

— Czy prócz więźniów politycznych byli w więzieniu jeszcze inni przestępcy?

— Tak. Była garstka kryminalistów pospolitych, którzy zostali skazani między innymi za przestępstwa popełnione na ludności polskiej. Tych pozostawiliśmy w więzieniu. Kiedy zwolniliśmy 130 polskich więźniów — mniej więcej w tych granicach — zarządziłem ich zbiórkę na podwórzu więziennym. Nie wszyscy więźniowie uwierzyli, że są wolni. Wielu z nich broniło się rozpaczliwie przed wyprowadzeniem z cel. Myśleli, że idą na stracenie, bo przeważnie pod osłoną nocy Niemcy wyprowadzali ich i rozstrzeliwali. Trzeba było przez dłuższy czas im tłumaczyć, że to swoi ich uwolnili. Gdy się wreszcie dowiedzieli całej prawdy, niektórzy z nich z radości o mało nie oszaleli. O godzinie 2 w nocy zlikwidowaliśmy ostatnie wewnętrzne posterunki i pod dowództwem mojego zastępcy Jana Szymańskiego zarządziłem opuszczenie klasztoru.

— A co stało się z komendantem więzienia?

— Razem z innymi Niemcami został osadzony w magazynie broni. Wymogliśmy na nim przyrzeczenie, że w przeciągu godziny po naszym odejściu z więzienia nie zawiadomi o naszej akcji najbliższej jednostki hitlerowskiej w Wiśniczu Nowym i gestapo w Bochni.

— I dotrzymał swego przyrzeczenia?

— Dotrzymał. Zresztą musiał dotrzymać. Poważnie uszkodziliśmy wszelką łączność telefoniczną. Naprawienie jej wymagało wiele czasu.

— A jak poradziliście sobie ze zdobytą bronią?

— Zabraliśmy ją ze sobą. Było jej sporo: erkaem, i ponad 70 karabinów, automatów i pistoletów. Amunicji było tyle, iż z wielkim trudem zdołaliśmy ją unieść.

— Czy mieliście jakieś kłopoty z więźniami w czasie odwrotu?

— Tak i to niemałe. Kolumna więźniów rozciągnęła się na znacznej długości. Wygłodzeni i osłabieni, do tego niektórzy dźwigający na plecach nasze karabiny i granaty, posuwali się bardzo powoli tą samą drogą, którą wyszliśmy, to jest między zabudowaniami miejscowości Łomna, w kierunku tego samego miejsca, gdzie odbyła się koncentracja naszego oddziału w lesie. Po dojściu do miejsca koncentracji zatrzymałem pochód więźniów. Prowadzenie całej jego kolumny było niemożliwe ze względu na wyczerpanie i bardzo zły stan fizyczny więźniów. Zaczęło już świtać. Obawiałem się odkrycia naszego pochodu przez posterunki niemieckiej jednostki w Wiśniczu. Zarządziłem więc utworzenie kilku grup więźniów. Jednych zgodnie z ich życzeniem wcieliliśmy do naszych oddziałów partyzanckich. Innym, którzy nie chcieli pozostać z nami, poleciłem, aby własnymi drogami, przy zachowaniu jak największej ostrożności, udali się do swych domów i rodzin. Ponadto wydałem polecenie moim ludziom, by zawiadomili okoliczną ludność o uwolnieniu więźniów, o udzielaniu im wszechstronnej pomocy i o ukrywaniu ich przed wrogiem. Mój apel nie pozostał bez echa. Nie było ani jednej miejscowości, gdzie ludność nie pospieszyłaby z pomocą więźniom. Dzięki temu ani jeden z nich nie dostał się w ręce wroga. Część ich pozostała z nami w lesie, a część powróciła do swoich domów.

Następnego dnia rano zaalarmowani hitlerowcy skoncentrowali znaczne siły i rozpoczęli pościg. Nie przyniósł on jednak spodziewanego rezultatu. Akowcy bowiem z więźniami oddalili się znacznie od Wiśnicza Nowego i zaszyli się głęboko w lasach Duchowej Góry, Spilówki i Rajbrotu. Niemcy postanowili wtedy zastosować inną formę odwetu.

— Przeprowadzili pacyfikację Lipnicy Murowanej, Dolnej i Górnej — mówi dalej J. Wieciech — to znaczy tego terenu, z którego pochodzili przeważnie moi ludzie z oddziału partyzanckiego. W wyniku tej akcji został zabity Józef Burdak ps. Kruk, a kilkunastu innych akowców zostało wywiezionych do obozów koncentracyjnych. Min. dostali się w ręce wroga: członek naszej organizacji, przedwojenny dowódca DOK w Łodzi, generał dywizji Ignacy Ledóchowski, jego bratanek dowódca zwiadu konnego I bat. porucznik Mieczysław Ledóchowski, ludzie z mego oddziału: Leon Szczerkowski, Zbigniew Wyrzykowski i Albin Rudnik oraz moi dwaj bracia Tadeusz i Julian Wieciechowie, podchorążowie: Szymon Sufczyński, Roman Stokłosa i szeregowy Aleksander Piotrowski. Z tych osób przeżyli obozy koncentracyjne i powrócili do domów jedynie porucznik M. Ledóchowski i mój brat Julian Wieciech. O generale Ledóchowskim dowiedziałem się, że został internowany na Morawach i tam zmarł.

Akcja uwolnienia z więzienia w Wiśniczu Nowym 130 Polaków okupiona została śmiercią 15 żołnierzy i oficerów AK. W miejscu przeprowadzonej akcji został wzniesiony pomnik, upamiętniający bohaterski wyczyn oddziału partyzanckiego Tamarowa-Boruty.

Po zakończeniu wojny Józef Wieciech zaciągnął się do Ludowego Wojska Polskiego i brał udział w walkach przeciwko bandom UPA na Rzeszowszczyźnie i w strefie pogranicznej w Czechosłowacji. Jako kapitan pełnił służbę wojskową aż do 1951 r. Obecnie jest majorem rezerwy. Za wybitne czyny otrzymał liczne wysokie odznaczenia bojowe: Krzyż Walecznych, Krzyż Partyzancki, Srebrny Medal Zasłużonych na Polu Chwały, czechosłowacki Krzyż Walecznych, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski i ostatnio w 1984 r. Krzyż Orderu Odrodzenia Polski.

Józef Wieciech przez 11 lat pracował jako nauczyciel w Zakładzie Doskonalenia Zawodowego w Łodzi. Pełni szereg funkcji społecznych, jako prezes Zarządu Koła ZBoWiD nr 2 w dzielnicy Łódź-Bałuty, dowódca Terenowych Oddziałów Samoobrony w tejże dzielnicy, przewodniczący jednej z komisji egzaminacyjnych w Izbie Rzemieślniczej w Łodzi.

Polemiki • Listy • Opinie

LUDOWY TWÓRCA PISZE DO REDAKCJI WIERSZEM

Stanisław Smardzewski poczuł się dotknięty opublikowaniem fragmentów jego wierszowanych listów do redakcji. Nadesłał kolejny list. Oto jego treść:

„Szanowana redakcjo. Przepraszam, że ośmieliłem się na krytykę Skirolawek, a w niej golizny. „Odgłosy" czytam i będę, pomimo trudności z kupnem. Nie prosiłem o druk nawet wyjątków z moich wierszy. Ale teraz prosiłbym o wyarukowanie tego, bez zniekształceń, o ile jest to możliwe".

STANISŁAW SMARDZEWSKI

Niniejszym spełniamy prośbę:

„Nie jestem Poetą
co zabłysnął światu
więc jestem wśród Twórców
a nie Literatów.

Nie jestem ja orłem
wysokiego lotu,
lecz szarym wróbelkiem
znad wiejskiego płotu.

Proszę mnie zrozumieć
Panowie i Panie,
kto kocha wróbelki,
lubi i ćwierkanie.

Nie mam do was żalu
lecz prawdopodobne,
żeście odpłacili
pięknym za nadobne:

To nie moja wina
tylko wina losu
niechcąco siem znalazł
na łamach Odgłosów".

Ponieważ nie jesteśmy w stanie odpisywać naszemu korespondentowi wierszem, na tym kończymy wymianę poglądów. Ewentualne dalsze listy prosilibyśmy prozą.

LUCYFERY NA ŁAMACH!

Od stuleci chochliki adiustacyjne, drukarskie i korektorskie grasują na łamach gazet i czasopism. Patrzę na to z filozoficznym spokojem. Ale tym razem — to już nie chochliki, lecz wręcz diabliska, istne Lucyfery. Kompromitują nieco autora tekstu zamieszczonego w „Odgłosach" nr 22 pt. „Wspomnienia z otchłani". Tak więc autor musi im ukręcić łeb.

A więc tajemniczy Makowicki, któremu tekst dedykuję — to oczywiście znany wszystkim red. Andrzej Makowiecki.

Tajemniczy fibroflot — to rzecz jasna wibroflot, brytyjskie urządzenie, które wraz z angielską brygadą pracowało przy budowie Portu Północnego, a konkretnie przy utwardzaniu i odwadnianiu ziemi z dna morskiego wyrzuconej na ląd.

„Stały pacjent" Kliniki Ostrych Zatruć nie był rzecz jasna bardzo bierny, lecz bardzo biedny.

I na koniec, nie la companera de soledat — lecz oczywiście — la companera de soledad, choćby z tej przyczyny, że rzeczowniki rodzaju żeńskiego kończące się na „t" w języku hiszpańskim nie istnieją.

Oczywiście, wnikliwi czytelnicy — tak w moim, jak i w innych tekstach — znajdą i inne chochliki. Ale nie bądźmy małostkowi: są one jak smaczny zakalec w dobrze wypieczonym cieście. Smacznego!

ROBERT GLUTH

O RETKINI — I NIE TYLKO...

Tak się złożyło, że w ostatnich publikacjach „Odgłosów" znalazły się aż trzy artykuły zbliżone w swej treści, dotyczące problemu Spółdzielni Mieszkaniowych i życia na osiedlach. Pierwszy artykuł Ewy Lachowskiej pt. „Pechowe dziecię" traktujący o Retkini, z wypowiedziami dyr. RSM „Polesie" Z. Florka. Drugi artykuł Władysława Biszewskiego pt. „Jeszcze raz sprawy osiedla „Chojny — Zatorze" i trzeci — Zenona Porowatego — „Umyć miasto, czy uciąć rękę".

Jako mieszkanka Retkini pragnę i ja w tych sprawach zabrać głos. Jestem członkiem Zebrania Przedstawicieli z osiedla „Piaski" i członkiem Rady Nadzorczej RSM „Polesie". Sprawy Retkini są mi bardzo bliskie, czynnie włączam się w życie osiedla i znam atmosferę tu panującą.

Z wypowiedzi dyr. Z. Florka dowiadujemy się, że „Retkinia budowana była na chybcika...", że powstało to „pechowe dziecię" z ogromnym bagażem usterek..., a cały dramat zaczyna się w różnych zależnościach i powiązaniach"...

Dowiadujemy się też, że „są gigantyczne kłopoty..., w większości nie z naszej winy", że „cała Retkinia to prowizorka". Czytając ten artykuł odniosłam wrażenie, że dyr. Z. Florek w ten sposób całą odpowiedzialność za wybudowaną, jeszcze zresztą nie do końca, Retkinię pragnie zrzucić na wykonawstwo, na zasadzie znanego powiedzenia „to nie ja — to kolega".

Mieszkańcy Retkini i ci, którzy tu przyjeżdżają wiedzą doskonale jak jest budowane to osiedle. To, że brakuje mieszkań, a brakować ich będzie jeszcze bardzo długo, nie tłumaczy, że należy budować „prowizorkę", na którą zresztą poszły i idą w dalszym ciągu miliardowe sumy. Przy obecnej technice budowlanej można budować szybko i dobrze.

Za co więc odpowiada RSM „Polesie" z całym swoim aparatem technicznym i administracyjnym? Ludzie potrzebujący mieszkania zapisują się do spółdzielni mieszkaniowej, a nie do Zakładu Sieci Cieplnej, Przedsiębiorstwa Wodno-Kanalizacyjnego, Zakładu Energetycznego czy Gazowniczego, MPO i innych instytucji powiązanych z „produktem finalnym" jaki tworzy RSM „Polesie". Może to zabrzmi makabrycznie, ale w wypadku Retkini zapomniano jeszcze w tym rejestrze o zakładzie pogrzebowym, do którego powinni zapisać się już tu mieszkający na wypadek kolejnego wybuchu gazu w następnym bloku.

Z całej wypowiedzi dyr. Z. Florka godne uwagi jest tylko przyznanie, że „istotną rzeczą jest szacunek dla własnych postanowień statutowych, dla własnego zakresu obowiązków i odpowiedzialności". Właśnie odpowiedzialności!!!

Członek spółdzielni, po otrzymaniu upragnionego mieszkania, na które włożył uciułany wkład budowlany, rozlicza się tylko ze spółdzielnia i nie kto inny, tylko spółdzielnia ma obowiązek rozliczania się z nim z kosztów. I nie kto inny, tylko spółdzielnia odpowiada za to, jakie budynki przyjmuje od wykonawcy. Spółdzielnia ma swój statut, ale obowiązki i odpowiedzialność, którą w myśl statutu przyjęła na siebie, pozostawiają dużo do życzenia.

Jakie jest życie na osiedlach, to wiemy wszyscy. Trudno marzyć, aby panowały idealne warunki, które stwarza codzienność przy tak zróżnicowanej społeczności osiedlowej. Ale wytrwałą pracą wychowawczą i pewnymi niezbędnymi rygorami wiele można zdziałać, mając oczywiście do tego działania poparcie czynników odpowiedzialnych. Dyrektor Z. Florek stwierdza w artykule „Pechowe dziecię", że RSM „Polesie" usuwa skutki przeszłości i jeszcze długo będzie poprawiać tę „prowizorkę". Ale do czego my tu mieszkający mamy już teraz prawo, to do poszanowania praw członkowskich, do ładu i porządku na co dzień, do poszanowania tych już nielicznych społeczników, których się tu nie kocha. Są wrogami dyrekcji Spółdzielni, administracji osiedlowej, no i „gospodarzy domów". Ci ostatni są coraz bardziej arogancey, a nawet grożą, jeśli na jakimś zebraniu mówi się o ich pracy.

Od marca 1984 r. weszłam w skład Rady Nadzorczej RSM „Polesie", która też ma swój regulamin. Jego paragraf 7 p. 2 brzmi: „Do zakresu działania Rady Nadzorczej należy dokonywanie okresowych ocen wykonywania przez Spółdzielnię jej zadań społeczno-gospodarczych ze szczególnym uwzględnieniem przestrzegania przez Spółdzielnię praw członkowskich...".

Ponieważ nasze prawa członkowskie są tu ustawicznie naruszane także przez organ Spółdzielni, jakim jest administracja osiedla, na plenarnym posiedzeniu Rady 26.04.84 r. zgłosiłam wniosek, aby dyrekcja Spółdzielni ukarała administrację choćby przez udzielenie nagany za dopuszczenie do takich nieporządków, jakie zapanowały na osiedlu w pobliżu bloków i pawilonu spożywczego przy ul. Rajdowej 2. Mimo zgłoszeń administracji brak było działania i dopiero interwencja jednego z mieszkańców do akcji „Posesja 84" i do Sanepidu odniosła skutek. Czy o wszystko musimy sami walczyć? A przecież jest to obowiązkiem pracowników administracji robić przegląd osiedla i reagować na sygnały od mieszkańców. Dyrektor Z. Florek mieszkający tuż na osiedlu „Piaski" chyba widział ten bałagan. Jego interwencja odniosłaby na pewno pożądany skutek i mniej byłoby krytycyzmu do wszystkiego w czym żyjemy.

Odczułam, że mój wniosek nie podobał się dyrekcji, która usiłowała tłumaczyć administrację. Przyjęty też został z dezaprobatą przez pozostałych członków Rady, a nawet jeden z nich wygłosił arogancką uwagę, że to są duperele, którymi Rada nie musi się zajmować. Widocznie ta Rada uważa, że wszystko trzeba akceptować i na wszystko się godzić, co tylko zarząd przedstawi do zatwierdzenia.

To nie są duperele proszę „Wysokiej Rady". To są te małe sprawy, ale bardzo ważne, bulwersujące tysiące ludzi tu mieszkających, członków spółdzielni, o których prawa nie ma się tu kto upomnieć.

Rada Nadzorcza nie jest powołana li tylko do zatwierdzania planu finansowo-gospodarczego, ale również, a może przede wszystkim do rozliczania Zarządu Spółdzielni na co te finanse są wydawane. Spółdzielnia nie jest prywatnym przedsiębiorstwem. Na jej powstanie i istnienie składają się wkłady mieszkaniowe, czynsze, no i dotacje państwowe. Ale to też są fundusze wypracowane przez klasę robotniczą. Bulwersuje po prostu w tym artykule jowialne stwierdzenie dyr. Z. Florka na temat kosztów Retkini, tej „prowizorki", jak ją nazwał, że „znajdują się tu koszty wynikające z nieudolności, niedowładu, niskiej wydajności, marnotrawstwa, a więc oczywistych strat". O tym, że taki jest koszt budowy nie trzeba nikogo przekonywać. Ale kto za to ponosi odpowiedzialność? Za wszystkie zmarnowane złotówki, za które można było wybudować na Retkini szkołę czy przedszkole. To nie żadne „mechanizmy antyefektywnościowe" tu działają. Nikt nie chce znaleźć się pod gruzami bloku walącego się na skutek wybuchu gazu, nikt nie chce, aby mu woda zalewała mieszkanie na skutek złego zabezpieczenia rynien przed deszczem, nikt nie chce marznąć na skutek uproszczonych założeń technologicznych w imię wątpliwych oszczędności, które może poszły do prywatnych kieszeni jako nagrody za racjonalizatorstwo. A jeśli do tego dodać kradzieże z budów, pijaństwo w czasie pracy, brak nadzoru, to mamy już pełny zbiór czynników, które złożyły się na tę „biedę", jaką z konieczności musimy znosić. I za to też chyba spada w dużej części odpowiedzialność na Spółdzielnię.

To raczej my, mieszkańcy osiedli doszliśmy do granicy społecznej tolerancji, a wyrazem tego jest również znikomy udział we wszelkich spotkaniach osiedlowych, choćby ostatnio z radnymi. Świadomości społecznej to nam nie brakuje. Brakuje wiary w skuteczność działania. Jesteśmy za zdrowo pojętą współpracą, a nie za krytyką, która jak dotąd nie trafia nigdzie poza środki masowego przekazu. Artykuły ukazujące się coraz częściej w prasie świadczą o nabrzmiałym problemie, który należy rozwiązać natychmiast. To wielka praca dla nowych Rad Narodowych i dla PRON. Niezadowolenie wyrażane przez nielicznych już, ale nieugiętych społeczników jest niezadowoleniem tysięcy członków spółdzielni mieszkaniowych, którzy chcieliby, aby w ich osiedlach żyło się coraz lepiej i bezpieczniej, w spokoju i pokoju. Nie wszystko jest wynikiem kryzysu ekonomicznego. Brońmy się przed ogarniającym nasz kraj stokroć gorszym kryzysem moralnym. A to już bardzo groźna choroba społeczna.

MARTA SOBOCKA
Retkinia — „Piaski"

AUKCJA

No — więc mieliśmy w Hali Sportowej **aukcję**, w której każdy mógł brać udział po opłaceniu biletu wstępu. Cel — oczywiście zbożny, bo w przeciwnym przypadku nie byłoby uzasadnienia

Jako Obywatel w wieku powyżej-średnim przypominam sobie z lektur, że były aukcje znaczków pocztowych, koni, klejnotów, obrazów, rzeźb i innych dzieł sztuki. Może coś pominąłem. W każdym razie z pojęciem „aukcja" kojarzyła mi się sytuacja, w której ktoś chce lub musi sprzedać (oczywiście zarabiając!), a ktoś inny chce kupić, aby ulokować kapitał, bądź zaspokoić swoje aspiracje. Na przykład prosi gości — i potem w dyskretnej asyście goryli pokazuje swoją prywatną galerię sztuki, chwali się posiadaniem picassów, matisse'ów itp. Ale nie konsumpcyjnego. Aukcja — to aukcja, brylanty, perły, „Mauritius". Wielkie fortuny, lokowanie, a przy okazji — pośrednictwo.

A tymczasem doczekaliśmy się aukcji towarów deficytowych! Przyznaję, że brzmi to nader nobliwie, ale coś mi nie pasuje. Sięgam przeto do słownika wyrazów obcych M. Arcta, Warszawa 1929: „...aukcja — łac. pomnożenie, powiększenie, licytacja...". Hmm... może od tego czasu coś się zmieniło? Słownik Wyrazów Obcych PIW, wyd. IV rok 1965: „...aukcja — łac. — licytacja. Dawniej: publiczna sprzedaż, w czasie której rzecz uzyskuje ten, kto ofiaruje najwyższą sumę...".

Już rozumiem. Moja głowa kiepska. Chodzi o to, aby sprzedać temu, kto ofiaruje najwyższą sumę, a więc — dysponuje większą ilością gotówki i jest w stanie przebić wszystkich innych. Czyli — preferujemy gotówkę, albo raczej — uprzywilejowujemy posiadaczy **większej** ilości gotówki.

I gdy popatrzę na ten aspekt sprawy — to znów przestaję rozumieć. Bo przecież chodzi nie o znaczki pocztowe, konie wyścigowe, dzieła sztuki, precjoza i inne klejnoty. Gdyby tak — to organizujmy setki aukcji na zbożne cele i ściągajmy tę gotówkę w złotówkach, twardych i miękkich. Do woli. Drenaż nie jedno ma imię!

Lecz w tym przypadku oferowano na „aukcji" towary deficytowe. Czyli **zubożono** przez cały czas trwania tej imprezy normalny rynek o dziesiątki lodówek, zamrażarek, maszyn do szycia i czego tam jeszcze — po cenach „normalnych", które i tak nie są normalne, lecz całkowicie dowolne, według widzimisię producentów.

Tu wtręt: „luksusem" jest ponoć licencyjny „Singer". A widział to kto na rynku inne maszyny do szycia, do wyboru?

I retoryczne pytanie: kto zwróci mi utracony rok studiów, który repetowałem nie potrafiąc w dostatecznie jasny sposób odpowiedzieć na pytania — co to jest cena i czy działa u nas prawo wartości? Mój Pan Profesor pewno nie.

Myślę sobie więc, że bez mydlenia oczu należy powiedzieć wyraźnie: mamy do czynienia jeszcze z jednym rodzajem ceny superumownej, przetargowej. Kto ma więcej pieniędzy — ten kupuje, a inny może odejść z kwitkiem A celów „aukcji" — jeszcze bardziej zbożnych, choć nie mam nic przeciwko „Centrum" — można wymyśleć multum.

A więc — cena Mamy ceny urzędowe, regulowane, umowne. Używa się określenia „cena wolna", co mi się kojarzy z „dowolną", tak jak „samodzielność" niekiedy z „samowolą". Nieobce nam były i są ceny spekulacyjne, nazywane dawniej wprost: paskarskimi. A w obrocie takim towarem, jakim są pieniądze (konkretnie chodzi mi o pożyczkę) — żądanie zbyt wielkiej „ceny" (odsetek) za wypożyczenie pieniędzy nazywano po prostu lichwą.

I dlatego zaczynam mieć coraz więcej wątpliwości, co za jaką cenę kupuję? A skoro mam jeszcze wierzyć, że jest w porządku, iż nie mam maszyny do szycia, bo przysłowiowy Kowalski przebija mnie w cenie, to czuję się już zupełnie podle.

Po pierwszym dniu tej imprezy były w łódzkim „radio-ranku" wywiady. Zapamiętałem trzy wypowiedzi:

— „...licytowałem i kupiłem za 70. I tak tanio, bo z ogłoszenia musiałbym dać 80...",

— „...robotnik tu i tak nic nie kupi...",

— „...zapewniamy pełną ofertę towarów do godziny 17. Oczywiście, że aukcja jest dla tych, którzy mają pieniądze...".

Pełna szczerość, pełna jasność sytuacji.

Śmiem twierdzić, że takie zubożenie oferty rynkowej i podbicie i tak już wysokich i nieuzasadnionych kosztami wytwarzania cen — jest normalnym rozbojem Nie chcę zanudzać, lecz przytomni czytelnicy i słuchacze coraz to są świadkami sytuacji, w których udowadnia się producentom, że produkują gorzej i mniej, topiąc w cenach wszystkie swoje knoty i zaniedbania, a mają więcej pieniędzy.

Dziennikarz „Głosu Robotniczego" w numerze z 26/27 maja br. tytułuje swój artykuł „Ceną czy towarem?". Nie mam wątpliwości, że towarem. Obyśmy znów zbyt późno nie przypomnieli sobie, że istnieje znaczne rozwarstwienie materialne na niekorzyść większości tych, co właśnie produkują, a jak dotychczas — nie potrafiliśmy jeszcze wymyśleć metody, w której motywacja do produkcji byłaby większa od motywacji do spekulacji! Mimo że większość produkujących pracuje uczciwie.

Solennie przyrzekam, że dawałem i będę dawał datki na zbożne cele, ponieważ jest to obowiązkiem każdego, który nie wyznaje „tumiwisizmu". Ale nie pójdę na żadne „aukcje" i nie będę obojętny wobec prób tłumaczenia, że czarne jest białym i odwrotnie. Dla zasady.

Nie wszystko wyraża się w złotówkach.

W. AFELT

LAUREACI KONKURSU POETYCKIEGO

19. 05. 1984 r. został rozstrzygnięty Turniej Jednego Wiersza pt. „Mamo — pierwsze i ostatnie w życiu ludzkim słowo" (z okazji Święta Matki). Jury w składzie: Henryk Hartenberg, Ewa Miller, Henryk Pustkowski i Henryk Zasławski nie przyznało pierwszej nagrody. II nagrodę przyznano Stefanii Opalskiej, a III nagrody ex aequo przyznano: Jadwidze Bożyk, Annie Blumental, Oldze Brzezińskiej

Ponadto jury przyznało cztery wyróżnienia.

Turniej został zorganizowany przez DDK Łódź-Górna i grupę literacką „Centauro".

MINĄŁ MAJ..

Dni Oświaty Książki i Prasy w tym roku nie wyróżniły się niczym w stosunku do dni pozostałych, tych pisanych z małej litery. Imprez oświatowych, odczytów, konkursów i innych tego rodzaju działań — niestety zabrakło. Chyba, że do takich zaliczymy egzaminy maturalne.

Prasa — zarówno codzienna, jak i — za przeproszeniem „Odgłosów" — tygodniowa niczym nie akcentuje, że dni majowe, to właśnie Dni Prasy.

Książka — lepiej nie mówić. Zapodziały się gdzieś dni organizowanych kiermaszy, ulicznych stoisk, przy których autorzy podpisywali swoje książki, spotkań i wieczorów autorskich. Nawet z witryn księgarń nic nie przypominało, że właśnie mamy Dni Książki. A przecież pamiętamy, bo czas to nie nazbyt odległy, okres ogromnej ekspansji książki. Popularnych, tanich wydawnictw, z serii „biblioteka" „Chłopskiej Drogi", „Przyjaciółki", czy „Trybuny Ludu". Drukowanych na jakościowo niskim papierze, bardzo skromnych edytorsko, ale atakujących czytelnika w każdym kiosku „Ruchu", czy nawet sklepie GS.

Książki te miały zdobyć czytelnika. I zdobywały go. Miały trafiać „pod strzechy". I trafiały. Dzisiaj nie ma już strzech, a książki trafiają... pod ladę. Obawiam się więc, byśmy nie utracili czytelnika. Tego, którego zdobywaliśmy przed kilkunastu laty: ze środowisk robotniczych i wiejskich. Obawiam się, bo zdaję sobie sprawę że zdobyć go ponownie będzie znacznie trudniej. Bo walczącej o czytelnika książce wyrośli konkurenci. I to nie byle jacy: telewizja, dyskoteki, rokowiska i inne tego typu.

Wiem, wiem — brak papieru, mocy, kadry. Wyeksploatowane maszyny drukarskie, przestarzałe urządzenia, brak dewiz i sto innych plag egipskich, obiektywnych i udokumentowanych. Oczywiście, cieszą mnie książki pięknie wydane, drukowane na doskonałym papierze (mniej cieszy, niestety, ich cena) Ale wołam równocześnie o popularne wydania, mniej edytorsko piękne, ale w dużych nakładach, ot — „lektury z makulatury" dla tzw. masowego czytelnika. Książek, które nie trafią pod ladę czy na bazar, ale będą się trzymały „strzech", pod które przed laty trafiły.

Dom Książki dał nam jednakże z okazji „Dni Książki" również coś na ladę: oto w wielu księgarniach mamy całkiem bogaty wybór książek przecenionych Dosłownie za kilka złotych można wybrać sobie tytuły wydane przez PIW, MON, Wyd Literackie, Wyd. Łódzkie i inne. I wcale niekoniecznie typu „cegła". Tyz piknie, jak mawiał pewien góral. Nie rozumiem tylko dlaczego w jednej księgarni można kupić daną książkę (nową) z przeceny, za grosze, w innej zaś, taką samą (używaną) jako antykwaryczną, za cenę wyższą od nominalnej. Są to widocznie tajniki zawodu, a ja w końcu nie muszę wszystkiego wiedzieć.

PIOTR SIKORSKI

Upojna noc

STEFAN JÓŹWIAK

Zakładowy Dom Kultury. w miejscu.

„Zwracamy się z uprzejmą prośbą o udostępnienie sali klubowej i zabezpieczenie prezentera na całonocną zabawę karnawałową. Obsługę szatni i porządkowych zabezpieczymy we własnym zakresie. Zobowiązujemy się też do posprzątania sali po zabawie".

Takie pismo wpłynęło do kierownika ZDK od zarządu koła zakładowej organizacji młodzieżowej. Postanowiłem wziąć udział w tej zabawie.

1.

Znienacka otworzyły się drzwi i niewielkiego wzrostu bramkarz błyskawicznie wciągnął mnie do środka, wolną ręką przekręcając jednocześnie klucz w zamku. Tłocząca się za mną grupa młodzieży została odcięta. Ktoś kopnął drzwi, ktoś rzucił mocne słowo.

— Spokój gnojki! — wrzasnął Mały i poprowadził mnie do hallu. — Cwaniak! — warknął pod adresem dobijających się do drzwi. — Już dwa razy ich wywalałem, a jeszcze sterczą. A ty co — zmienił temat — na zabawę? Tam na górze mamy taki pokoik dla siebie. Na salę nie masz co chodzić, tam już pełno. A u nas sami swoi. Jak przyjdą dziewczyny, będzie jakiś sprzęt do obalenia. Jak dasz działkę, to możesz się załapać...

W tym momencie rozległo się wzmocnione walenie do drzwi i Mały pognał na osierocony posterunek. Ja zaś skierowałem się na salę taneczną, skąd dobiegło wycie i charkot aparatury nagłaśniającej. Po estradzie uwijał się Zbysio, etatowy niemal prezenter klubu, i rugał na cały głos swego pomocnika:

— Słuchaj, baranie! Na fonodysku mają iść te dwie czterdziestki, kapujesz?! Piecyk podłączysz do tego wejścia, a do niego dopiero sitko i ten magnet. I pamiętaj, że lewe kółko popsute! Jak skończysz z tym podłączeniem, to daj głos. Ja teraz idę obejrzeć panienki.

I Zbysio, lew dyskotek, robi przegląd sali. Nie ma jeszcze kompletu gości, ale zawsze warto wcześniej „przejrzeć towar". Wybór jest później łatwiejszy. Tymczasem pomocnik uporał się wreszcie z aparaturą, co obwieścił tryumfalnym rykiem przy pomocy kilkuset watów. Zbyś co prędzej wskoczył na estradę, by zapowiedzieć początek zabawy:

— Na dobry początek usłyszycie waszą ulubioną piosenkę „Córka rybaka"!

2.

Z ciemności znienacka wynurzył się Mały i nic nie mówiąc (i tak bym nie usłyszał) wyciągnął mnie z sali. Weszliśmy do toalety. Jej wygląd ucieszył by zapewne malarza-abstrakcjonistę, ale do białej gorączki doprowadził kierownika klubu. Był to niewątpliwie krajobraz po bitwie. Na podłodze poniewierały się szczątki rozbitej umywalki, a na białych kafelkach ścian widniały na wpół zaschłe plamy krwi. Widać tu, w dyskretnym zaciszu klozetu regulowano nabrzmiałe porachunki osobiste. Pytam więc o szczegóły.

— Tak w ogóle to my nic nie wiemy— oświadczają bramkarze. — Chłopaki nam to pokazali. Tylko widzieliśmy jak dwóch takich, co już byli dobrze nagrani, prowadziło się do wyjścia. Jeden trzymał się za rękę. Ale to było jeszcze przed rozpoczęciem zabawy! —. dorzucają, zgarniając w kąt porozrzucane szczątki.

Skoro nie dowiem się nic więcej, szkoda czasu na kontemplowanie zanieczyszczonej toalety. Wracam na salę, gdzie tymczasem atmosfera stała się jakaś bardziej swojska. Po chwili wiem już, co spowodowało taką odmianę: butelki! Najrozmaitszych kształtów i kolorów od razu zmieniły charakter zabawy. Nabrała rumieńców.

3.

— Na tej dyskotece nie ma przerw! — reklamuje się Zbysio. Istotnie, ani chwili wytchnienia od grzmiącej muzyki rockowej. Gdy Zbyś chrypnie, sitko — czyli mikrofon — przejmuje pomocnik. Zbysio zaś, po chwilowym zregenerowaniu sił przy służbowym stoliku, rusza na parkiet w poszukiwaniu kolejnej partnerki. Zmienia je co chwila, czasami one porzucają go na środku sali. On się tym nie martwi. Nie zdarzyło się jeszcze, by z prowadzonej przez siebie imprezy wychodził samotnie.

A tymczasem uwolniony chwilowo od obowiązków pomocnik kiwa na mnie ręką (jedyny to sposób porozumiewania się na tej sali). Zaprasza do stolika, który zajmują na zmianę ze Zbysiem. Nie leżą na nim płyty, ani jakbym się mógł (naiwny!) spodziewać, magnetofonowe taśmy. Sterczy natomiast dumnie bateria butelek z nie mniej dumnym napisem „WINO". Rezygnacja z poczęstunku wywołuje niemal obrazę:

— No jak, swój jesteś czy nie?!

Kłopotliwą sytuację wyjaśnia Mały, pojawiający się przy stoliku niczym deux ex machina. Bezceremonialnie pociąga mnie za sobą. Czyżby znowu draka? Ależ nie! Po prostu przypomina, że obiecałem przyłączyć się do jego znajomych.

W bocznej salce hałas nie był już tak dokuczliwy. Można nawet spokojnie porozmawiać. Co prawda, niewiele tej rozmowy było. Bramkarze, chwilowo uwolnieni od obowiązków, szparko nadrabiali zaległości. Co chwila więc padało hasło:

— Panowie! Szybciej, bo procenty uciekają!

4.

Po północy poznikali z sali balowej pierwsi „zmęczeni". Bramkarze wytropili ich dość szybko. Jeden tak się wklinował między ścianę a sedes, że o własnych siłach nie mógł się wygrzebać. Pozytywny rezultat dała dopiero zbiorowa akcja, gdzie jeden bramkarz przyduszał chłopaka do podłogi, a pozostali dołem (tam gdzie sedes najcieńszy) ciągnęli za nogi. Później krótka wizyta w szatni i pierwsza ofiara Polmosu (lub Ponalu) w honorowej asyście bramkarzy odstawiona została do drzwi.

— Ale denat — komentował później Mały. — Trzeba go było podpierać ze wszystkich stron, bo leciał na pysk z każdej pozycji. Ciekawe, jak dojdzie do domu, bo przecież autobusy o tej porze nie chodzą!

I podśmiewając się, pobiegł do swego gabineciku, gdzie niecierpliwiło się towarzystwo. Stało tam jeszcze kilka butelek, które trzeba było jak najprędzej osuszyć, gdyż, jak twierdzili znawcy, „szkłem przejdzie".

Miał też Mały do załatwienia sprawę nieco poważniejszą. Jego osobista narzeczona, znudzona towarzystwem przypiętym do butelek, postanowiła powetować sobie stracone chwile tańcząc z innym. Wprawdzie Mały dansior nietęgi, ale co to znaczy, żeby dziewczyna tak na chama... Począł jej szybko szukać, bo wiedział, że jak nie znajdzie jej w porę, to nie znajdzie jej już przez całą noc. Znalazł. Ale widać dysuksja nic nie dała, bo narzeczona wróciła do tancerza, a Mały do kolegów, do ostatniej, niestety, butelki. Tu spotkało go jeszcze większe rozczarowanie. Ktoś ukradł ostatnie pół litra

— Cham! Świnia! Jak go dorwę, to mu nogi z... powyrywam!

Z humorem już do cna zwarzonym powlókł się Mały szukać serdecznej, koleżeńskiej pomocy na wzgardzonej do tej pory sali ogólnej.

5.

Mimo iż parkiet znacznie opustoszał, Zbyś-Podrywacz nie dawał wytchnienia tancerzom. Nie odchodził od mikrofonu. Czuł wyraźne obrzydzenie do siadania przy stoliku. Nic dziwnego. Taka wpadka dawno mu się nie zdarzyła. Przysiadły się tam dwie dziewczyny, z którymi — przez pomyłkę — zatańczył.

— Trzy razy brzydsze od kupy jeża — powiedział pomocnik.

Oczekiwały na zakończenie zabawy i jakiś ciąg dalszy. Na dodatek wypiły całe Zbysiowe wino.

6.

Opuszczając gościnne progi klubu po raz ostatni natknąłem się na Małego. Drzemał oparty o ścianę. Przyprószył go nieco padający śnieg. Ocknął się na mój widok.

— Dziewczyny wysłaliśmy przodem — wybełkotał z trudnością.

— Zdobyły jeszcze trochę gorzałki. Chodź ze mną, będzie wesoło. Nie?... Ech, ty...

Kiwnął się parę razy i ruszył, plącząc nogi, na autobusowy przystanek...

Zamiast komentarza::

Kierownik:

— Zapaprali mi cały klub! Już im nigdy nic nie zorganizuję! Co za gnojstwo!

Sprzątaczka:

— Roboty było tyle co zawsze. Tylko butelek więcej. Za prawie 600 złotych sprzedałam.

„Cygańska miłość" po studencku

BOHDAN GADOMSKI

Wydział Wokalno-Aktorski Akademii Muzycznej w Łodzi przygotował kolejną premierę szkolną z udziałem swoich studentów na scenie Teatru Muzycznego w Łodzi. Tym razem wybrano z repertuaru teatru „Cygańską miłość" Franciszka Lehara, w inscenizacji Tadeusza Junaka, w reżyserii Piotra Krukowskiego pod kierownictwem muzycznym Mieczysława Wojciechowskiego, w choreografii Krystyny Zalewskiej-Traczewskiej.

Zapewne łatwiej jest wkomponować w gotowe już przedstawienie młodych adeptów wokalistyki, skupiając się na ich prowadzeniu po scenie pierwszymi, prawdziwie aktorskimi krokami, bo wokalnie przygotowali się do zawodu w uczelni.

Piotr Krukowski nie miał prostego zadania, bowiem ograniczony niedobrą, schematyczną inscenizacją Tadeusza Junaka, musiał przyjąć to co zostało ustawione i w tej konwencji poprowadzić młodych wokalistów-aktorów, którzy ze sceną nie mieli w większości żadnych spotkań. Trudna to praca i niewdzięczna, ale to wszystko, co obejrzeliśmy 12 maja na scenie Teatru Muzycznego i co dało się oglądać w wykonaniu studentów Akademii Muzycznej w Łodzi było właśnie jego zasługą.

Studenci muszą mieć na pewnych etapach swojej edukacji praktyczne zajęcia, w przypadku Wydziału Wokalno-Aktorskiego są to udziały w spektaklach operetkowych i operowych. Obowiązek ten winien dotyczyć ostatnich lat studiów — V i VI roku, ale jak się okazuje łódzka Akademia Muzyczna nie jest w stanie zgromadzić z ostatnich lat niezbędnych gatunków głosów do zapewnienia obsady prostego spektaklu jakim jest „Cygańska miłość". Sięgnięto więc po siły zapasowe do roku IV, III, II, a nawet I, co może świadczyć o kłopotach w przygotowaniu szkolnego spektaklu na profesjonalnej scenie. Bohaterką tej operetki jest Zorika, córka bogatego ziemianina, śniąca sen o cygańskiej miłości, cygańskim weselu z Cyganem Joszi.

W tej roli jakże trafnie obsadzono WIESŁAWĘ WIELEMBOREK-GROBELNĄ (studentkę V roku, z klasy Haliny Romanowskiej, której studenci błyszczeli tu najjaśniejszym blaskiem), spełniającą wszystkie wymagane warunki nie tylko jako wymarzona Zorika, ale i jako przyszła gwiazda operetkowej sceny. Świetne warunki zewnętrzne, ogromny wdzięk, takiż temperament i głos sopran liryczny o dużym blasku, którym śpiewa z wielką łatwością przy ogromnej dojrzałości i kulturze świetna aktorsko, prawdziwa ozdoba przedstawienia. Dyrektor teatru Rajmund Ambroziak natychmiast zaangażował Wielemborek do zespołu solistów. Dzielnie partnerowali: ANTONI SZEREMETA (rok V, klasa Adama Dulińskiego), ładny tenor z dużą techniką i siłą, z operowymi predyspozycjami oraz DARIUSZ STACHURA (rok I, klasa Haliny Romanowskiej), mocny tenor o ciekawym i ciemnym zabarwieniu, dużym wolumenie, w przyszłości predysponowany do partii dramatycznych. W roli hrabiny Ilony wystąpiła JOANNA WOŚ (IV rok, klasa Jadwigi Pietraszkiewicz) — typowy lekki sopran liryczny z bardzo słabo brzmiącą średnicą, ale utalentowana aktorsko. Pozostałe role nie dawały studentom możliwości do wokalnych popisów, dlatego potraktowali swoje zadania czysto aktorsko z charakterystycznym poprowadzeniem postaci. Zabawny był PIOTR BOROWIK (rok V, klasa Władysława Malczewskiego), wdzięcznie nieporadny SYLWESTER KOSTECKI (rok IV, klasa Zdzisława Krzywickiego) oraz w epizodycznych zadaniach WOJCIECH OKRASKA (rok III, klasa Tatiany Mazurkiewicz), WŁADYSŁAW PODSIADŁY (rok IV, klasa Zdzisława Krzywickiego), BOŻENA WAGNER (rok III, klasa Adama Dulińskiego), JOANNA GZELLA (rok III, klasa Tatiany Mazurkiewicz).

Statyczny, martwy chór nie przeszkadzał solistom w scenicznych akcjach, ale sympatyczny balet bardzo je ubarwiał.

Z obejrzanej rzeczywistości scenicznej, z zaprezentowanego stanu śpiewającej młodzieży nasuwają się różne wnioski, ale ponieważ niektórzy z nich już wchodzą w zawód, inni przygotowują się do niego, wypada życzyć powodzenia i możliwości rozwoju artystycznego.

Studenci—milicjanci 9:1 (6;0)

STRÓŻE PRAWA DOSTALI LANIE, ALE KONSEKWENCJI NIE BĘDZIE.

W towarzyskim spotkaniu piłkarskim rozegranym na stadionie PTC w Pabianicach, jedenastka studentów rozgromiła futbolową reprezentację pabianickiej MO 9:1 (6:0).

Bramki dla zwycięzców zdobyli: Kaliński 3, Pierzchała 2 oraz Orłowski, Koźlenko, Borowski, Ograbek po 1.

Sędziował arbiter neutralny. Widzów 250.

Obie drużyny przystąpiły do meczu praktycznie z marszu, jako że nie doszły do skutku, planowane wcześniej, obozy treningowe i zgrupowania kondycyjne w Kamieniu koło Rybnika i w Wiśle. Fakt ten wpłynął niekorzystnie na poziom widowiska, ale i tak spragniona dobrego futbolu publiczność miała wiele okazji do oglądania prawdziwych majstersztyków piłkarskiego rzemiosła. Szczególnie finezyjne zagrania — przewrotki, dryblingi, wślizgi — były dziełem „biało-fioletowych" — bo w takich strojach wystąpili milicjanci. Oczarowali oni widzów nie tylko doskonałym wyszkoleniem technicznym, ale także nienaganną kondycją i wielką wolą walki. Studenci, którzy przewyższali rywali warunkami fizycznymi, nic specjalnego nie pokazali. Aż dziw bierze, że tak mierny zespół pokonał doborową ekipę MO. Sympatia publiczności była oczywiście po stronie lepszych i burzliwe oklaski nagradzały funkcjonariuszy przy każdym ich kontakcie z piłką.

Już na godzinę przed rozpoczęciem spotkania oba zespoły zapoznały się z płytą boiska, po czym odbyły konieczny trening. Podczas rozgrzewki uwidoczniła się organizacyjna wyższość milicjantów. Nie tylko opracowali oni szczegółową taktykę gry, ale jeszcze utrzymywali stały kontakt z centrum wyszkolenia i bankiem informacji. Raz po raz płynęły polecenia i wskazówki z głośników zainstalowanych w radiowozie. Reprezentacja MO czuła ogromny ciężar odpowiedzialności i było wiadomo, że chłopcy wykrzesają ostatnie resztki sił, by zadość uczynić ambicjom przełożonych i zaufaniu sympatyków.

Punktualnie o 17.00 oba zespoły wybiegły na boisko. Studenci pozdrowili rywali okrzykiem: „dzień dobry!". Ci zaś, po chwili zastanowienia i krótkiej konsultacji, odpowiedzieli chóralnym „do widzenia!". Laicy, którym taki odzew wydał się niesmaczny, nie wiedzieli jeszcze, że w piłkarskim światku praktykuje się czyny określane mianem taktyki psychologicznej. Reakcja „biało-fioletowych" była właśnie klasycznym zachowaniem obliczonym na podłamanie przeciwnika. Istotnie rywal poczuł się gorzej, co wyraźnie ukazały zażenowane oblicza studentów.

Tego dnia szczęście wyraźnie sprzyjało słabszym. Już w 2 minucie przypadkowa akcja żaków zakończyła się zdobyciem problematycznej bramki. Dalekie podanie przejął prawoskrzydłowy Kaliński i mocnym strzałem umieścił piłkę w siatce. Trzeba jednak dodać, że bramkarza „biało-fioletowych" oślepiało słońce, a i strzał napastnika studentów był stanowczo za mocny.

Milicjanci nie zrazili się tym przejściowym niepowodzeniem. W 8 minucie ich selekcjoner przeprowadza pierwsze taktyczne zmiany. Opuszcza boisko dwójka destrukcyjnych pomocników, a wchodzą do gry bramkostrzelni napastnicy. Wiadomo już, że została użyta tajna broń. Wymienieni gracze mogli wreszcie, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, wypalić zasłużonego papierosa. Zanim odgasili peta było już 2:0. Kolejna przypadkowa akcja studentów doprowadziła do niesprawiedliwego podwyższenia wyniku. Winę za utratę bramki ponosi inny napastnik żaków, który w złośliwy sposób zasłonił pole widzenia bramkarzowi MO, tak że ten nie mógł w pełni zaprezentować swego niewątpliwego kunsztu. Od tego momentu — wyłącznie za sprawą studentów — gra staje się brutalna. Milicjanci, jak przystało na dżentelmenów boiska, nie dają się sprowokować do wymiany ciosów. Dochodzi do tego, że sami sobie winni żacy ulegają licznym kontuzjom i na dodatek bezczelnie domagają się skierowań na rehabilitację do słynnej kliniki doktora Jelinka w Wiedniu. Zabiegają przy tym o poparcie swych rywali w staraniach paszportowych. Rzecz oczywista naganne te czyny zostały zbyte milczeniem, bowiem powszechnie wiadomo czym grozi przedkładanie partykularnych interesów ponad szlachetną ideę rywalizacji. Wstyd studenci!

Ale nie koniec na tym. Przy wydatnej pomocy arbitra studenci strzelają trzy dalsze bramki w ciągu 2 minut. Publiczność protestuje i domaga się przekazania drugiej piłki do wyłącznej dyspozycji milicjantów, aby mieli oni możliwość dotknięcia skórzanej kuli, dotąd bezprawnie przetrzymywanej u nóg przeciwnika. Z biegiem czasu sytuacje na boisku opanowują stróże prawa. Już w 23 minucie podejmują oni pierwszą próbę zaskoczenia golkiperów żaków. Piłka jednak wychodzi w aut. Przerażeni takim obrotem sytuacji studenci wykopują piłkę na oślep — byle dalej od własnej bramki. Jeden z takich wykopów kończy się najzupełniej przypadkowym i wielce szczęśliwym zdobyciem szóstego gola.

Rezultatem 6:0 kończy się pierwsza połowa spotkania. Wynik nie odzwierciedla układu sił na boisku i jest wielce krzywdzący dla ambitnych piłkarzy MO. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że po przerwie „biało-fioletowi" ruszą do huraganowego szturmu na bramkę żaków i zmiotą przeciwnika z powierzchni murawy.

Druga połowa meczu rozpoczyna się od niemiłego zgrzytu. Oto studencki bramkarz nonszalancko przywdziewa czarny frak, sugerując tym samym, że spełnia funkcję raczej reprezentacyjną i nie jest narażony na udział w grze. Srogo się jednak myli. Co prawda strój jego pozostanie nieskazitelnie czysty, ale konto bramkowe już nie.

W tej części meczu obraz gry ulega zmianie. Milicjanci preferują grę pozycyjną, z krótkimi przerwami na papierosa. Czują się znacznie pewniej widząc nadjeżdżające samochody z umundurowanymi kolegami. Rośnie doping.

Ulubieńcem publiczności jest niski, za to dobrze wyglądający, stoper milicyjnej jedenastki, który wzrusza zebranych wysokiej klasy interwencjami, sprawnym poruszaniem się po boisku i doskonałą grą bez piłki. Tygrysia zwinność i gracja ostatniej milicyjnej instancji są warte sfilmowania i pokazania adeptom piłkarskiego fachu.

W 41 i 53 minucie studenci zdobywają dwie kolejne bramki, ale tego dnia nie stać ich na nic więcej. Na dodatek w 54 minucie popełniają kardynalny błąd. Pozostawiają sam na sam z własnym bramkarzem czwórkę napastników MO i choć głośno twierdzą, że działają w trosce o swój przyszły los, to jednak wszyscy wiedzą, iż stało się tak w wyniku nieudanej próby zastawienia pułapki ofsajdowej. Szczęściem rozpędzeni bramkostrzelni gracze rywala zaplątują się w koronkowe wykończenie akcji i piłka — z powodu nierównej murawy, wychodzi w aut. Zaraz potem obrona studencka powtarza błąd, całkowicie dyskredytując swą wartość. Tym razem sprawiedliwości staje się zadość i MO zdobywa bramkę. Na widowni prawdziwe szaleństwo. Publiczność skanduje: „jeszcze jeden, jeszcze jeden". Odważnie ruszają do przodu napastnicy, pomocnicy, a nawet obrońcy „biało-fioletowych". Niestety sędzia kończy mecz. A szkoda, bo do zwycięstwa brakowało już tylko 9 goli.

W przekroju całego spotkania więcej z gry mieli milicjanci. Świadczy o tym chociażby ilość wznowień gry, od środka czy przebieg gry wyłącznie na ich połowie boiska. Napastnicy studentów razili indolencją strzelecką. Praktycznie oddali tylko 9 strzałów w światło bramki, podczas gdy „biało-fioletowi" strzelali aż 10 razy.

Słów kilka należy poświęcić postawie arbitra, który wyraźnie faworyzował drużynę studencką i źle interpretował przywileje korzyści.

Po meczu milicjanci zdementowali pogłoski, jakoby dążyli do pozasportowego rewanżu. Mimo tego oświadczenia studenci chyłkiem opuścili stadion.

ROMAN KUBIAK

Tajemnice podziemnego Paryża

250 km paryskich dróg uchodzi kontroli władz. Wystarczyła dziesięciominutowa audycja telewizyjna, aby spostrzegł to mer Paryża, Jacques Chirac. Audycja była reportażem poświęconym podziemnym kamieniołomom oraz tajemniczym gościom, którzy tam przebywają. Zainteresował się tą sprawą także Guy Fougier, prefekt paryskiej policji.

Zdumienie i zaniepokojenie tym co się dzieje w „podziemiach" Paryża nie datuje się od wczoraj. Niejeden raz wzywano przed oblicze władz ludzi za to odpowiedzialnych, udzielając im nagany. „Trzeba położyć temu wreszcie kres". Taka reakcja dowodzi do jakiego stopnia ludzie odpowiedzialni za administrację stolicy nie znają przeszłości miasta i jego chwili obecnej.

Paryż rozciąga się na ogromnych złożach materiałów budowlanych — gipsie, glinie i kamieniach, które były eksploatowane przez osiemnaście stuleci. Najpierw korzystano z materiałów dostępnych na powierzchni; ale potem zaczęto drążyć podziemne chodniki. Kamieniołomy rozciągają się dziś na przestrzeni 835 hektarów, a więc obejmują dziesiątą część francuskiej stolicy. Gdyby nie zajęto się tym w porę, to znaczna część Paryża byłaby dziś zawieszona w próżni. Co pewien czas zresztą znikają w głębi ziemi całe domy wraz z ich mieszkańcami. Nie jest to tylko lekkomyślna hipoteza. W 1961 roku w Clamart pod Paryżem zawaliły się filary podziemnego kamieniołomu — właściwie nie wiadomo z jakiego powodu. Zawaliło się wtedy sześćdziesiąt domków i willi. Z rumowiska wydobyto ponad czterdzieści osób. Połowa z nich już nie żyła.

Sama stolica teoretycznie zabezpieczona jest przed takimi katastrofami. Już od dwustu lat obowiązuje zakaz wydobywania materiałów budowlanych z podziemia Paryża. W 1977 roku powołano generalną inspekcję kamieniołomów, która zajmuje się też wypełnianiem wyrobisk i umacnianiem podziemnych chodników. Praca ta nie została jeszcze zakończona.

Władze miejskie Paryża realizują teraz program przewidujący „wstrzyknięcie" w ogromny szwajcarski ser, jakim jest góra Montmartre, 230 tys. ton mieszanki popiołów i cementu. Taka masa, powoli krzepnąc, powinna uchronić paryskie ulice przed zawaleniem się. Wiele z nich bowiem przebiega ponad dawnymi kamieniołomami, z których wydobywano słynne białe bloki budowlane. Wezwano też właścicieli domów, aby czynili to samo. W najbliższym czasie podobny program obejmie wzgórze Belleville, gdzie także są stare kamieniołomy.

Najrozleglejsze są te kamieniołomy, z których wydobywano bloki wapienne. Obejmują one znaczny teren na lewym brzegu Sekwany w dzielnicy piątej, szóstej, trzynastej i czternastej. Po odpowiednim przystosowaniu niektóre z nich są wykorzystywane. Pod placem Denfert-Rocherau znajdują się katakumby, w których złożono prochy paryżan ze zlikwidowanych cmentarzy. Katakumby mają długość 1800 metrów. Założono je w ubiegłym stuleciu, składając w nich szczątki sześciu milionów mieszkańców stolicy. Wśród nich są z pewnością Rabelais, Pascal, słynny architekt Mansart, pani Pompadour, Monteskiusz, Mirabeau i Marat.

Inne kamieniołomy, na których wzniesiono Obserwatorium, Muzeum, Wyższą Szkołę Fizyki oraz Szkołę Sztuk i Rzemiosł służą jako laboratoria dla tych instytucji naukowych. Oto jeden z przykładów. W podziemiach, z dala od wstrząsów ulicznych umieszczono mechanizmy zegarynki. Jeszcze inne podziemne wyrobiska służyły podczas ostatniej wojny jako schrony przeciwlotnicze. Znajdowały się one pod szpitalem Cochin, Szpitalem św. Anny oraz trawnikiem Ogrodu Luksemburskiego. W pobliżu wojskowego szpitala Val de Grace, szef kolaboranckiego rządu Pierre Laval kazał wybudować bunkier, gdzie w luksusowych warunkach mogli znaleźć schronienie jego współpracownicy i straż przyboczna.

Z kolei bojownicy Ruchu Oporu mieli swe stanowiska dowodzenia w podziemiach pod placem Denfert-Rocherau i stąd właśnie kierowano walką o wyzwolenie Paryża w sierpniu 1944 roku. Niedawno poczta umieściła w podziemnych korytarzach przewody pneumatyczne oraz telefoniczne. Jeszcze inne kamieniołomy obrócono na pieczarkarnie.

Większość odkrytych kamieniołomów — bo są z pewnością takie, o których nie mamy żadnych informacji — została po prostu zasypana. Aby jednak nadzorować, co się tam dzieje, wybudowano galerie w murowanej obudowie, biegnącej o 20 metrów poniżej poziomu ulic. Mamy w ten sposób 250 kilometrów podziemnych chodników ze skrzyżowaniami i tablicami informacyjnymi, gdzie znajdujemy się w danej chwili. Ten drugi Paryż połączony jest z pierwszym poprzez system klatek schodowych i szybów.

Codziennie znajduje się tam kilka ekip robotników oraz inspektorzy kamieniołomów. Jednakże nocą i podczas weekendów podziemie Paryża jest znowu ciche i pogrążone w ciemnościach.

Prawdę mówiąc, jednak goszczą w nich również ci wszyscy, którzy jakoś nie mogą zerwać związków z przodkami — jaskiniowcami. Pokusa zejścia do podziemi ma swą tradycję. Już w kwietniu 1897 roku grupa młodych ludzi spoiła strażników i zdołała dostać się do katakumb. Sprowadzili tam pięćdziesięcioosobową orkiestrę i zaprosili około setki artystów i uczonych. Odegrano marsze żałobne i inne utwory muzyki pogrzebowej. Rzecz jasna, nie brakowało też dziennikarzy, a nazajutrz cała Francja mogła przeczytać w gazetach makabryczne opisy tego wydarzenia. Od tej pory do tradycji należy już, że w kamieniołomach organizują swe dziwaczne imprezy studenci ze Szkoły Górniczej i z Wydziału Lekarskiego.

Te studenckie wybryki, o których mówiono sobie na ucho, podniecały wyobraźnię ciekawskich — niedzielnych awanturników i miejskich speleologów. Eksploracja kamieniołomów stała się ulubionym nocnym zajęciem niejednego z mieszkańców stolicy, do tego stopnia, że w 1953 roku prefekt André Louis Dubois wydał okólnik zabraniający wchodzenia i poruszania się po kamieniołomach. Jednakże okólnika tego nie zaopatrzono w żadne przepisy wykonawcze. Istnieje około 280 wejść do kamieniołomów, a wszystkie są dosyć łatwe do sforsowania. Nie ma też żadnej podziemnej brygady policyjnej. W generalnej inspekcji kamieniołomów, która obejmuje Paryż i trzy sąsiednie departamenty, pracuje tylko 30 osób. Zakaz spowodował więc tylko, że z tym większym zainteresowaniem starano się schodzić do podziemi.

Dzisiaj są nawet tacy, którzy nie krępują się organizować w kamieniołomach zabaw tanecznych z bufetem, orkiestrą, sprzętem elektronicznym. W niektóre soboty przed wejściami do kamieniołomów ustawiają się długie kolejki, bo tak wielu jest chętnych. Mieszkańcy sąsiednich domów wzywają policję, by położyła wreszcie kres tym hałasom. Kiedy przybywa policja — wejście jest już zamknięte, a ci którzy pozostali na miejscu mogą bez trudu uciec. Policjanci, których nie wyposażono w sprzęt speleologiczny, boją się wchodzić w głąb korytarzy. Zresztą mają sporo ważniejszej roboty na powierzchni.

W naszych czasach mamy tak wielu chętnych do schodzenia w głąb kamieniołomów, że ekipa socjologów postanowiła nawet zbadać obyczaje i psychikę tych ludzi. Rezultatem ich badań jest 250-stronicowa książka zatytułowana „Miasto miłośników katakumb". Socjolodzy ustalili dwanaście kategorii miłośników podziemi — od zwykłych włóczęgów poprzez „poszukiwaczy skarbów", aż do „naukowców". Kamieniołomami zajęli się więc naukowcy, a potem prasa. Pozostawało tylko zainteresować tą sprawą telewizję. Doczekaliśmy się ostatnio specjalnej telewizyjnej audycji na ten temat. Nie trzeba więc dziwić się, że mer Paryża i prefekt policji są tak niezadowoleni.

Co może wydarzyć się w tym podziemnym Paryżu, tak trudnym do nadzorowania? Mogą tam zbierać się terroryści, mogą tam być składy broni, a nawet ktoś może próbować podłożyć materiał wybuchowy pod gmachy publiczne. Wszystkie te hipotezy zostały rozpatrzone. Służba bezpieczeństwa w niektórych ambasadach dokładnie przebadała mapy kamieniołomów. Doszła jednak do wniosku, że są to płonne obawy. Broń bardzo szybko rdzewieje w powietrzu przesiąkniętym wilgocią. Stwierdzono też, że bezpośrednio pod ambasadami nie znajdują się żadne podziemne komory. Zresztą stały ruch przypadkowych przybyszów w kamieniołomach sprawiałby poważne kłopoty terrorystom. Gdyby wywiercili dziurę, albo wznieśli mur, by za nim ukryć swą broń, to zaraz zainteresowaliby się tym inni miłośnicy katakumb.

Wie coś o tym inspekcja kamieniołomów, która przecież „wstrzyknęła" setki ton cementu w teren otaczający kamieniołomy. Ponieważ niektóre kamieniołomy są hermetycznie zamknięte, górnicy-amatorzy próbują przedostać się do nich drążąc przemyślne galerie nawet o 20 metrach długości. Wszystko to po to, by z kamieniołomów i katakumb wydobyć kilka czaszek, które potem można sprzedawać po 300 franków na „pchlim targu". Podobne zastrzyki z betonu zastosowano niedawno wokół więzienia Santé, by uniemożliwić ucieczkę więźniów.

Rozpustnicy? Nikomu nie przeszkadzają. Narkomani? Równie dobrze mogą zaopatrywać się w narkotyki na powierzchni. Napady? Miłośnicy katakumb stwierdzili ostatnio, że po podziemiach kręcą się ludzie o podejrzanym wyglądzie. Policja sądzi, że niektórzy z podziemnych wędrowców zostali już obrabowani, ale że boją się złożyć skargę. W każdym razie napadnięty nie może tam w podziemiach liczyć na żadną pomoc.

Zawalenie? Inżynierowie zapewniają, że wszystkie podziemia, które są dostępne, albo znajdują się pod ulicami — zostały wystarczająco zabezpieczone. Pozostaje jednak wiele kamieniołomów pod prywatnymi budynkami. Zresztą ziemia stale pracuje i zawsze może zdarzyć się, że odpadnie parę bloków wapienia. Tak więc wypadki są wciąż możliwe. Najbardziej niepokoją się jednak strażacy. Ci specjaliści od bezpieczeństwa publicznego ostatnio zaczęli też schodzić do podziemi. Ich zdaniem istnieją dwa poważne niebezpieczeństwa, grożące ludziom tam przebywającym — utopienie i uduszenie.

System ścieków, wodociągów, jak też 230 tys. metrów sześciennych zbiornika wodnego Montsouris znajdują się bezpośrednio nad poziomem kamieniołomów. W wypadku przerwania sieci wodociągowej całe kilometry podziemnych chodników mogą znaleźć się pod wodą, która może zatopić przebywających tam ludzi.

Uduszenie grozi tym, którzy uczestniczą w zbyt dobrze zorganizowanych „prywatkach". Zbyt wielkie skupienie ludzi w niewielkim pomieszczeniu, w którym dodatkowo zainstalowano instrumenty spalinowe do zasilania sprzętu elektronicznego, może spowodować zatrucie dwutlenkiem węgla. Ten gaz jest tym groźniejszy, że jest ciężki, bezwonny i powoduje w pierwszym rzędzie ograniczenie mobilności. Już na samym początku zatrucia miłośnicy katakumb nie będą w stanie wyjść na powierzchnię. „Prywatka" może więc zakończyć się katastrofą, bo strażacy, nawet jeśli uprzedzi się ich dosyć wcześnie i nawet jeśli będą zaopatrzeni w butle tlenowe (wystarczają na dwadzieścia minut), to przecież nie będą w stanie uratować kilkudziesięciu młodych ludzi na głębokości 20 metrów.

Tak więc władze postanowiły działać. Inspektorzy policji kryminalnej organizują podziemne patrole i zastawiają zasadzki na nieproszonych gości. W ciągu jednego tylko wieczora wlepili 80 mandatów. Cała akcja przyniosła następujący plon: około 300 zatrzymanych, z których większość ukarana została 200 frankową grzywną. W przypadku recydywy — kara będzie podwojona. W ostatnią sobotę zaskoczono grupę górników-amatorów w chwili, gdy starała się wywiercić przejście w świeżo wzniesionym murze pod szpitalem Cochin. Po raz pierwszy mamy do czynienia z działaniem policji w kamieniołomach.

Pod szpitalem wojskowym Val de Grace, gdzie podziemia są bardzo rozległe, saperzy mają zamiar wznieść betonowe przegrody w galeriach prowadzących w głąb kamieniołomów. Władze miejskie chcą zaryglować na stałe, a nawet zespawać te klapy wejściowe do kamieniołomów, które nie są niezbędnie potrzebne.

Wszystko to wywołało niepokój wśród miłośników katakumb, a zwłaszcza wśród członków dwu stowarzyszeń, których celem ma być naukowe zbadanie kamieniołomów i odbudowa najbardziej interesujących budowli podziemnej architektury.

Bo przecież tam w głębi, pod naszymi stopami pozostały resztki podziemnego miasta. Do tej pory nie zajmowali się nimi historycy. Oto przykład. „Historia paryskiej urbanistyki" Pierre Lavendana, dzieło o 600 stronach, ogłoszone przy współudziale władz miejskich stolicy, poświęca zaledwie sześć wierszy kamieniołomom. Tymczasem nie sposób zrozumieć, dlaczego galijskie miasteczko ulokowane na wyspie Cité mogło dosięgnąć 8 tys. mieszkańców i wyposażyć się w areny, pałac i trzy wielkie łaźnie, jeśli nie weźmie się pod uwagę, że na lewym brzegu Sekwany znajdują się ogromne złoża wapienia. Dają one jedne z najpiękniejszych bloków budowlanych na świecie. Oto wielka szansa Paryża.

Później, już w dwunastym stuleciu, miasto stało się królewską rezydencją. Bardzo dobrze. Czy jednak pozostałoby taką stolicą, gdyby nie znaleziono na miejscu dobrych i tanich materiałów budowlanych, które posłużyły do wzniesienia trwałych symboli władzy? W Średniowieczu wydobyto ze znanych nam kamieniołomów 100 tys. metrów sześciennych kamienia, który posłużył do wybudowania dwu systemów murów obronnych, katedry Notre Dame, klasztorów i kościołów, pałaców, Bastylii, pierwszych nabrzeży nad Sekwaną. Jeszcze jedna szansa — te złoża można było eksploatować „na sucho", bo znajdowały się ponad powierzchnią kurzawki.

Dzięki setkom próbek pobranych przez badaczy katakumb i dzięki analizom porównawczym ustalono na przykład, że kamienie katedry Notre Dame pochodzą z otwartego kamieniołomu znajdującego się zaledwie o 1600 metrów od Sekwany, w miejscu gdzie dziś znajduje się wojskowy szpital Val de Grace. Cierpliwie i stopniowo możemy więc ustalić, jakie są korzenie wszystkich paryskich budowli, a tym samym — jeśli zajdzie potrzeba ich restauracji — posłużyć się tym samym materiałem.

Odradza się też zawód dawno zapomniany, chociaż liczący sobie tysiące lat. Zawód kamieniarza, bez którego nie byłoby możliwe wybudowanie Paryża. Natrafiamy na ślady działalności tych ludzi, na narzędzia ich pracy, a nawet na nazwiska wyryte w kamieniu, albo nakreślone na ścianach za pomocą knotów od świec. Ci ludzie wiedzieli, że nie używa się takiego samego kamienia na fundament, co na górne kondygnacje. Wiedzieli, że wapień paryski, który zawiera 250 litrów wody w każdym metrze sześciennym, rozpada się pod wpływem mrozu. Trzeba więc pozostawić go przez czas dłuższy, aby powoli wysychał i w ten sposób na krawędziach i powierzchni bloków tworzy się warstwa cudownie go wzmacniająca, a zarazem nie przepuszczająca wody. Wiemy teraz, w jaki sposób ludzie ci, nie mający żadnych maszyn, mogli wydobyć z głębi na powierzchnię tak wielkie bloki kamienia o wadze tony, używając do tego tylko ustawionego pionowo koła ze szczeblami, po których wspinali się niczym wiewiórki.

Dzięki kamieniom z podparyskich złóż mogła powstać architektura z czasów barona Haussmana, która stworzyła ideał solidnej mieszczańskiej kamienicy. Te domy, które wytrzymały niemieckie bombardowania z roku 1870 i 1914, można teraz znakomicie restaurować. Bez obfitego w Paryżu gipsu i wapienia, którymi z rozkazów królów pokrywano drewniane domy paryskie, francuska stolica niejeden raz padłaby pastwą płomieni, tak jak to stało się w przypadku Londynu. Skoro więc prawdą jest, że ważna część historii Paryża znajduje się pod naszymi stopami, to wobec tego niezbędne jest zachowanie tego dziedzictwa. Należałoby je nawet udostępnić i rozpropagować.

Tym właśnie zajmują się dwa stowarzyszenia miłośników podziemi. Jedno z nich zajmuje się oczyszczaniem kamieniołomów Kapucynów i restauruje wspaniałą osiemnastowieczną fontannę, jaka kryje się pod szpitalem Cochin. Marzy o tym, by założyć tam górniczy szyb z imponującym kołem obrotowym. Na czele drugiego stowarzyszenia stoi Marc Vire, trzydziestoletni wykładowca uniwersytecki, który wystąpił z propozycją założenia muzeum podziemnego Paryża, które znajdowałoby się tuż obok katakumb. Opracował już plan takiego muzeum.

Czy Jacquec Chirac zrealizuje te propozycje? Dałoby to jeszcze jedną atrakcję naszej stolicy, tak jak w Arras udostępniono już kamieniołomy kredy.

LE MONDE

Kto chce być biologiczną matką?

Sara, małżonka Abrahama, była bezpłodna. Zwróciła się więc do Agar, swojej egipskiej służącej, aby dała jej dziecko, którego ojcem byłby patriarcha żydowski. W ten sposób narodził się Ismael i Sara doznała wreszcie szczęścia macierzyństwa.

Powołując się na tę biblijną opowieść, kobiety francuskie domagają się prawa, aby inna kobieta mogła nosić w swym łonie dziecko, którego one same tak bardzo pragną, ale którego natura im odmawia. W styczniu br. utworzyły więc Stowarzyszenie Świętej Sary. W nim walczą o to, by mogły rozwijać się wszelkie metody pozwalające na zmniejszenie bezpłodności. Chodzi im także o to, by inne kobiety mogły użyczać swoich narządów rodnych.

Blisko 8 tys. Francuzek odkrywa co roku, że nie może mieć dzieci. Mikrochirurgia i operacje przeprowadzone przy użyciu lasera pozwalają w 30 procentach zapobiec takiej bezpłodności. Kobiety, którym nie udało się uniknąć w ten sposób bezpłodności mają jeszcze słabą nadzieję, że jednak doczekają się własnego dziecka. Jest to szansa, jaką dają „dzieci z probówki". Od czasu gdy w 1979 roku przyszła na świat w W. Brytanii Louise Brown, w podobny sposób urodziło się na całym świecie ok. 400 dzieci.

Lekarzom udało się jeszcze bardziej ograniczyć bezpłodność. Australijczycy ogłosili w styczniu br., że przyszedł na świat chłopiec poczęty dzięki przeszczepieniu jaja. Naukowcy kalifornijscy dokonali jeszcze większej rewelacji. Oto na świat przyszło dziecko, które w stadium embrionalnym zostało przeniesione do łona innej kobiety. „Ofiarodawczyni" została zapłodniona spermą małżonka kobiety chcącej mieć dziecko. Po pięciu dniach jajo rozwinięte w łonie „ofiarodawczyni" zostało przeniesione do łona kobiety, która będzie od tej pory matką. Jest to inny sposób na „dziecko z probówki".

Zawsze będą jednak kobiety, którym nie podoba się taka technika. Marlene Cappon, stojąca na czele Stowarzyszenia Świętej Sary poddała się już wielu zabiegom chirurgicznym, ale tej 27-letniej kobiecie nie udało się zwalczyć własnej bezpłodności. Początkowo próbowała mieć własne dziecko drogą klasycznej adopcji. Nie udało się. Władze decydujące o tym uznały, że jest zbyt krótko zamężna, aby można było ostatecznie przesądzić sprawę. W każdym razie i tak nic by z tego nie wyszło, bo wciąż brakuje dzieci do adopcji.

W 1983 roku powstały we Francji dwa stowarzyszenia. Chcą one pomóc takim właśnie kobietom, proponując im, by zwróciły się do matek zastępczych. Richard Levin, amerykański lekarz ze stanu Kentucky jest pierwszym, który zastosował tę metodę. Wygląda ona z pozoru na bardzo prostą. Jakaś kobieta zgadza się począć dziecko z połączenia własnego jaja i spermy małżonka kobiety bezpłodnej. Zapłodnienie następuje sztucznie.

Marlene Cappon zwróciła się najpierw do Krajowego Stowarzyszenia Sztucznego Zapładniania, które założyła Annick Gressus, 33-letnia pielęgniarka. Pomaga jej asystentka dentystyczna i radiolog. Żaden z lekarzy nie zgodził się uczestniczyć w takich praktykach.

Stowarzyszenie żąda od przyszłego ojca analizy krwi i badania Wassermanna, by w ten sposób wyeliminować wszelką możliwość zakażenia syfilisem. Będzie też żądać wielu innych badań, by zapobiec poczęciu dziecka, które nie byłoby normalne. Podobne testy przechodzi matka biologiczna. Przyszła matka-adoptująca dostarcza natomiast świadectwo bezpłodności. Kto przeprowadza wszystkie te badania? Kto następnie dokonuje inseminacji? „Wszyscy ginekolodzy to robią" — odpowiada Annick Gressus. Małżonkowie którzy chcą mieć dziecko ponoszą wszystkie koszty medyczne, a także wnoszą specjalną opłatę za użyczone im narządy rodne matki biologicznej. Stowarzyszenie nie zaprzecza, że za wszystko trzeba płacić. Ponieważ istnieje tu luka w ustawodawstwie, Stowarzyszenie zapowiada że od kwietnia podejmie kampanię na rzecz wydania odpowiednich przepisów prawnych. Pierwszą matką biologiczną będzie pewna dyrektorka szkoły, rozwiedziona, mająca już czworo dzieci.

Drugie stowarzyszenie, do którego zwróciła się Marlene Cappon, nazywa się „Biologiczne Matki" i powstało w październiku 1983 r. z inicjatywy doktora Sachy Gellera i Rolanda Dajoux. Obaj mają już za sobą powołanie do życia banku spermy, o którym od dawna wiele się mówi. W przeciwieństwie do oficjalnych Ośrodków Badania i Konserwacji Spermy, ich bank płaci dawcom spermy. Jest to jednak zapłata niewielka, bo zaledwie 120 franków. Mimo wszystko szokuje to wielu obywateli. Dzisiaj nowa inicjatywa dr Gallera także wywołuje protesty. Korporacja lekarzy i ministerstwo zdrowia potępiło jego działalność. Edmond Herve, stojący na czele korporacji zaapelował do lekarzy, aby nie udzielali pomocy dr Gellerowi.

Stowarzyszenie Biologicznych Matek ułatwia kontakty między takimi matkami a bezpłodnymi małżonkami, a także udziela im pomocy medycznej. Zapisy są darmowe. Już teraz rozpatruje się ponad 150 spraw. Stowarzyszenie przewiduje, że biologiczna matka będzie otrzymywać zapłatę. Otrzyma ona 50 tys. franków w dziesięciu ratach. Złożone będą na koncie zablokowanym, z którego będzie mogła je podjąć dopiero wówczas, gdy urodzi dziecko. Taka procedura oburza wielu ludzi. „Narządy rodne podlegają także prawom rynku — stwierdza dr Geller — a my oferujemy niewiele więcej, niż wynosi najniższa ustawowo zagwarantowana płaca. Tymczasem trzeba wziąć pod uwagę, że te biologiczne matki wykonują naprawdę poważną pracę. Cały ich trud musi być odpowiednio uhonorowany. Kobieta ta, użyczając swych narządów rodnych, zasługuje na to, by otrzymać wynagrodzenie. Otrzymane pieniądze są właściwie podarunkiem i czymś w rodzaju wyrazów wdzięczności od małżonków, którzy dostaną potem dziecko".

Feministki i wielu lekarzy protestują przeciwko takim praktykom. „Nikt nie może żądać od kobiet, by decydowały się na takie zaprzeczenie ich własnej osobowości" — mówił profesor Rene Frydman podczas spotkania Stowarzyszenia Kobiet-Dziennikarek, poświęconego temu zagadnieniu.

A przecież inicjatywy obu tych stowarzyszeń wzbudziły wielką nadzieję wśród kobiet bezpłodnych.

L'EXPRESS

W kręgu fantastyki

2

Matnia

TOMASZ PAWŁOWSKI

Rys. K. Wieczorek

Następnego dnia powtórnie sprawdziłem wszystkie urządzenia pokładowe, tyle że już wolniej i dokładniej. Wyniki były identyczne. Tym razem Kipper trochę mi pomógł, ale dopiero na wyraźne moje życzenie. Gdyby nie to, leżałby pewno dalej w osobistej, bezmyślnie gapiąc się w sufit. Wykonywał wszystko, o co go prosiłem, widać było jednak, że - bez większego przekonania. Chwilami zachowywał się wręcz jak automat, który po zakończeniu jednej czynności zamiera w bezruchu, oczekując na dalsze polecenia, czy rozkazy. Nie kryję, że byłem na niego zły, chociaż starałem się tego nie okazywać. Przez cały czas myślałem, co się z nim naprawdę dzieje. Czyżby był aż tak lekkomyślny i nieodpowiedzialny? Nie, ciągle nie mogłem w to uwierzyć. Więc może jest chory? Mówi, co prawda, że czuje się dobrze, ale kto wie, jak jego organizm wytrzymał katastrofę. Gdyby pokładowy minidiagnoskop był sprawny... Z drugiej jednak strony — myślałem — chorzy zachowują się trochę inaczej. A zatem...

Spróbowałem jeszcze raz porozmawiać o tym otwarcie z kapitanem Kipperem. Przekonywałem go, że to nie sprawa ambicji, czy dumy, że stawką jest nasze życie. Niestety, niewiele to dało. Kiedy zabrakło mu już rzeczowych argumentów, starał się cały problem zbagatelizować, powtarzając z ironicznym uśmiechem na ustach swoje ulubione: złego diabli nie wezmą. Nie, na chorego to on mi raczej nie wyglądał. Zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób udało mu się dostać do załogi, a potem — tylokrotnie uniknąć, zdawałoby się, pewnej śmierci. Kłóciło mi się to bardzo z jego zachowaniem i zasadami rachunku prawdopodobieństwa. Albo jest rzeczywiście tak wielkim szczęściarzem, albo...

Może to zabrzmi nieskromnie, ale wiem, iż nie zaliczam się do ludzi bojaźliwych. Jako pilot nie miałbym żadnych szans... To przecież daje się sprawdzić i każdy z nas przechodził przed wyprawą odpowiednie testy, ja także. Ale mimo to, kiedy wszystko wysiadło, poczułem strach, ten ostateczny, nie do opanowania. I czułem go jeszcze odzyskując przytomność, patrząc na martwe ekrany, na głuchy system alarmowy. Natomiast Kipper prawie cały czas był spokojny, niewiarygodnie spokojny, jak gdyby w ogóle nie znał poczucia strachu, jak gdyby wiedział... Czy tak mógł reagować człowiek, normalny człowiek?

Wysoki Trybunale, ja wiem, że dziś może to wyglądać niepoważnie, że pilot patrolowca nie powinien mówić, a nawet myśleć o takich rzeczach. Ale kiedy wokół ma się same niewiadome, kiedy to, co niemożliwe, nagle staje się możliwe... Proszę mi wierzyć, wobec takich faktów wszystko zaczyna się brać pod uwagę, często powoli tracąc z oczu granicę między fantazją a światem realnym. Pewność ustępuje miejsca zwątpieniu, zaufanie — ciągłej podejrzliwości, wiedza oddaje pole wierze.

Wierzyłem, że znam kapitana Kippera. Pomyliłem się jednak i to był właśnie mój błąd. Widziałem go takim, jakim chciałem go widzieć, może także — za jakiego on sam chciał uchodzić i chyba uchodził — nie tylko w swoich oczach. Naprawdę był kimś zupełnie innym. Długo, zbyt długo nie chciałem się z tym pogodzić.

Trzeciego czy czwartego dnia powiedziałem w pewnej chwili, że po tym, cośmy już zrobili, pora „wybrać się na spacer" i popatrzeć na nas z tamtej drugiej strony, pewny, że to mnie przyjdzie włożyć skafander, a kapitan, jak poprzednio, powie, że to nie nasza, a już na pewno — nie jego sprawa. Jakież tedy było moje zdumienie, gdy nagle poderwał się z miejsca i oświadczył krótko, że to właśnie on zejdzie na powierzchnię. Od razu też przedstawił gotowy plan akcji, jakby opracowywał go żmudnie całymi tygodniami na podstawie kto wie jakich badań. Miało być tak: ja zostaję w środku (bo gdyby mu się coś stało...) on zaś sprawdzi powłokę ochronną, anteny i dysze, oceni rodzaj i charakter podłoża oraz rzeźbę najbliższego terenu, a także spróbuje doświadczalnie sprawdzić, czy tutejsza atmosfera rzeczywiście zawiera tlen. Wszystko to zajmie mu nie więcej, niż dwie godziny.

Zaniemówiłem wprost z wrażenia. O ile bowiem do pierwszej części planu kapitana Kippera nie można być mieć zastrzeżeń to druga — przyzna to każdy astrobiolog — była czystym szaleństwem.

Istotnie, z analiz wynikało, że w atmosferze znajduje się tlen i azot i że teoretycznie można pozwolić na jej bezpośredni kontakt z ludzkim organizmem. Wynik takiego eksperymentu stanowił jednak ciągle wielki znak zapytania. Badaliśmy tę planetę już dobrze ponad rok, wiedzieliśmy o niej, zdawało się, bardzo dużo, a mimo to o pracach na powierzchni i to w dodatku bez hermetycznych skafandrów długo jeszcze nie mogło być mowy. Pośpiech nie zawsze sprzyja nauce, dlatego też kierownictwo wyprawy słusznie przyjęło, że najpierw wszechstronnie trzeba poznać samą planetę i jej otoczenie w takim stanie, w jakim znajdowało się ono do naszego tu przybycia, czyli w tak zwanym stanie czystym. Lądowanie od razu na powierzchni, czy też choćby instalowanie się na stałe na bliskiej, nadatmosferycznej orbicie, zakłóciłoby zachodzące tam naturalne procesy, co w efekcie wcale nie ułatwiłoby nam prac badawczych. Podjęta została więc decyzja o pozostaniu gwiazdolotu-bazy tuż poza strefą naturalnych satelitów planety aż do dnia uzyskania możliwie pełnego zestawu danych. I — jak mówili już tutaj powołani przez Wysoki Trybunał eksperci — do tego czasu atmosferę odwiedzać miały jedynie automatyczne sondy, a później — załogowe już jednostki patrolowe, ale tylko z konwencjonalnym napędem, co tłumaczy dlaczego każda misja trwała ponad miesiąc. Oczywiście wszystkie załogi patrolowców, w tym również i nas, obowiązywał bezwzględny zakaz schodzenia zbyt nisko, a tym bardziej — lądowania na powierzchni globu. Na to, zdaniem naszych specjalistów, było jeszcze za wcześnie.

Z przedstawionych już faktów wynika, że kapitan Kipper i ja złamaliśmy ów zakaz, co — rzecz zrozumiała — przyczyniło się do zakłócenia normalnego toku badań. Przypomnę jednak jeszcze raz, iż żaden z nas nie chciał tego zrobić i do manewru lądowania nie przyłożył swojej ręki. Wszystko odbyło się praktycznie bez naszego czynnego udziału, trudno chyba zatem mówić o jakiejś odpowiedzialności. Zresztą gdybyśmy nawet po zauważeniu awarii na pokładzie świadomie sprowadzili patrolowiec na powierzchnię, to tylko i wyłącznie z konieczności, tak jak z konieczności musieliśmy wreszcie wyjść na zewnątrz, jeśli drogie nam było nasze życie. Uważałem tak wtedy i dziś też tak uważam. Ale co innego zrobić to z zachowaniem wszelkich dostępnych środków ostrożności, a co innego — jak zwykł mawiać kapitan Kipper — od razu „pójść na całość". Nie, na to nie mogłem się zgodzić.

Pomysł Kippera, który jeszcze do niedawna gotów był nie ruszać się ze swego fotela, a teraz tak niespodziewanie zapałał chęcią do „pieszych wycieczek", był po prostu szalony. Po co ryzykować — dowodziłem — skoro nie jest to wcale potrzebne. Już samo dotknięcie nogą gruntu nie wiadomo jakie może przynieść konsekwencje tak dla nas, jak dla całej wyprawy. Będzie to przecież pierwszy odcisk ludzkiej stopy na tym globie, który prawdopodobnie kryje w sobie jeszcze dużo tajemnic i niespodzianek. Czy to już nie wystarczy?!

Zrozum Miki — tłumaczyłem mu jak dziecku — że to, co chcesz zrobić, jest absolutnie bez sensu. Ciągle przecież nie wiemy, skąd wzięło się tu aż tyle tlenu, skoro nie wykryto dotąd żadnych form życia organicznego. Podobieństwo składu atmosfery do ziemskiej może być wszak złudne, więc dopóki nasi specjaliści nie rozwiążą tej zagadki, lepiej nie otwierać skafandra. Chcesz zginąć jako bohater, twoja sprawa, ale pamiętaj, że nie jesteś tu sam. Nie leciałem tak daleko tylko po to, żeby otrzymać pośmiertne odznaczenie dla zdobywców kosmosu. Mam wielką chęć jeszcze trochę pożyć i to choćby dlatego, że cholernie mnie ciekawi, jak to się skończy. Weź to więc łaskawie pod uwagę i nie rób żadnych głupstw.

— Ale ja już podjąłem decyzję — odpowiedział Kipper. — Ty przecież nie musisz wcale ze mną chodzić. Do niczego nie zamierzam cię zmuszać. I ty też tego nie rób. A jeżeli nawet zginę, czego — jak widzę — szczerze mi życzysz, ty na pewno doczekasz spokojnie przybycia pomocy. Z twoim charakterem... Ja do twoich spraw się nie mieszam, ale — uważaj... Chciałeś bawić się w eksperta, proszę bardzo. Jeszcze ci pomogłem, gdyś mnie o to prosił. Teraz też idę, bo to ty tak chciałeś. Ja przecież na ten pomysł nie wpadłem. Więc o co ci chodzi? Nie bój się, nic mi się nie stanie, wrócę cały i zdrowy. Złego diabli nie wezmą.

— Wiesz, Miki — powiedziałem po chwili — ja ciebie naprawdę nie rozumiem. Jesteś doświadczonym pilotem, a zachowujesz się jak nowicjusz. Cenię twoją odwagę, twoją stanowczość, ale tym razem naprawdę nie masz racji. Co ci da, że rozhermetyzujesz skafander? Na to będzie jeszcze kiedyś czas, zobaczysz. Co, obawiasz się, że ktoś inny może zrobić to pierwszy? Czy to na tym tak ci zależy? Żebyś miał potem czym pochwalić się w bazie? A jeżeli nigdy już tam nie wrócisz? Co powiem chłopcom, jeśli ja — jak mówisz — na pewno przeżyję? Nie zastanawiałeś się nad tym. Zrozum, i mnie, i im potrzebny jesteś żywy. Moda na martwych bohaterów skończyła się już dosyć dawno temu.

Ale kapitan Kipper nie dał się przekonać. Stwierdził, że gdzieś ma to, co inni będą o nim mówić, że to jest tylko jego prywatna sprawa i nic mnie to nie powinno obchodzić, a jedyne, czym może mi pójść na rękę, to odłożenie wyjścia na zewnątrz do jutra.

Wkrótce zostałem w nawigacyjnej sam, gdyż Kipper poszedł do siebie się położyć, ucinając tym dalszą dyskusję. Długo nie mogłem zebrać myśli. Wszystko to było jak zły sen, z którego pragnie się jak najszybciej obudzić, ale leży to poza zasięgiem naszej woli.

Od początku dobrze wiedziałem, że udział w tak poważnej wyprawie kosmicznej nie jest dziecinną zabawą czy romantyczną przygodą, że wymaga wielkiej odporności fizycznej i psychicznej, niemałej wiedzy, którą stale trzeba pogłębiać, a nadto — ogromnego nakładu pracy. Widziałem również, że w trudnych pozaziemskich warunkach ludzie mogą zachowywać się nieraz dziwnie: częściej przeżywają stresy i depresje, załamują się. Ja sam... Było to po tragicznej śmierci mego przyjaciela, astrofizyka, kolegi jeszcze ze szkolnej ławy, który odebrał sobie życie po tym, jak w wyniku nieszczęśliwego wypadku stracił całkiem wzrok. Byliśmy dla siebie jak bracia. Przez parę tygodni zupełnie nie mogłem się pozbierać. O ironio, pomógł mi w tym właśnie Kipper. Ale nie o tym chciałem mówić.

Otóż od samego startu z Ziemi przygotowywany byłem na najgorsze. W miarę upływu czasu trudy wyprawy coraz bardziej dawały się we znaki, odzywała się tęsknota za normalnym, ziemskim życiem... Brak swobody poruszania się — bo i gdzie? — ta sama, wąska grupa współtowarzyszy, bez przerwy prawie stan napięcia... Myślę, że podobnie przeżywali to też inni uczestnicy wyprawy, bo nie było wśród nas nikogo, kto nie miałby jakichś chwil słabości. Mimo to, pamiętaliśmy jednak, że nie wolno poddawać się takim nastrojom, że wszystko, co robimy, powinno służyć jednemu, nadrzędnemu celowi, że tylko wspólnym wysiłkiem... Kapitan Kipper zdawał się nagle o tym wszystkim zapomnieć. Gdy tylko wylądowaliśmy na powierzchni w uszkodzonym patrolowcu, zdani na siebie i łaskawość losu, zmienił się nie do poznania, czy też może pokazał wreszcie jaki jest naprawdę. I właśnie wtedy, siedząc samotnie nad martwym pulpitem nawigacyjnym, zdałem sobie jasno sprawę, że to nie tajemnicza planeta ,czy niedoskonałość urządzeń technicznych stanowią dla mnie największe zagrożenie, ale — drugi człowiek. Ten człowiek, który w tak trudnej sytuacji powinien być mi przecież najbliższą istotą, moim oparciem, on, kapitan Kipper.

Jak to się stało, że do tego doszło? Czyż nie to właśnie było najtragiczniejsze? Może gdybym tego nie przeżył, też nie mógłbym w coś takiego uwierzyć. Chcieliśmy poznać tajemnicę innych światów, tak mało w gruncie rzeczy wiedząc o nas samych. Oto klucz do sprawy kapitana Kippera. Po prostu nie mogłem się z tym pogodzić. Oszukiwałem się, że przecież to jest niemożliwe, że za moment obudzę się z tego snu i...

— Czy oskarżony mógłby skoncentrować się bardziej na faktach?

— Tak jest. Chciałem jednak zwrócić uwagę Wysokiego Trybunału na...

— Osobiste odczucia i opinie oskarżonego interesują Trybunał o tyle, o ile wiążą się z konkretnymi faktami. Proszę trzymać się ściśle tematu.

— No więc tak... Rano kapitan Kipper zaczął szykować się do wyjścia. Raz jeszcze zapytałem go, czy będzie usiłował otworzyć skafander. W milczeniu skinął głową, nie przerywając przygotowań, jakby chodziło o jakąś błahostkę. Czułem, że muszę jakoś zareagować, zapobiec póki jeszcze jest na to czas... Bałem się o niego, ale i przecież o siebie. Wiedziałem jednak, że jak bym teraz nie postąpił, i tak będzie źle. Serce waliło mi jak młotem. Krew mocno pulsowała w skroniach. Nerwowo szukałem w myślach jakiegoś sposobu... Czasu było coraz mniej. Kipper był już prawie całkowicie ubrany — za chwilę wejdzie do komory śluzy...

Jeden ruch i — stanąłem w drzwiach, zasłaniając do nich dostęp własnym ciałem. Byłem już zdecydowany na wszystko. Odruchowo zacisnąłem pięści. Ale Kipper uśmiechnął się tylko ironicznie, przysiadł na wąskiej półce naprzeciwko i powiedział, że on poczeka, że on ma dużo czasu. To przecież mnie zachciało się oglądać statek z zewnątrz...

Trwaliśmy tak w bezruchu dobrych kilka minut, nie patrząc nawet na siebie. Miałem nadzieję, że jeszcze się wycofa, zrezygnuje. Niestety... Powiedziałem sobie wtedy: trudno, co ma się stać i tak się stanie, nic więcej zrobić nie mogę, przecież nie będziemy się bić! I odstąpiłem od drzwi.

Kiedy Kipper był już w komorze, opadłem ciężko na fotel jak po wielkim wysiłku fizycznym. Z trudem łapałem oddech. Nie miałem sił, żeby się podnieść. Na chwilę zamknąłem oczy.

Albo zginie na miejscu — pomyślałem półprzytomnie — albo wróci, ale chory, zarażony. Nasi astrobiolodzy nie mieli jeszcze stuprocentowej pewności, czy na planecie nie ma absolutnie żadnych form życia. Co prawda wyższych organizmów dotąd nie wykryto, mogły jednak żyć tu jakieś drobnoustroje, czy coś w tym rodzaju — zwłaszcza w glebie i tuż nad powierzchnią. Dokładniejsze badania tak zwanej strefy zerowej miały się wszak dopiero zacząć. Byłem więc bardzo zaniepokojony, zwłaszcza że minęły już ponad dwie godziny, a kapitana Kippera ciągle nie było. Na szczęście wrócił cały i zdrowy, z triumfalnym uśmiechem na twarzy, jak byśmy rozstali się w najlepszej zgodzie. Od razu też zaczął opowiadać.

Powierzchnia planety pokryta jest jak okiem sięgnąć rdzawożółtym piaskiem, który tworzy stosunkowo wysokie ni to wydmy, ni to wzgórza. W jednej z takich wydm zarył się nasz patrolowiec. Poszycie kadłuba wygląda nie najlepiej, ale widocznych uszkodzeń nie ma. Gorzej z dyszami silników — zatkane są piaskiem i wyraźnie zniekształcone. Zewnętrzne anteny — pogięte lub nawet połamane. W momencie lądowania były przecież otwarte. Nic z nich już raczej nie będzie. Za rufą widać głęboki rów wyżłobiony przez nas podczas lądowania. Ma chyba z pięćdziesiąt metrów długości. Poza tym — nic ciekawego. Okolica monotonna i pusta. Chwilami zrywa się wiatr, ale niezbyt silny. Niebo prawie błękitne, tylko to pomarańczowe słońce...

Jego głos zdradzał wyraźnie, że był z siebie zadowolony. Opowiadał z emocją, żywo przy tym gestykulując. Póki mówił, był to znowu ten sam kapitan Kipper, jakiego znałem, życzliwy, skłonny do żartów, a przy tym szczery, otwarty. O tym, czy otworzył jednak skafander, nie wspomniał ani słowem. Ja też nie pytałem, nie chcąc psuć dobrego nastroju. Byłem prawie pewien, że mimo wszystko rozsądek wziął w nim górę. Prawie...

Zanosiło się więc na to, że kryzys mamy już poza sobą. Widząc, jak promienieje, zapomniałem od razu o nieporozumieniach i porannym incydencie. Kiedy wieczorem kładłem się spać, pomyślałem nawet, że może była to moja wina, że brak mi wyrozumiałości. Z drugiej strony coś nas już przecież dzieliło, brakowało dawnego zaufania, pełnej akceptacji... Skaza pozostała. Trudno ją będzie nam wymazać z pamięci. Ale mimo tej smutnej refleksji, zasypiałem w o wiele lepszym humorze.

Wysoki Trybunale! Być może jestem niezbyt drobiazgowy, mało konkretny, przewrażliwiony. Wiem, że tak to może wyglądać. Nie zawsze znajduję właściwe słowa dla wyrażenia tego co chcę przekazać. To wielka sztuka — umieć mówić. A ja lepiej czuję się za sterami... Tam nie ma dwuznacznych sytuacji. Tam albo zrobiłeś dobrze, albo źle. Jeżeli jednak wspominam teraz, co wtedy czułem, to nie dlatego, iż chciałbym zatrzeć obraz wydarzeń. Po prostu dla mnie sfera odczuć jest równie ważna, jak fakty. Istotne bowiem jest nie tylko, co kto robi, ale także i — dlaczego.

Codziennie wieczorem siadałem w nawigacyjnej i kolejno próbowałem uruchomić nieczynne urządzenia. Gdzieś w głębi duszy tliła się jeszcze nadzieja, że a nuż tym razem... Może owa nieznana, tajemnicza siła przestała już działać i w którymś z martwych obwodów znów popłynie strumień elektronów?

Kapitan Kipper patrzył na to, kpiąc, że prędzej chyba zobaczy małe zielone ludziki, niż ta kupa złomu na coś jeszcze się przyda. Znosiłem jego uwagi cierpliwie, najczęściej w ogóle nie reagując. Sam nie bardzo wierzyłem, by moje ponawiane co wieczór próby dały jakieś rezultaty, chociaż pewna szansa obiektywnie istniała. Nie chciałem jej przegapić. Być może więc robiłem to bardziej dla spokoju sumienia?

Okazało się jednak, że w sumie mój trud nie był aż tak daremny, jak z pozoru mogło się wydawać, gdyż pewnego dnia wpadł mi do głowy nowy pomysł. Jego idea była wręcz banalna: jeżeli dany układ elektroniczny nie pracuje jako całość, nie znaczy to wcale, iż poszczególne moduły, czy nawet pojedyncze elementy też są już wszystkie do niczego. Więc gdyby rozłożyć go na czynniki pierwsze, a potem... Tak, to trzeba było sprawdzić, sprawdzić natychmiast. Aż dziw, że dopiero teraz przyszło mi to na myśl.

Z pewnym wahaniem powiedziałem o tym Kipperowi. Obojętnie wzruszył ramionami, nie podzielając wcale mego optymizmu. Jak chcesz się męczyć — podsumował — twoja wola. Ja nie będę ci w tym przeszkadzał. I tak za parę dni będziemy już wśród swoich. Przynajmniej wyśpię się dobrze przez ten czas, bo jak potem wezmą nas w obroty... Dobranoc. Życzę miłej zabawy.

Jak widać, moje wahanie nie było bezpodstawne. Przeczuwałem, że na jego pomoc nie mam raczej co liczyć. I nie myliłem się tym razem. Po krótkotrwałym ożywieniu wywołanym rekonesansem na powierzchni, kapitan Kipper z powrotem popadł w stan odrętwienia, apatii, czy czegoś, co trudno mi nawet nazwać, a tym bardziej zrozumieć. Obaj byliśmy przecież pilotami, na obu nas spoczywała odpowiedzialność, obaj byliśmy w tej samej sytuacji. Stał się przy tym jeszcze bardziej przykry, wyładowując na mnie cały swój potencjał złości i niezadowolenia. Na wszystko, co robiłem, patrzył lekceważąco z poczuciem własnej wyższości. Nie prosiłem go już o nic, do niczego nie przekonywałem, coraz częściej podświadomie unikając jego towarzystwa, choć nie zawsze się to udawało, gdyż potrafił godzinami w milczeniu śledzić różne moje poczynania. Niektóre komentował ironicznym tonem, a gdy udawałem, że tego nie słyszę, miał wielkie pretensje, iż zamykam się w sobie. Być może podejrzewał, że robię coś za jego plecami? Widziałem na przykład jak żżerała go ciekawość, co tak skrzętnie notuję każdego dnia. Zdaje się, nie wierzył, iż mogą to być tylko spostrzeżenia z obserwacji najbliższej okolicy naszego patrolowca, jakie systematycznie starałem się prowadzić — oczywiście sam, gdyż jego zdaniem dalsze wychodzenie na zewnątrz nie miało już większego sensu. Był tam przecież raz i nie zauważył nic godnego uwagi. Bez precyzyjnych mierników i analizatorów — mówił — takie obserwacje są diabła warte. Żaden specjalista nie weźmie ich przecież potem poważnie pod uwagę. Po co więc się męczyć?!

Nawiasem mówiąc coraz pewniej czułem się poza pokładem, gdzie przynajmniej miałem spokój i byłem poza zasięgiem wzroku Kippera, chociaż... Wydawało mi się chwilami, że i tam mnie dyskretnie obserwuje.

W zasadzie nie miałem przed nim nic do ukrycia. Jeżeli o coś pytał, zawsze odpowiadałem zgodnie z prawdą. Przestałem go jednak informować o wszystkim, unikając w ten sposób dyskusji, które nie tylko dla mnie były przecież przykre. Może nie powinienem? Po prostu sądziłem, że tak będzie lepiej. Kiedy więc Kipper nie wykazał zainteresowania moim nowym pomysłem, w gruncie rzeczy byłem z tego nawet zadowolony i od razu po jego wyjściu z nawigacyjnej zabrałem się do dzieła.

C.d.n.

1

Nagle zastępstwo

Nowa dziedzina literaturo—znawstwa

Beczkę atramentu wylano w najszlachetniejszym celu, aby w publicznych miejscach ustępowych było czysto, była bieżąca, ciepła woda, jednym słowem w celu podniesienia na jeszcze (sic!) wyższy poziom usług wydalniczo-higienicznych. Bohaterem licznych utworów satyrycznych i wcale poważnych esejów była babcia klozetowa, nazywana czasem z cudzoziemska pisuardessą.

Nikt jednak nie dostrzegł innego zjawiska kulturowego, które od niepamiętnych już czasów rozwija się wyłącznie lub niemal wyłącznie w tychże publicznych ubikacjach, a które jakoś też przecież trzeba zaliczyć do dziedziny kultury — mianowicie piśmiennictwa klozetowego. Tak się jakoś złożyło, że na przedwiośniu miałem częściej niż zwykle okazję (?) bywać w tych przybytkach i poczyniłem garść obserwacji, które może nie wystarczą do napisania monografii literatury klozetowej ani nie pozwolą nawet na sformułowanie podstawowych praw i zasad poetyki normatywnej, jednak mogą się przydać przyszłemu badaczowi. Materiał, który zebrałem i usystemowałem przeniosłem już na fiszki, które gotów jestem udostępnić przyszłemu autorowi prekursorskiej pracy interdyscyplinarnej z pogranicza literaturoznawstwa i socjologii obyczajów.

Czytelników niniejszego nie zamierzam zanudzać swymi spostrzeżeniami, a tylko podzielić się niektórymi refleksjami natury historycznej. Otóż najwcześniejsze inskrypcje klozetowe jaki utrwaliły się w mej pamięci jeszcze ze szkolnych czasów miały charakter krytyczny, wręcz pamfletowy i skierowane były głównie przeciw szkolnemu aparatowi ucisku, tj. ciału pedagogicznemu i woźnym. Obsceną stanowiły margines i ograniczały się niemal wyłącznie do potocznych nazw narządów płciowych, pisanych z podziwu godną konsekwencją nieortograficznie. Z tego samego zresztą okresu zapamiętałem także — dzięki nieprawdopodobnej wręcz ortografii — inny utwór dziedziny samorodnej twórczości, tym razem nie ustępowej a „ściennej". Na murze w pobliżu szkoły, w której pobierałem nauki elementarne wisiał plakat satyryczny przedstawiający marszałka Tito z zakrwawionym toporem w dłoni a poniżej widniała inskrypcja: „juzek Jest ham i Uobus" (korektę proszę o uszanowanie historycznej już dziś ortografii). Do dziś nie wiem czy sąsiedztwo plakatu i napisu było przypadkowe czy zamierzone i czy autor tych lakonicznych słów bezkompromisowej krytyki politycznej akurat tego „juzka" miał na myśli? Były to bądź co bądź czasy ostrej walki klasowej i hydra reakcji podnosiła łeb nader bezczelnie...

Wróćmy do naszych baranów. Prolegomena do literatury klozetowej zainteresowała mnie do tego stopnia, że postawiłem sobie kilka pytań zasadniczych, które stanąć muszą przed każdym prawdziwym badaczem. Jedno z nich, o fundamentalnym wręcz znaczeniu dla dyscypliny naukowej, której nolens volens stałem się prekursorem, brzmieć musiało: Czy ze względu na różnopłciowy charakter ogromnej większości szaletów publicznych jakiekolwiek próby usystematyzowania zjawisk tego rodzaju piśmiennictwa muszą zacząć się od podziału podstawowego, tj. na twórczość męską i damską? Z braku współpracownika płci przeciwnej próbowałem opierać się na relacjach koleżanek z pracy i innych znajomych pań. Bez wszakże pozytywnych efektów. Większość indagowanych czerwieniła się, dawała odpowiedzi wymijające („Nie pamiętam", „Nie zwracam uwagi", „Nie bywam w tego rodzaju miejscach" itp.). Niektóre wręcz obrażały się lub — co gorsza — patrzyły na mnie z oburzeniem i pogardą jakbym to ja sam był autorem analizowanych tekstów.

Wykorzystałem zatem znajomość z pewnym bukinistą rezydującym w pobliskim przejściu podziemnym i wykorzystując jego dobre stosunki z ajenjką mieszczących się w tymże przejściu salonów wydalniczo-higienicznych dokonałem — po godzinach urzędowych, rzecz jasna — ekspedycji naukowej do damskiego WC, konwojowany przez tę zacną i przychylnie nastawioną do działalności badawczej, acz trochę nieufną kobietę.

Nie muszę tłumaczyć czytelnikom, że wchodziłem do damskiego WC z pewnym zażenowaniem, tremą i świadomością historycznej roli. Było to uczucie z pogranicza dumy pierwszych selenonautów, wścibstwa bogatego turysty, któremu za suty bakszysz udostępniono obejrzenie wnętrza haremu i podniecenia Schliemana, kiedy znalazł pierwsze szczątki zbroi wojownika helleńskiego w dolinie Skamandra.

No i co? I nic... Stwierdziłem obecność tych samych dosłownie — i d e n t y c z n y c h tekstów i rysunków! Dociekanie istoty tego fenomenu kulturowego pozostawiam następnym badaczom — dla mnie jest on niezrozumiały.

A propos. Zachęcam również historyków sztuki do przeprowadzenia stosownych badań. Nie mam najmniejszych kompetencji fachowych, ale mogę zapewnić, że ikonografia szaletowa dostarczy badaczowi materiału różnorodnego i ciekawego. Myślę nawet, że można prześledzić w grafice ustępowej wyraźne zależności od aktualnie modnych kierunków plastyki współczesnej — od ekspresjonizmu do hiperrealizmu...

Niechże zatem zajmie się tym wdzięcznym tematem ktoś, kto przejdzie do historii badań nad sztuką współczesną jako specjalista od „WC—art" czyli „latrinenkunst".

Ostatnio moje prace badawcze uległy pewnemu zahamowaniu. Ślęczę nad fenomenem ortograficznym. Spotkałem mianowicie inskrypcję następującą: „Qtas" i ręce mi opadły...

ANDRZEJ KAROL

2

Bilety proszę do kontroli!

Z ogromnym zażenowaniem obserwowałem autobusową scenkę. Staruszka z ręką w gipsie, na temblaku, objuczona siatkami długo mozoliła się, aby wyciągnąć bilet. Kiedy go już wreszcie mogła skasować, dopadł ją kontroler bacznie obserwujący kobietę.

— Jazda bez biletu? Dowód poproszę! Panie kierowco, nie otwierać przednich drzwi — krzyczał na cały autobus triumfujący dryblas, jakby złapał chyżego dwudziestolatka, który lada moment wyskoczy w biegu.

Gdyby nie zdecydowana interwencja reszty pasażerów, niewątpliwie babcia zarobiłaby mandat. Skąd się bierze taka jednomyślność wobec strażników dobra MPK? Na pewno nie z chęci tolerowania gapowiczów różnego kalibru! Pracowali na nią przez lata i to sumiennie. Niechlujni, arogancy, często wręcz wulgarni, wyskakujący nagle z ukrycia, nieuczciwie wykorzystujący sytuację, w każdym upatrujący potencjalnego kandydata jazdy bez biletu. Czyżby żywa wizytówka łódzkiej komunikacji miejskiej, która nie cieszy się najlepszą sławą — pojazdy niepunktualne, brudne, jeżdżące stadami. Swego czasu mnożyły się dowcipy zaczynające się ni mniej ni więcej tak — „wchodzi facet do tramwaju..." Było to oczywiście dawno, kiedy wprowadzono samoobsługę. Dzisiaj nikogo już one nie bawią, a sama myśl o jeździe autobusem czy tramwajem wystarcza, aby najradośniejszemu optymiście popsuć humor.

Do samoobsługi też przywykliśmy, chociaż z kupnem biletów w dni wolne od pracy kłopoty są duże, a jeszcze większe z przedostaniem się z jednego krańca miasta na drugi. Komunikacja pracuje na luzie, zupełnie jakby zakładano, że ludzie powinni siedzieć w domu. Za to kontrolerzy szaleją. Pamiętam jak w Wielki Piątek ubiegłego roku, już dobrze po południu, mężczyzna z torbą i pakunkiem pod pachą z trudem wcisnął się do tramwaju, później jakimś cudem wyskubał bilet, a była to sztuka nie lada, bo jechał prasowany między drzwiami a tłumem pasażerów ubitych, jak przysłowiowe śledzie w beczce. Podał go stojącemu obok człowiekowi z prośbą — „może pan go dalej poda, do kasownika". Ku zdumieniu wszystkich ten obejrzał bilet dokładnie i jak nie wrzaśnie — Co, nie skasowany?! i filuternie uchylił klapy, pod którą błysnęła metalowa blaszka z numerem. Na to hasło z drugiego końca pojazdu zaczął się przepychać jeszcze jeden rewidujący, gdy doszedł do towarzysza, powiało gorzelnią. Wspólnie wzięli gapowicza w obroty.

Czemu pracują właśnie tak, zadufani w sobie, często bezczelni, bez cienia kultury. Może to brak umundurowania... Różne zastrzeżenia są do PKP, ale tam skargi na konduktorów występują znacznie rzadziej a jeśli chodzi o zachowanie się rewidentów, to już cały wersal — jest „dzień dobry", „dziękuję", nawet „dobranoc państwu". A człowiek, który wyciąga do nas rękę po bilet w pociągu jest najczęściej czysty, ogolony, konduktorki umalowane, a już w żadnym wypadku nie cuchnie alkoholem. Czyżby to mundur tak dodawał splendoru? Więc załóżmy go także kontrolerowi MPK! Kiedyś mówiono, że ten mundur był przyczyną nieszczęśliwych wypadków — gapowicze wyskakiwali w biegu. Jakoś z pociągu nikt nie skacze, chyba że chowa się w toalecie. Skoki z tramwajów czy autobusów, a także do ich wnętrza są dziś rzadkością. Przeszkadzają automatyczne drzwi i ruch na jezdniach. Komu zechce się skakać wprost pod koła innego pojazdu. Bzdura! A być może, że w brudnych wyświechtanych ciuchach lepiej pasuje po chamsku traktować pasażera. Niechże więc kontrolerzy MPK ten mundur założą, a jeśli to nie pomoże, przydałaby się jakaś szkoła grzeczności, zresztą nie tylko im!

Coraz częściej kultury brakuje motorniczym i kierowcom. Zatrzaskują drzwi tuż przed nosem zasapanych, zdyszanych pasażerów. Na krańcówkach deszcz, śnieg; rzadko który wpuści wcześniej oczekujących ludzi... Jednakże największa frajda to ucieczki kończące się niekiedy tragicznie, jak ta. Opowiadano mi o niej przed kilku laty, wiosną. Na ul. Aleksandrowskiej motorniczy z triumfalną miną umykał zdumionym ludziom; ojcu z maleńkim dzieckiem na ręku i matce, która biegła do tramwaju ze składanym wózkiem pod pachą. Tak był pochłonięty tą ucieczką, iż zaraz na przejściu potrącił samochód osobowy. Jadąca w nim kobieta doznała ciężkiego urazu głowy...

Także duże pole do popisu mają kierowcy PKS. Oni są panami szos, przystanków. Chcą — to zabiorą pasażera, nie chcą — będzie sterczał aż do skutku, bez względu na pogodę, nawet z dzieckiem. Ich to nie interesuje. Kto jeździ na trasie Łódź--Bełchatów może zaobserwować do woli, ile zależy od dobrego humoru kierowcy, znacznie więcej niż od tego, czy autobus jest pusty czy załadowany. Bywają również bardzo dowcipni.

Mężczyzna wsiadł przed Pabianicami. Zapłacił za podróż i długo prosił o bilet. Kierowca był zajęty rozmową z kolegą i w ogóle się nie kwapił.

— Dali, dali — przeganiał pasażera niecierpliwie. Oznaczało to, że ma się przesuwać na koniec autobusu. A gdy tamten namolnie wołał biletu, wreszcie go dostał, ale z komentarzem.

— Jaki praworządny, pewnie partyjny — rechotał kierowca.

Ciekawe dla kogo w autobusach jest wywieszka — płacąc za przejazd, żądaj biletu. Czyżby kierowców nie informowano, że mają go wręczać podróżnym, albo z góry przewidywano, że są mało uczciwi. Z jakiej racji pasażer ma być ich sumieniem? A może lepiej byłoby w autobusach PKS zamiast radia montować magnetofony ze specjalnymi nagraniami typu — kierowco, pamiętaj zabierać ludzi po drodze! lub — biorąc pieniądze, natychmiast wydawaj bilet: i wiele jeszcze innych, nie mniej przydatnych hasełek. Może tym sposobem zmieniłoby się coś na lepsze w naszej komunikacji.

MŚCIWÓJ ZASADNY

3

Traktat o metodzie podróżowania i picia piwa

Dyskutowaliśmy o podróżowaniu. Wydziwialiśmy o tym, czego to ludzie nie wymyślą i jak im się chce. Jeden na przykład płynie samotnie dookoła świata pod wiatr. Inny wpadł na pomysł żeby płynąć z wiatrem. Też samotnie. Ludzie im się znudzili, czy co? Ktoś pojechał konno do Wiednia, a inny pobiegł tam. Jacyś panowie ruszyli do Los Angeles bryczką...

— A gdyby tak latawcem dookoła świata? — zapytał Grześ Malaka. — Dałoby radę?

Na to Kuba Minos skrzywił się i zapytał:

— A próbowaliście pojeździć pociągiem po Polsce, tak normalnie, jak ludzie?

Milczeliśmy.

— No, właśnie — skwitował nasze milczenie Kuba M.

— Albo to coś wielkiego? — odezwałem się. — Ludzie przecież podróżują.

— Spróbuj i ty — powiedział Kuba.

Stanęło na tym, że pojadę wieczorem do Elbląga, spędzę tam dzień i następnej nocy wrócę do Łodzi. Postawiono jeden warunek: mam tam i z powrotem jechać różnymi trasami. Przystałem na to. I to był mój błąd.

Do Elbląga udałem się dość wyszukaną trasą, co jednak gwarantowało mi szybki przejazd. Tylko 8 godzin. Około północy pojechałem do Karsznic, gdzie zaraz po 1 miałem pośpieszny do Tczewa, tam przesiadka i następna w Malborku. Pośpieszny był dokładnie zapchany. Różnica między I i II klasą polegała tylko na tym, że wygodniej się stało. W I klasie koło sracza, w II w harmonice łączącej wagony. Do korytarza wcisnąć się było niemożliwością, tam się ulokowali bowiem ci, którzy wsiedli do pociągu wcześniej. Moje stanowisko koło sracza miało jeszcze tę wadę, że obok był wagon „Warsu" skąd wszyscy chodzili do „mojego" sracza we wiadomych celach. Każdy musi. Poza tym pociąg był pełen ludzi którzy widać nie tylko jedli obfitą kolację, ale jeszcze dobrze ją podlali artykułami sprzedawanymi przez „Ponal". Kilku mężczyzn miało z sobą sporych rozmiarów czajnik, z którego co jakiś czas pociągali i nie sądzę, aby była to woda, gdyż po takim pociągnięciu humory im się natychmiast poprawiały, a później robili się senni, a następnie biegli do „mojego" sracza, z którego cuchnęło coraz bardziej. Do tej pory nie słyszałem, aby produkty „Polmosu" były sprzedawane w czajnikach, widać jakaś to nowa metoda „Ponalu".

Pociąg był brudny, korytarz koło „mojego" sracza zadeptany czymś mokrym, zasypany popiołem z papierosów i niedopałkami. A mimo to ktoś nie wytrzymał i usiadł. Za nim poszli inni, ale dla mnie już nie starczyło miejsca.

Dzięki temu, że pośpieszny z Katowic spóźnił się na trasie do Bydgoszczy całe 40 minut, w Tczewie nie musiałem już czekać na przesiadkę, tylko zaraz miałem pociąg, którym bez przeszkód dotarłem do Elbląga — z przesiadką w Malborku.

Warunek był taki, że wracać mam również nocą. Miałem więc przed sobą cały dzień. Obejrzałem miasto. Posiedziałem w parku na ławce. Pogadałem z różnymi ludźmi. I przypomniałem sobie, że w Elblągu mają dobre piwo.

Picie piwa jest oczywiście naganne, ale zrobiło się ciepło, więc postanowiłem jednak napić się tego wątpliwego piwa, które rzeczywiście było znakomite. Tylko, że picie piwa w Elblągu nie należy do rzeczy łatwych. Po pierwsze — gdzie nie wchodziłem wszędzie spotykałem się z odpowiedzią kelnerki lub kelnera, że piwo owszem było, ale już się skończyło, a ci, którzy mają pełne butelki na stolikach, to właśnie z ostatniej skrzynki. Ponieważ miałem dużo czasu i cierpliwości oraz uparłem się, że jednak napiję się tego świństwa zwanego piwem, dopiąłem swego, co mnie sporo kosztowało, bo dorwałem piwo w lokalu I kategorii. Ale nikt mi tego nie kazał, więc pretensję mam tylko do siebie.

Drugi raz trafiłem na piwo w „Nowej" — to taka restauracja, która bezpośrednio, ściana w ścianę, sąsiaduje z Zakładem Karnym. Jest to nawet atrakcyjne, bo człowiek siedzi, pije piwo i zastanawia się, czy pensjonariusze z ZK nie zrobili już czasem podkopu do restauracji, bo po gębach sądząc... Ale przecież za zbójecką gębę nikt nie siedzi w ZK.

W „Nowej" wymyślono niebywale perfidny sposób podawania piwa. Są tam czteroosobowe stoliki. I nie mogą przy nich usiąść więcej jak cztery osoby. Nie do pomyślenia jest, aby można było wziąć krzesło od jednego stolika i dostawić do drugiego, jak się często robi w innych miastach, na przykład w Łodzi.

Powrót miałem również pełen niespodzianek. Podróż trwała blisko 12 godzin, z tego 5 godzin na stojąco. Wagon 1 klasy był równie brudny, a ze sracza śmierdziało. Z całą świadomością używam wulgarnego określenia „sracz", gdyż na co innego pomieszczenie to nie zasługuje. Jechałem przez Malbork, Iławę, Brodnicę, Płock, Kutno.

W Malborku chciałem zadzwonić do Łodzi, aby powiedzieć moim przyjaciołom, co o nich myślę, ale okazało się to niemożliwe, gdyż — jak dowiedziałem się w informacji — centrala była już nieczynna.

Wróciłem do Łodzi przed godziną 7 i spotkałem znajomego, który ze zdziwieniem spytał: — Co tu robisz o tak wczesnej porze?

— Wróciłem z Elbląga — odpowiedziałem.

— A po coś tam był?

— Aby poznać, jak się ludziom podróżuje.

Podróż swoją do Elbląga odbyłem z 26 na 27 maja 1984 roku. Wracałem z 27 na 28 maja 1984 roku. Sezon urlopowy jeszcze się nie rozpoczął. Ale mam dla wszystkich wybierających się na urlop radosną wiadomość. Jak donoszą z PKP w sezonie zabraknie 1,5 tysiąca wagonów.

Szczęśliwej podróży!

ZENON POROWATY

4

Dobra miłość za pieniądze

Wmówiłam sobie „ja nie zgłupieję, nieważne wystawowe oceny, nie za stopnie przecież lubię mojego psa". I co? I — podobnie jak wielu właścicieli rasowych czworonogów w bezsenną noc przed wystawą łykam Nerwosol po czym zjawiam się na wystawie z wielką torbą szczotek, grzebieni, obroży zwykłych i od parady, przez dwie godziny z obłędem w oku czeszę, wycieram i na rozmaite sposoby poprawiam urodę psiska. A dalej — to już zależy od oceny. Gdy pies wygra — cieszę się oczywiście, że kompetentny sędzia zauważył to, co moim zdaniem powinno być oczywiste dla wszystkich: że moje najładniejsze. Gdy przegra — podobnie jak inni właściciele, których pupile nie zdobyły medalu — pomawiam sędziego o brak kompetencji, stronniczość itp... Tak aż do następnej wystawy, której wynik może być zupełnie inny. Bowiem — podobnie jak w odniesieniu do ludzi — w określaniu psiej urody, obok czynników wymiernych, określonych we wzorcu, dużą rolę odgrywa także czynnik subiektywny, czyli po prostu gust sędziego.

W sumie — te przyjemne i niezbyt przyjemne przeżycia stanowią doskonałą formę zabawy.

W każdym razie jest to znacznie lepsze spędzanie czasu, niż niedzielny wyjazd na zieloną trawkę w towarzystwie jajek na twardo i butelki Bałtyckiej. Dlatego — choć nie jestem działaczem związku „psich rasistów", zirytował mnie felieton koleżanki Biurowej, pt. Pieski bal, opublikowany w jednym z ostatnich numerów „Odgłosów". Przypuszczam nawet, że deklaracja o tym, iż lubi ona wrony, jest fałszywa, że nie zawsze wronę od kanarka koleżanka Biurowa odróżnić potrafi. A gdy jej się to uda — wtedy lubi wrony nie dlatego, że „czarne to to i w ziemi się dłubie", ale programowo, na przekór tym, co lubią kanarki. Zarzucając snobizm, przerost ambicji i szpan hodowcom rasowych psów występuje bowiem w imieniu tych, którzy takie same, lecz niejako w przeciwną stronę skierowane cechy demonstrują.

A więc nie kupi taki dogacy jamnika „z papierami" lecz kundysa, możliwie najbrzydszego, na parcianym sznurku poprowadzi, zamiast regału Wisła starą szafę gwoździami pozbija, przedwojenną jesionkę jeszcze raz przenicuje choć bez trudu trzy nowe mógłby kupić. I na tych, co trochę inni, z góry spojrzy, obnosząc dumnie swą postawę prostego, skromnego człowieka, którego inni nadmiernie wykorzystują. No i dobrze. Niech jedni i drudzy sobie szpanują, nie wchodząc sobie jednak w drogę, bo i po co.

A właśnie Biurowa w drogę mi weszła solidnie i będzie teraz za swoje miała. Przede wszystkim wydam czasowy zakaz kontaktów z moim psem (bo antyrasizm to jedno — a z drugiej strony Biurowa woli za uszy tarmosić moje rasowe wielkiej, futrzanej urody stworzenie niż chorego na egzemę znajdę). Warunkiem cofnięcia zakazu będzie odwołanie wszystkich — łagodnie mówiąc — nieścisłości i złośliwości, które pod adresem psich rasistów skierowała.

No bo co to kogo obchodzi — Biurową czy inną — że pies kartki mięsne wcina? Pewien problem natury moralnej mógłby powstać przy wolnej sprzedaży mięsa: ja np kupię 10 kg dla psa, a dla kogo innego ani pół kg na obiad nie zostanie (choć oczywiście przy dobrym zaopatrzeniu nikogo nie obchodziłaby wielkość cudzych zakupów). Ale skoro mamy kartkowe, demokratyczne „po równo" — to mięso zjadane przez pieski nie jest przecież z pustego talerza Biurowej zabrane. A swoją drogą — skąd to przekonanie wielu ludzi, nie mających pojęcia o hodowli ani o działalności Związku Kynologicznego, że psy rasowe tylko befsztyk z polędwicy, w najgorszym razie tatara jedzą? Przeważnie jest to mimo wszystko konina lub niekonsumpcyjne, poubojowe odpady.

Drugim takim mitem, popularnym wśród ludzi, którzy lubią wygłaszać autoratywne opinie o tym, na czym się nie znają, jest przekonanie o olbrzymich dochodach hodowców. Można, owszem, żyć z hodowli psów, podobnie jak z hodowli tuczników. Ale, tak samo jak w przypadku zwierząt gospodarskich, żaden właściciel dwóch świnek do majątku nie dojdzie, tak i właściciel najlepszej nawet suki czy reproduktora milionerem nie zostanie. Jest to możliwe jedynie w przypadku dużych hodowli, traktowanych nie jako hobby, lecz jako przedsiębiorstwo. A takich w Polsce nie ma (a jeżeli — to na palcach jednej ręki można policzyć).

Pewnie, bywa i tak, że ktoś bardzo zamożny kupuje psa rzadkiej rasy, w kolorze dopasowanym do lakieru Mercedesa traktując zwierzaka jako jeszcze jeden wyznacznik luksusu. Na ogół jednak psisko jest „wyposażeniem" przeciętnego M, gdzie zagęszcza i tak zbyt mały metraż — ku zadowoleniu wszystkich.

Sytuacja taka dotyczy zdecydowanej większości psów rasowych i nielicznych kundli.

W tym jednym przypadku koleżanka Biurowa miała bowiem rację: kundelek trafia do domu jako zabawka dla dzieci, a potem się go po prostu wyrzuca. Plaga psów bezpańskich, włóczących się po osiedlach, psów gryzących i roznoszących choroby, padających ofiarami młodocianych i dorosłych zwyrodnialców narasta. Nie ma jednak wśród nich ani jednego, za którego zapłacono — ku zgorszeniu Biurowej — 60 czy choćby 10 tysięcy. Aby zlikwidować to szkodliwe dla zwierząt i ludzi zjawisko nie należy jednak gromić tych, którzy „kochają za cenę i rasę". I dobrze. Wszystko jedno, za co kochają, byle kochali.

AGATA

O trudnej sztuce wykrzywiania twarzy

Nazajutrz po pogrzebie zjawił się w wiosce Bruno Kriwka, ale już nie wózkiem konnym, tylko odrapanym samochodem, który prowadziła żona Kriwki, dobrze utuczona niewiasta, potakująca każdemu jego słowu, ponieważ brał na nią krzesło, jeśli tego nie czyniła. Zajechał Kriwka pod dom sołtysa Jonasza Wątrucha, szarpnął gniewnie swoją czarną brodę i tak wykrzykiwał:

— Dlaczego pochowaliście Otto Szulca bez mojej wiedzy i mojej zgody? Należało stos drew ułożyć i zwłoki spalić po bożemu. Albo dokonać państwowej kremacji. Cztery wieki dręczyli nas Kawalerowie Maltańscy, ostatnia wojna lud nasz wygubiła, ale nikt i nic nie było w stanie wytrzebić obyczaju ciałopalenia. Po co i na co poszedł Szulc do jakiegoś Koryntu? Czy nie nauczono was, że i śmierć można oszukać, jeśli się tego bardzo pragnie? Lud nasz zaginiony przez wieki całe opierał swe bytowanie na ciągłym przechytrzaniu przeciwnika. Jak mówią baśnie i legendy, lud nawet diabła potrafi w pole wyprowadzić. Co jest cnotą, Jonaszu? Jeśli masz wroga, to się do niego uśmiechaj; jeśli masz przyjaciela, to go zdradź; przyjaciół wyprzyj się po trzykroć, a za dobroć odpłacaj niewdzięcznością. Mógł stary Szulc śmierć oszukać tak, jak to ja mam zamiar uczynić i żyć przez sto lat.

Zafrasował się Jonasz Wątruch i posłał po Erwina Kryszczaka, który zaraz przyszedł z półlitrówką wódki, gdyż wiadomo było, że Kriwka lubi tęgo popić.

— Co do Kawalerów Maltańskich masz w zupełności rację — zgadzał się Erwin Kryszczak z Bruno Kriwką. — Księcia Reussa osobiście młotkiem zabiłem, kiedy już żołnierze pod jego pałac podchodzili, ale teraz ciągle go wspominam i za przykład stawiam. Wielka jest moja przebiegłość. Jednego jednak nie potrafię zrozumieć jak możesz być przedstawicielem zaginionego ludu, jeśli lud jest zaginiony? Powiedz mi też, co się stało z twoim wrogiem Aronem Ziembą?

Pogładził swoją brodę Bruno Kriwka, chytrze przymrużył oczy i zgodnie ze swoim zwyczajem powiedział im zawile, aby go zrozumieli, ale nie do końca:

— Jeśli lud jest zaginiony, to go ani zobaczyć, ani dotknąć nie można. Co najwyżej jego przedstawicieli Zresztą nie lud kogokolwiek interesuje, tylko przedstawiciele Aron Ziemba poszedł jeszcze wyżej niż ja. W stolicy mają go za takiego, co się zna na zaginionych sprawach, a przede wszystkim na mojej osobie. Tedy on mnie zwalcza, a ja jego i żadnych obcych ludzi nam do tego nie potrzeba. Ludzie są „swoi" i ludzie są „obcy". Swoi powinni zwalczać obcych, albo się na nich krzywić. I to jest cała sprawa. O ludzie zaginionym trzeba mówić. Żałobną opaskę po nim nosić na rękawie Czy to raz jeden na świecie było królestwo bez ziemi? Weźcie sobie na przykład naszego legendarnego Kłobuka. Czy on kiedyś stworzył coś dobrego? Jednemu ukradł, drugiemu zaniósł I tak róbcie dla zbawienia swojej duszy. Oni mają diabła z rogami, a my stare ptaszysko, nie wiadomo nawet dokładnie, złe, czy dobre. To jest właśnie nasza chytrość. Nikt nie może wiedzieć, źli jesteśmy, czy dobrzy i za kim trzymamy. W przeszłość twarze obróćcie, w przeszłości jest odpowiedź na każde pytanie. Zawsze byliśmy za tymi i za tamtymi, jak kto sobie życzy, i jak kto woli Najważniejsze to krzywić się połową twarzy, i uśmiechać tylko połową twarzy. Kto się bowiem całą twarzą krzywi albo całą twarzą uśmiecha, ten już się zdarza i otwiera dla innych. A chodzi o to, aby się zamykać, odgradzać, separować, wciąż trwać w żałobie po zaginionym ludzie. Taka jest sprawa, a kto jej nie rozumie, ten niczego nie rozumie. Ciebie, Jonaszu, jak umrzesz na stosie drewek położymy i spalimy dawnym obyczajem. To samo zrobimy z Erwinem.

— Ja nie jestem tutejszy — powiedział Kryszczak. — Mój dziad z bardzo daleka pochodzi i na służbę do Kawalerów Maltańskich został podstępnie zwabiony, za co księcia Reussa młotkiem zabiłem.

— Ja też nie jestem tutejszy — oświadczył Jonasz Wątruch. — Sprowadziliśmy się tutaj tuż przed zawieruchą wojenną ze stron zupełnie obcych. Ale zgadzam się z tobą, Bruno, że światem rządzi Szatan i oszustwo stało się cnotą. Tak prawdę mówiąc, wszyscy tutaj są obcy, bo skądś przybyli, a jeśli nawet i wojnę przetrwali, to są obcy względem siebie. Jeszcze gorzej jest z takimi, co, podobnie jak ja, mieli w domu portrety w dwóch różnych mundurach. Byli obcymi i zarazem swoimi, dlatego masz rację, Bruno, że lud nasz jest zaginiony. Ale spalić się nie pozwolę, tylko pochówek mam mieć chrześcijański, Chrystusowy. Nie wierzę także, aby śmierć można było oszukać i każdy musi kiedyś pójść do jakowegoś Koryntu.

— Na mnie też nie licz, Bruno — rzekł Kryszczak. — Choć rad bym i ja śmierć oszukać. Tak się do oszustwa przyzwyczaiłem, że nawet poszedłem na posterunek i przyznałem się do zabicia dwóch dziewcząt. Myślałem, że z tego jakąś korzyść mieć będę, ale nie miałem żadnej, gdyż mi nie uwierzyli.

Rozgniewał się na nich Bruno Kriwka, brodę czarną szarpał i mówił tak niewyraźnie, że go zrozumieć nie byli w stanie. Musiała więc żona Kriwki słowa jego im tłumaczyć.

— Słuchajcie Bruna — mówiła do nich — bo on przez swoją ogromną przebiegłość zajdzie daleko. U Bruna wszystko w głowie zostało pomieszane, i to jest właśnie dobre. Nikt nie wie, o co mu chodzi, może nawet o koronę. Można być królem bez ziemi i królem bez ludu, skoro lud zaginął. Złotej korony zresztą mu nie potrzeba, nikt teraz ich tak łatwo nie rozdaje. Ale i korony bywają rozmaite, szczególnie, że jemu wszystko służy. Jest bardzo zadowolony, gdy go prześladują, bo z tego może być korona cierniowa. Gorzej się czuje, kiedy go chwalą. Wtedy zaczyna się gniewać i petycje pisze do władz, żądając prześladowania. Najważniejsze bowiem, to się separować i odróżniać, krzywić tylko połową twarzy i połową twarzy uśmiechać. Ważne jest, aby nie mieć racji, gdyż w ostatnich czasach za dużo ludzi ma rację i przez to zwraca się uwagę tylko na tych, co żadnych racji nie mają. Nawet w stolicy wiedzą, że Bruno nie ma racji i to jest właśnie największa racja Bruna.

Kriwka wciąż srożył się na Wątrucha i Kryszczaka, parskał śliną, szarpał brodę. Zaciągnęła go więc żona do samochodu i powiozła w powrotną drogę, nie chciała bowiem, aby zabrał się do rękoczynów. Sołtys Jonasz Wątruch i także Erwin Kryszczak odetchnęli po jego wyjeździe, ale jednocześnie radzi byli, że odbył z nimi tę rozmowę. Zdumiewająca wydała im się przebiegłość Bruna Kriwki, a przede wszystkim dokonane przez niego odkrycie, że ten ma zawsze rację kto nie ma racji

Sołtys Jonasz Wątruch usiadł przed lustrem w domu i zaczął przed nim swoją twarz wykrzywiać i uśmiech na niej wydobywać połowiczny — wedle nauk Bruna Kriwki. Robił to długo i wytrwale, ale wciąż coś strasznego przychodziło mu na pamięć. Wspominał, jak to pewnego dnia ubrano go w mundur wojskowy i wysłano hen, aż na Pustynię Libijską, na rozpalone słońcem bezkresne piaski Ukryty za piaszczystą wydmą strzelał Wątruch z karabinu maszynowego i wielu zabił, zanim karabin maszynowy aż do czerwoności rozgrzał się od słońca i śmiertelnej pracy Krzyż mu za to przypięli do piersi ale nie minął tydzień, i w ogromnej spiekocie bezbronny leżał na piasku pustyni, i nieprzytomny, w narzeczu Baudów poprosił o łyk wody. I dano mu wody, bo ktoś tam znał to narzecze. Potem znowu Wątrucha w inny mundur ubrano i kazano strzelać z karabinu maszynowego. Otrzymał także krzyż — inny, ale tak samo błyszczący złotem. Czyja to wina? Gdzie jest Bóg i czy spogląda z nieba na ludzi? Kto znajduje się bliżej człowieka — Bóg czy Szatan, i kto wejdzie do Królestwa Niebieskiego?

Siedział Jonasz Wątruch przed lustrem i stroił miny. Ale co się skrzywił połową twarzy, to ta druga połowa stawała się martwa. Co się połową twarzy uśmiechnął — to druga połowa wydała mu się podobną do psiego pyska. Przeraził się sołtys Wątruch, że mógłby tak już na zawsze pozostać z połową twarzy ludzką, a połową twarzy zwierzęcą i zrezygnował ze strojenia min. Nie potrafił się uśmiechać całą twarzą, bo za wiele spraw bolało go gdzieś bardzo głęboko. Nie umiał też krzywić się ani połową twarzy, ani całą twarzą. Gdy przyglądał się sobie w lustrze — widział surowość i powagę, a z oczu odbitych w zwierciadle spoglądała wiedza o Szatanie, który rządził światem. Dlatego odsunął od siebie lustro i postanowił przed ludźmi obnosić swoją prawdziwą twarz.

Erwin Kryszczak nawet nie próbował przeglądać się w lustrze. Cóż bowiem mógłby w nim ujrzeć? Pomarszczone i pożółkłe starcze oblicze z jednym tylko zębem sterczącym z dziąsła. Nie lubił podobnych widoków, podobnie jak obrzydliwą wydawała mu się prawda, która mogła istnieć poza tą, jaką uznawał. Nie zabił młotkiem księcia Reussa — on sam się zastrzelił w pałacowym parku. Ale przyjemniej było myśleć, że on, Erwin, to uczynił, ponieważ książę Reuss był Kawalerem Maltańskim. Trzech synów księcia Reussa zginęło kolejno podczas wielkiej burzy dziejowej — jeden, co latał w powietrzu, drugi, który pływał po morzach, i trzeci, co bił się na lądzie Książę Reuss uratował Kryszczaka przed wojskiem, gdyż Erwin chorował w tym czasie na gruźlicę i pił psie sadło. Kazał książę Reuss Kryszczakowi nadzorować jeńców podbitych ludów, którzy pracować mieli w majątku księcia na miejsce tych, co ich wzięto do wojska. Erwin pilnował jeńców, był dla nich nawet niekiedy litościwy i gdy książę nie widział, dawał im lepiej jeść i nie zauważał, jak bardzo są leniwi. Czyja to wina, że wraz z coraz to nową wiadomością o śmierci kolejnego syna książę Reuss przestawał być panem miłym, wesołym i łaskawym? „Czy ty, Erwinie, wielka świnio — mówił gniewnie książę Reuss — rozumiesz choć, za jaką to sprawę giną moi synowie? Oni giną za Ideę, że zło, które tkwi w ludziach musi być zniszczone wraz z ludźmi, bo nie ma innej drogi dla zbudowania doskonałego społeczeństwa. Już raz w wielkiej bitwie zginęły setki Kawalerów Maltańskich i zburzona została ich potęga. Ale Idei, Kryszczak, zabić nie można. Teraz znowu prawie cały świat obrócił się przeciw nam. Zginiemy, ale na tej ziemi będzie rósł już tylko kolczasty jałowiec. Przetrwa Idea, że zła nie można wygubić nie zabijając człowieka".

Potem książę Reuss zastrzelił się, a Erwina Kryszczaka z morza ognia i gorącego żelaza wyprowadził jeden z jeńców wojennych, niejaki, Szczepan Żaryn, który z nienawiści do świata, otumaniony wojennym czadem, w jakiś czas później spalił kilka domów w Skiroławkach, za co go wtrącono do więzienia, gdzie kazał sobie wytatuować pięknego węża.

To wielka sztuka uśmiechać się tylko połową twarzy albo tylko połową twarzy wykrzywiać. Czy można to zrobić wobec Szczepana Żaryna? On pamięta twarz Kryszczaka, kiedy ten go poganiał batem, ale i czasem po kryjomu jeść dawał, ratując życie. Nie sprawdziły się słowa księcia Reussa, nie porośnie ziemia jałowcem. Kryszczak objął w Skiroławkach duże gospodarstwo, tak samo duże jak gospodarstwo Otto Szulca. Potem podzielił je między synów i synowe, które czasem podszczypuje i podmacuje. Czy ktoś w ogóle zauważy, że stary dziad, Erwin Kryszczak, uśmiecha się połową twarzy i krzywi tylko połówką pomarszczonej gęby? Teraz wielu mówi, że burza dziejowa, która przeszła nad światem, powstała z winy Kawalerów Maltańskich. Ale czy tylko sami Kawalerowie Maltańscy siedzieli w okopach, zapalali ognie na śniegach, pilnowali jeńców i podbite ludy? Ile było lisów w Winnicy Pańskiej! Bruno Kriwka każe się uśmiechać połową twarzy i połową twarzy wykrzywiać. Bruno Kriwka nie ma racji, ale gdy wielu ludzi ma rację, to niekiedy zwycięża brak racji. Dlatego może tak rzadko mądrych ludzi pyta się o zdanie Umarł Otto Szulc, który przypominał, że człowiek jest pielgrzymem na ziemi. Co poczną ludzie bez takich nauk? Nikt nie oszuka śmierci — nawet Bruno Kriwka.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

O rzeczach, które są, chociaż ich nie ma

Potężna wichura przez dwie doby barowała się z drzewami, wypróbowując ich posłuszeństwo wyginania się i pokłonów, łamiąc ich wyniosłą dumę. Dla wielu drzew skończył się czas istnienia; w lesie leżały wyrwane z korzeniami świerki, nawet prastary dąb na polanie w młodniku nagle stęknął, a później z łoskotem gromu odpadło od niego grube ramię Odtąd miał być tylko strzelistą kolumną podpierającą niebo i stało się dla wszystkich oczywiste, że już nigdy nie wypuści nowych konarów, ani nie pokryje się liśćmi. Był jak ktoś, komu ręce opadły bezwładnie i czekać mógł jedynie na śmierć.

Nazajutrz po wichurze, w słoneczne południe, leśniczy Turlej i stażysta Andrzej oglądali w lesie wyrządzone szkody i zastanawiali się, komu powierzyć czyszczenie dziesięcioletniego młodnika wokół starego dębu O ludzi do takiej pracy było teraz łatwo, ponieważ nie skończyły się jeszcze wykopki. Przysiadł Turlej na zwalonym konarze w odpowiedniej odległości od stażysty, który śmierdział wędzonymi rybami mocniej niż zazwyczaj i zapatrzył się w młodnik, na rozpostarte wszędzie przezroczyste płachty pajęczyn. Zdawało się leśniczemu, że pod młodym świerczkiem dostrzega Kłobuka i pomyślał, że to zły znak: za miesiąc albo za pół roku opuści go żona lub on zostawi żonę, gdyż od dłuższego czasu drzwi do jej sypialni pozostawały dla niego zamknięte. Stażyście zaś w tym cichym zakątku przypomniała się postać pięknej Luizy i pożałował, że pisarz Lubiński kazał mu się z nią spotkać w domku myśliwskim zamiast właśnie tutaj, na zwalonym konarze u stóp prastarego dębu. Nie trzeba by tu było wyprawiać żadnych gorszących historii, ale po prostu posiedzieć, twarz wystawiwszy na chłodne promienie jesiennego słońca. Można by także porozmawiać z piękną Luizą — o czym, tego nie wiedział. Ale gdy umysł swój wysilił i bacznie rozejrzał się dookoła, był pewien, że napomknąłby Luizie o konieczności ścięcia potężnego dębu, który już chyba zupełnie uschł od wewnątrz, o czym świadczyły czarne otwory dziupli i wielkie huby, sterczące na pniu jak balkony.

— Ten stary dąb należałoby obalić — odezwał się stażysta. — Mielibyśmy z niego dużo opału.

— Dąb? — zdziwił się Turlej. — O jakim dębie pan mówi, kolego?

— O tym, który tu obok rośnie. Jest duży i suchy. Zgubił ostatni konar.

— Nie ma tutaj żadnego dębu — stanowczo oświadczył Turlej. — Mówię to jako pański zwierzchnik.

— Jest — stwierdził stażysta.

Powstał z konara podszedł do ogromnej kolumny starego drzewa i w porowaty pień kilkakrotnie kopnął czubkiem swojego gumofilca. Wiedział, że nie tylko leśniczy Turlej, ale i wszyscy robotnicy mają go za niedojdę, ponieważ gubi się w lesie. Tym razem nie da się jednak ośmieszyć Nikt mu nie wmówi, że nie ma tu drzewa, które on widzi swoimi oczyma, a nawet kopie gumofilcem.

—Niech pan w to drzewo walnie głową. Nawet parę razy — doradził mu Turlej. — Szkoda gumofilców. A tego dębu i tak nie ma, jak to panu powiedziałem.

— Nie ma? — zdumiał się stażysta.

Turlej wzruszył ramionami i rzekł z wyższością:

— Nie wystarczy kolego, skończyć szkoły leśne, aby zostać leśniczym. Coś mi się zdaje, że do końca życia pozostanie pan tylko stażystą. Obłapianki z Luizą panu w głowie, ale życie, kolego, to nie literatura. Luiza zamknie przed panem drzwi do swego pokoju, a pan będzie widział to, czego nie ma.

— Dąb jest — upierał się pan Andrzej.

— Jeszcze raz powiadam, że tego drzewa nie ma. I tego musi się pan jeszcze nauczyć, kolego, że nie jest prawdą, co pan widzi, ale to jest prawdą co mówi pan zwierzchnik.

— To tego drzewa w ogóle nie ma? — zdumiał się stażysta. I aż pogłaskał chropowatą korę, aby się upewnić, czy wzrok go nie myli.

— Przecież już raz panu oświadczyłem: nie ma. To znaczy nie ma tego dębu w naszych leśnych wykazach. A jak coś nie istnieje w wykazach, to tego nie ma także w lesie. A jeśli coś jest w tych wykazach, to musi być i w lesie. Niech pan na głowie staje, niech pan drzewo sadzi, choćby wielkie jak ten dąb, a musi się zgadzać z wykazem.

— Co mnie obchodzą wykazy. Widzę dąb przed sobą, kopię go nogą, macam. Jest i koniec.

— Nie ma.

— Jest.

— Niech mi to pan udowodni — zaproponował Turlej. — Nie wystarczy zobaczyć, głową uderzyć. Proszę bardzo, może pan sobie w to drzewo walić głową, ale opału pan z niego nie zrobi.

— Wezwiemy jutro, kogoś z drwali, Jarosza albo Ziętka. Każemy dąb ściąć piłą motorową, potem połupać na szczapy opałowe.

— A kto zapłaci za robotę? — zapytał drwiąco Turlej. — Księgowa w nadleśnictwie rachunku za robotę nie podpisze. Bo nie można zapłacić za robotę, której nie wykonano. Albo zapłacić dwa razy za tę samą robotę. Nie ma tego dębu w wykazach, już to panu mówiłem. Ten dąb został ścięty jeszcze za mojego poprzednika, leśniczego Stemplewicza. Ludziom zapłacono za ścięcie i porąbanie na szczapy. Drewno wywieziono i z dymem ulotniło się przez komin.

— Ale ten dąb tu jest! Stoi. Rośnie. Na środku polany — powtarzał stażysta. — Zrobię na ten temat raport do nadleśniczego Kociuby.

— Raport musi pójść drogą służbową — przypomniał mu Turlej. — A ja go wyrzucę do kosza. Zresztą gdyby go nadleśniczy Kociuba do swoich rąk dostał, to też tak samo by zrobił. Do kosza! Do śmieci!

— Tego drzewa naprawdę tutaj nie ma? — upewniał się stażysta, z powrotem siadając na ułamanym konarze.

— Nie ma. I jeśli pan zostanie leśniczym, młody człowieku, to przede wszystkim musi pan najpierw upewnić się, co w pańskim leśnictwie jest naprawdę, a czego naprawdę nie ma Trzeba się nauczyć tak patrzeć, aby widzieć to, co należy A czego nie należy, nie trzeba widzieć Nie tacy jak pan chcieli ten dąb ściąć i na opał go przerobić. I nic z tego nie wyszło. Czy pan wie, człowieku, że nadleśniczy Kociuba tak się kiedyś z powodu tego dębu rozgniewał, że przyjechał tu osobiście z piłą motorową w ręku i chciał dąb ściąć Ale wtedy jeden z drwali zwrócił mu uwagę, że choć jest nadleśniczym to nie ma uprawnień do posługiwania się piłą motorową, nie został w tej dziedzinie przeszkolony, nie posiada odpowiedniego papierka A jak mu jego jedyna córeczka zachorowała i ozdrowiała, to o tym drzewie zupełnie zapomniał i niech mu pan nie przypomina, jeśli chce pan u nas nadal staż odbywać w spokoju. Co do mnie, to ani mnie ten dąb ziębi, ani grzeje, ponieważ nie ma go w wykazach.

c.d.n.